A.E. VAN VOGT

ŚWIAT NIE- A

(Przekład Aleksandra Jagiełowicz)

Przedmowa Autora

Czytelniku, trzymasz w rękach jedną z najbardziej kontrowersyjnych, a jednocześnie cieszących się największym powodzeniem powieści w całej historii literatury fantastycznej.

W tych kilku słowach wstępu chciałbym opowiedzieć o niektórych sukcesach i o tym, co krytycy mówili o *Świecie nie-A.* Dodam tylko spiesznie, że to, co przeczytasz w dalszym ciągu, nie jest żarliwą obroną. Wręcz przeciwnie, postanowiłem, że potraktuję krytykę bardzo poważnie i odpowiednio poprawiłem pierwsze wydanie Berkleya, jak również dodałem wyjaśnienie, które dotąd wydawało mi się zbędne.

Zanim podejmę sprawę ataków, krótko opowiem o niektórych sukcesach *Świata nie-A:*

Była to pierwsza *książka science fiction* w twardej okładce, opublikowana po drugiej wojnie światowej przez poważnego wydawcę (Simon i Schuster 1948).

Zdobyła nagrodę Manuscripters Club.

Została umieszczona na liście stu najlepszych powieści roku 1948 przez stowarzyszenie bibliotekarskie z okręgu Nowy Jork.

Jacques Sadoul, wydawca „Editions OPTA", stwierdził, *że Świat nie-A* sam stworzył francuski rynek fantastyki już po pierwszym wydaniu, które sprzedano w nakładzie 25 000 egzemplarzy. Powiedział również, że jeszcze dziś, w roku 1969, jestem najpopularniejszym pisarzem we Francji, jeśli mierzyć popularność liczbą sprzedanych książek.

Publikacja spowodowała wzrost zainteresowania semantyką ogólną. Studenci ruszyli do Instytutu Semantyki Ogólnej w Lakewood, stan Connecticut, aby studiować u hrabiego Alfreda Korzybskiego, który pozwolił się sfotografować ze *Światem nie-A* w ręku. Dziś semantyka ogólna, dziedzina nauki, którą w tamtych czasach prawie nikt się nie interesował, wykładana jest na setkach uniwersytetów.

Świat został przetłumaczony na dziewięć języków.

Skoro omówiliśmy już sukcesy, zajmijmy się atakami. Zobaczycie, że to znacznie ciekawsze, bo autorzy się wściekają, a krytycy powodują

zamieszanie wśród czytelników.

W książce *Seekers of Tomorrow* Sam Moskowitz w krótkiej biografii autora wyjaśnił, jaki błąd popełnił on w *Świecie nie-A:* „Ogłupiały Gilbert Gosseyn, mutant o podwójnym mózgu, nie wie, kim jest, i przez całą książkę usiłuje się tego dowiedzieć. Powieść po raz pierwszy została opublikowana w odcinkach w «Astounding Science Fiction», a po wydrukowaniu ostatniego (ciągnie pan Moskowitz) rozpruł się worek z listami od zdumionych i rozżalonych czytelników, którzy nie rozumieli, o czym w ogóle była ta historia. Campbell (wydawca) poradził im odczekać kilka dni; ponieważ akurat tyle potrzeba, aby wszystko im się poukładało w głowie. Ale dni zmieniły się w miesiące, a nic im się nie układało...".

Przyznacie, że jest to brutalna wypowiedź. Prosty, pyskaty Sam Moskowitz, którego wiedza o *historii science fiction* i kolekcja powieści prawdopodobnie ustępują w całym wszechświecie jedynie Forrestowi Ackremanowi... po prostu się myli. „Rozżalonych" czytelników, którzy napisali listy do wydawcy, można policzyć na palcach.

Moskowitz może jednak utrzymywał, że nie chodzi o ilość, lecz o jakość. I tu ma rację.

Wkrótce po pojawieniu się odcinków Świata *nie-A* w roku 1945, pewien fan SF, którego do tej pory nie znałem, napisał do fanzinu długi i poważny artykuł, atakujący zarówno tę powieść, jak i całokształt mojej twórczości. Artykuł kończył się (o ile mnie pamięć nie myli) zdaniem: „Van Vogt to karzeł pracujący na ogromnej maszynie do pisania".

Pomimo kompletnego bezsensu tego zdania (jeśli je dobrze przemyśleć) artykuł napisany był z taką dozą fantazji, że w tekście, który zamieściłem jako odpowiedź w tym samym czasopiśmie (tekst ten zaginął dla potomności), stwierdziłem, iż młody człowiek, który zaatakował mnie w tak poetyczny sposób, ma przed sobą wspaniałą przyszłość.

Ów młody człowiek, nazwiskiem Damon Knight, okazał się ostatecznie geniuszem science fiction. Kilka lat temu zorganizował amerykańskich pisarzy science fiction w stowarzyszenie, które, o dziwo, nie ma zamiaru się rozpaść. W wyniku ówczesnego ataku Knighta, pewien krytyk „Galaxy Magazine", niejaki Algis Budrys, napisał w przeglądzie

księgarskim z grudnia 1967 roku: „W tym wydaniu [esejów krytycznych] pośród innych specjałów z wcześniejszych wersji, znajdziecie słynny atak na A. Van Vogta, który uczynił Damona sławnym".

Czy istnieją inne artykuły krytyczne na *temat Świata nie-A?* Nie. To fakt. Knight, w wieku dwudziestu trzech i pół roku, samotnie zaatakował moją powieść i pracę. Co za „pogrom"!

O co więc chodzi? Dlaczego teraz poprawiam *Świat?* Czyżbym robił to tylko dla tego jednego krytyka?

Jasne.

Zapytacie: Dlaczego?

Cóż, na tej planecie trzeba zdawać sobie sprawę z tego, gdzie kryje się siła.

Czy Knight ją ma?

Ależ tak. Mają.

Oczywiście, w głębszym tego słowa znaczeniu. Bronię mojej książki, poprawiam ją, ponieważ semantyka ogólna to temat wart zachodu, pociągający za sobą znaczące implikacje, nie tylko w Roku Pańskim 2560, kiedy rozgrywa się moja historia, lecz także ta i teraz

Semantyka ogólna, według definicji świętej pamięci hrabiego Alfreda Korzybskiego, zamieszczonej w jego słynnej *książce Science and Sanity,* jest ogólnym określeniem systemów nie-Arystotelesowskich i nie-Newtonowskich. Drodzy Czytelnicy, niech ten bełkot Was nie zniechęci. Nie-Arystotelesowski - oznacza jedynie niezgodny z myślą Arystotelesa, rozwijaną przez jego następców w ciągu prawie dwóch tysięcy lat. Określenie nie-Newtonowski odnosi się do naszego Einsteinowskiego wszechświata. Nie-Arystotelesowski skraca się do nie-A.

Stąd tytuły *Światy* - i *Gracze nie-A.*

Semantyka ogólna zajmuje się znaczeniem znaczenia. W tym sensie przekracza i obejmuje jednocześnie lingwistykę. Podstawowa idea semantyki ogólnej głosi, że znaczenie można objąć jedynie wówczas, gdy bierze w tym udział zarówno system nerwowy, jak i percepcja - oczywiście istoty ludzkiej - przez które jest ono filtrowane.

Z powodu ograniczeń swojego systemu nerwowego człowiek może

widzieć jedynie część prawdy, nigdy całość. Opisując to ograniczenie, Korzybski stosuje określenie „drabiny abstrakcji". Słowo „abstrakcja" w kontekście, w jakim jest tu użyte, nie oznacza wzniosłych lub symbolicznych podtekstów myśli. Oznacza „odcięcie się od czegoś", wyjęcie z całości jakiejś jej części. Założenie jest zatem takie: obserwując pewien proces, możemy dokonać abstrakcji -czyli postrzegać jedynie jego część.

Gdybym zatem był pisarzem, który tylko przedstawia idee innego człowieka, wątpię, abym popadł w konflikt z czytelnikami. Myślę, że w *Świecie nie-A* i jego dalszym ciągu przedstawiłem zasady semantyki ogólnej tak dobrze i zręcznie, iż czytelnicy sądzili, że tyle tylko powinienem zrobić. Prawda jest jednak inna: ja, autor, dostrzegłem paradoks, który leży znacznie głębiej.

Od czasu powstania i rozpowszechnienia teorii względności Einsteina wiemy, że należy brać pod uwagę nie tylko doświadczenie, ale i obserwatora.

Za każdym razem jednak, kiedy z kimś o tym dyskutowałem, mój rozmówca nie był w stanie docenić znaczenia obserwatora. Wydawało się, że obserwator jest dla niego czymś w rodzaju jakiegoś symbolu i nie ma najmniejszego znaczenia.

W naukach takich jak fizyka i chemia, metody były na tyle precyzyjne, że osoba obserwatora pozornie nie była ważna. Japończycy, Niemcy, Rosjanie, katolicy, protestanci, Hindusi i Anglicy dochodzili do tych samych wniosków, niezależnie od ich rasy, przynależności narodowej i poglądów osobistych oraz religijnych. Jednakże wszyscy ludzie, z którymi rozmawiałem, byli doskonałe świadomi tego, że gdy tylko członkowie tych rozmaitych narodowości lub wyznań zaczynali pisać historię... a wtedy opowieść (i historia) napisana przez każdego z nich była zupełnie inna.

Przed chwilą wspomniałem, że w naukach fizycznych, zwanych także ścisłymi, osoba obserwatora pozornie nie ma znaczenia. Prawda jest jednak całkiem inna. Wszyscy naukowcy w swej zdolności do pozyskiwania danych ograniczeni są praniem mózgu, jakiemu poddali ich rodzice i szkoła. Jak powiada semantyka ogólna, każdy badacz wprowadza do swojej

pracy elementy własnej osobowości. Stąd fizyk, którego charakter został w młodości poddany mniejszej presji, może rozwiązać problem nierozwiązywalny dla innego naukowca.

Krótko mówiąc, obserwator zawsze jest i musi być „kimś", określoną osobą.

Zgodnie z powyższym, *Świat nie-A* rozpoczyna się sceną, w której mój bohater, Gilbert Gosseyn, uświadamia sobie, że nie jest tym, kim sądził, że jest. Jego pojecie o własnej tożsamości okazuje się fałszywe.

Zastanówcie się. Czyż nie dotyczy to każdego z nas? Tyle tylko, że my zabrnęliśmy w fałsz już tak daleko, akceptujemy narzuconą sobie rolę tak całkowicie, że nigdy nie podajemy jej w wątpliwość.

Wróćmy jednak do historii opisanej w książce. Mój bohater nie wie, kim jest, ale stopniowo zawiera znajomość ze swą, nową „tożsamością". Oznacza to, że abstrahuje znaczenie od kolejnych zdarzeń i pozwala, aby nim rządziły. Teraz zaczyna odnosić wrażenie, że ta „odcięta" część jego osobowości staje się całością.

Widać to w drugiej powieści *Gracze nie-A.* W tej opowieści Gil-bert Gosseyn porzuca wszelkie próby bycia kimś innym i pozostaje pionkiem w cudzej grze. Na jego pamięć składa się wyłącznie suma abstrakcji wyprowadzonych z otoczenia. Jego tożsamość nabiera kształtu, ponieważ rejestruje ogromnie dużo wpływów z zewnątrz.

Stąd główną myślą, zawartą w tych opowieściach, jest znak rów-ności, jaki postawiłem między pamięcią a tożsamością.

Nie powiedziałem tego wprost, a jedynie zainscenizowałem.

Na przykład: w jednej trzeciej powieści Gosseyn zostaje brutalnie zabity. Pojawia się jednak już na początku następnego rozdziału, jako pozornie ta sama osoba, tyle że w innym ciele. Ponieważ posiada pamięć poprzedniego ciała, przyjmuje, że zachował też tożsamość.

Przykład odwrotny: na końcu *Graczy* główny antagonista, który jest wyznawcą konkretnej religii, zabija swego boga. Jest to rzeczywistość zbyt straszna, by mógł stawić jej czoło. Musi zapomnieć. Aby jednak zapomnieć o czymś tak wszechogarniającym, musi zapomnieć wszystko, co kiedykolwiek wiedział. Zapomina, kim jest.

Krótko mówiąc, brak pamięci oznacza brak własnego, ja".

Kiedy czytacie *Świat* i *Graczy,* widzicie, jak ściśle przestrzegana jest ta zasada i - zwłaszcza teraz, kiedy zwrócono Warn na to uwagę - jak oczywisty jest rozwój zdarzeń.

Akurat w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć powieści, napisanej przed *Światem nie-A,* która pod wierzchnią warstwą miałaby głębsze znaczenie. *Science fiction* sama wydaje się często wystarczająco skomplikowana, nawet, jeśli nie zawiera aluzji i subtelnych implikacji na więcej niż jednym poziomie. Jeżeli więc pisarz dołoży jeszcze jeden, ukryty wymiar, równa się to zwykłemu okrucieństwu.

Najnowszym przykładem takiej właśnie dwupoziomowej powieści fantastycznej jest pierwsza książka tego typu napisana przez brytyjskiego filozofa- egzystencjalistę, Colina Wilsona, zatytułowana *The Mind Porosiłeś.* Bohaterem Porosłeś jest jeden z Nowych Ludzi - krótko mówiąc, egzystencjalista.

W *Świecie* mamy człowieka nie-A (nie-Arystotelesowskiego), który myśli w skali stopniowanej, a nie tylko czamo- białej. Przy tym jednak nie staje się ani buntownikiem, ani cynikiem, ani też konspiratorem w żadnym z obecnych znaczeń tego słowa. Odrobina tej cechy w hierarchii komunistycznej, w Azji i Afryce, oraz na naszej Wall Street i na głębokim południu, a także w innych obszarach myślenia albo-albo, i wkrótce nasza planeta stałaby się bardziej postępowa.

Pisarze *science fiction* troszczą się ostatnio o charakteryzację. Ale tylko kilku z nich do tej pory udało się pokazać, że ich fantastyka ma tę bezcenną cechę.

Aby i w tym przypadku wyjaśnić do końca, jakie miejsce zajmuję w tym sporze -ja w historiach nie-A charakteryzuję tożsamość.

Semantyka ogólna wciąż jeszcze ma do przekazania światu istotny komunikat- o większym znaczeniu niż wszelkie potyczki między pisarzem a krytykami.

Czy czytaliście może w ówczesnych gazetach, jak S.I. Hayakawa poradził sobie z zamieszkami w stanowym college'u San Francisco w latach 1968-69? Były to jedne z pierwszych zamieszek - bardzo poważne,

wymykające się spod kontroli i niebezpieczne. Dyrektor college'u złożył dymisję, a tymczasowym dyrektorem został mianowany Hayakawa.! cóż zrobił? Wkroczył w zamieszki z pełnym przekonaniem, że w takich sytuacjach najistotniejszą sprawą jest porozumienie, ale że trzeba jednak porozumiewać się, mając na uwadze pobudki, jakimi kieruje się druga strona. Uczciwe żądania ludzi, którzy mieli prawdziwe kłopoty, zostały natychmiast spełnione z nawiązką i w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Konspiratorzy jednak do dziś nie wiedzą, co w nich uderzyło i gdzie podział się ich rozpęd.

Dziś profesor Hayakawa jest wcieleniem nie-A, wybrano go na przewodniczącego Międzynarodowego Stowarzyszenia Semantyki Ogólnej.

To samo dzieje się w opowieści o Gilbercie GoSANE (gra słów go sane = odzyskiwać rozum) w *Świecie nie-A.*

A. E. Van Vogt.

I

Zdrowy rozsądek, żeby nie wiem jak się pilnował,
czasem da się zaskoczyć. Nauka istnieje po to, by oszczędzić
mu tych emocji i wytworzyć nawyki umysłowe tak
dokładnie zestrojone z nawykami świata, aby zapewnić,
iż nic nieoczekiwanego nie może się zdarzyć.
Bertrand Russell

Osoby zakwaterowane na tym samym piętrze hotelu muszą, jak zwykle podczas igrzysk, utworzyć własne grupy samoobrony"...

Gosseyn z ponurą miną wyglądał przez grube, narożne okno. Z trzydziestego piętra widział cale miasto Maszyny rozpostarte u jego stóp. Dzień był jasny i czysty, wzrok sięgał daleko. Po lewej stronie mógł dostrzec niebieskoczarną rzekę, połyskującą falami wzbijanymi przez wieczorną bryzę. Na północy niskie góry odcinały się wyraźnie na głębokim tle błękitnego nieba.

W objęciach rzeki i gór, wzdłuż szerokich ulic tłoczyły się budynki, głównie domki o jaskrawych dachach lśniących pośród palm i tropikalnych drzew. Tu i tam stały jednak inne hotele oraz wyższe budowle, których przeznaczenia nie sposób było określić na pierwszy rzut oka.

Sama Maszyna została zbudowana na wyrównanym szczycie góry.

Stanowił ją połyskliwy, srebrzysty walec, strzelający w niebo w odległości dziesięciu kilometrów od hotelu. Otaczające ją ogrody i siedziba prezydencka częściowo kryły się między drzewami, Gosseyna jednak nie interesowały ani ogrody, ani pałac. Ważna była jedynie Maszyna. Górowała nad miastem, a poza tym rządziła losem wszystkich ludzi.

Co za niezwykły widok! Gosseyn doznał dziwnego uczucia zachwytu. Przyjechał tu, aby wziąć udział w igrzyskach Maszyny. Wygrana w pierwszych etapach oznaczała bogactwo i dobrą pracę, a grupą która zajmie czołowe miejsca, zdobędzie prawo do wyjazdu na Wenus.

Od wielu lat chciał tu przyjechać, ale dopiero jej śmierć pozwoliła mu na to. Wszystko ma swoją cenę, pomyślał smutno. W żadnym ze snów, jakie śnił o tym dniu, nie przypuszczał, że jej nie będzie u jego boku, że i

ona nie stanie do zmagań o najwyższe zaszczyty. Kiedy razem uczyli się i przygotowywali, myśleli tylko o władzy i potędze. O podróży na Wenus ani on, ani Patricia nawet nie śmieli marzyć. Ale teraz, gdy został sam, bogactwo i władza straciły wszelkie znaczenie. Pociągała go odległość, niewyobrażalność, tajemnica Wenus, wraz z jej obietnicą zapomnienia. Ziemski materializm przestał go obchodzić. Zapragnął sublimacji duchowej, chociaż nie miało to nic wspólnego z religią.

Rozmyślania przerwało mu stukanie do drzwi. Otworzył je. Przed nim stał hotelowy boy.

- Przysłali mnie, żebym powiedział panu, że wszyscy inni goście hotelowi z tego piętra zebrali się już w salonie - oznajmił. Gosseyn poczuł pustkę w głowie.

- No to co?

- Omawiają ochronę osób mieszkających na tym piętrze podczas igrzysk.

- Och! –mruknął Gosseyn.

Jak mógł zapomnieć. Wcześniejsze ogłoszenie z hotelowej sieci informacyjnej dotyczące ochrony zaintrygowało go. Trudno uwierzyć, że największe miasto świata pozostaje w okresie igrzysk całkowicie pozbawione policji i wymiaru sprawiedliwości. W sąsiednich miastach, miasteczkach, wioskach i osadach instytucje prawa nadal istniały. Tu, w mieście Maszyny, przez cały miesiąc jedynym prawem będzie prawo grup do samoobrony.

- Prosili, bym panu powiedział, że ci, którzy nie przyjdą, przez cały okres igrzysk będą pozbawieni ochrony - odezwał się boy.

- Zaraz tam będę - uśmiechnął się Gosseyn. - Powiedz im, że jestem nowy i zapomniałem. I dziękuję. - Wcisnął chłopcu monetę i odprawił go ruchem ręki. Zamknął trzy okna z piasto i włączył sekretarkę na wideofonie. Następnie starannie zamknął za sobą drzwi i ruszył wzdłuż korytarza.

Wchodząc do salonu, zauważył koło drzwi mężczyznę z tego samego miasta, co on. Był to właściciel sklepu nazwiskiem Nordegg. Gosseyn ukłonił się i uśmiechnął na powitanie. Mężczyzna spojrzał na niego z

zainteresowaniem, ale nie odpowiedział ani na pozdrowienie, ani na uśmiech. Wydawało się to co najmniej dziwne, ale wrażenie zatarło się, kiedy Gosseyn zauważył, że pozostali ludzie, znajdujący się w pomieszczeniu, także mu się przyglądają.

Jasne, przyjazne spojrzenia, zaciekawione, miłe twarze z ledwie dostrzegalnym błyskiem wyrachowania - takie było pierwsze wrażenie Gosseyna. Wszyscy obserwowali się wzajemnie, usiłując zgadnąć, jakie szansę na zwycięstwo w igrzyskach mają pozostali. Starszy mężczyzna przy biurku obok drzwi skinął na niego. Gosseyn podszedł.

- Muszę znać pańskie nazwisko i inne dane, żeby je wpisać do naszej księgi - rzekł mężczyzna.

- Gosseyn - rzekł Gosseyn. - Gilbert Gosseyn, Cress Village, Floryda, wiek trzydzieści cztery lata, wzrost metr osiemdziesiąt dwa, waga osiemdziesiąt trzy kilogramy, znaków szczególnych brak.

Starszy pan uśmiechnął się do niego wesoło.

- Tak pan myśli - mruknął. - Jeśli pański umysł dorównuje aparycji, może pan zajść wysoko w tych igrzyskach. Nie powiedział pan, czy jest żonaty.

Gosseyn zawahał się, myśląc o nieżyjącej kobiecie.

- Nie - rzekł wreszcie cicho. - Nie, nie jestem żonaty.

- Cóż, wygląda pan na sprytnego młodzieńca. Niech igrzyska pokażą, że jest pan wart Wenus, panie Gosseyn.

- Dziękuję - odpowiedział Gosseyn.

Odwrócił się, by odejść, i w tej samej chwili Nordegg, drugi przybysz z Cress Village, wyminął go szybko i podszedł do biurka, pochylając się nad rejestrem. Gdy chwilę później Gosseyn spojrzał w tamtą stronę, Nordegg z ożywieniem mówił coś do staruszka, który zdawał się protestować. Gosseyn przez chwilę przyglądał się im w zadumie, po czym zapomniał o wszystkim, kiedy niski, jowialny mężczyzna wyszedł na środek zatłoczonego pomieszczenia.

- Proszę państwa - zagaił. - Powiedziałbym, że najwyższy czas rozpocząć dyskusję. Wszystkie osoby zainteresowane ochroną grupową miały dość czasu, aby tu dotrzeć. Dlatego też, skoro tylko okres zgłaszania

zastrzeżeń dobiegnie końca, poproszę, aby zamknięto drzwi. Dla osób, które po raz pierwszy uczestniczą w igrzyskach— ciągnął - i nie wiedzą, co mam na myśli, mówiąc o „okresie zgłaszania zastrzeżeń" pokrótce wyjaśnię procedurę. Jak wiecie, każdy z was będzie musiał powtórzyć na wykrywaczu kłamstw informację podaną przy wejściu. Zanim jednak do tego przystąpimy, prosiłbym, aby osoby, które mają wątpliwości, dotyczące czyjegokolwiek prawa do przebywania w tej sali, przedstawiły je teraz. Macie prawo oprotestować każdego spośród siebie tu obecnych. Możecie ogłosić swoje wątpliwości, nawet, jeśli nie macie dowodów na ich potwierdzenie.

Pamiętajcie tylko, że grupa spotyka się co tydzień i co tydzień, na każdym spotkaniu, można przedstawiać nowe zastrzeżenia. A więc, czy ktoś ma coś do powiedzenia?

- Tak - odezwał się głos zza pleców Gosseyna. - Kwestionuję obecność tutaj człowieka, który nazywa siebie Gilbertera Gosseynem.

- Co? - zawołał Gosseyn. Obrócił się na pięcie i z niedowierzaniem spojrzał na Nordegga.

Mężczyzna wytrzymał jego spojrzenie, po czym przeniósł wzrok na twarze osób za plecami Gosseyna.

- Kiedy Gosseyn wszedł tu po raz pierwszy - wyjaśnił - skinął mi głową i pozdrowił mnie jak znajomego. Poszedłem zatem sprawdzić, jak się nazywa, sądząc, że skojarzę nazwisko z osobą. Ku mojemu zdumieniu usłyszałem, że podaje adres w Cress Village na Florydzie, skąd pochodzę. Cress Village, proszę państwa, to dość znane miasteczko, ale ma tylko trzystu mieszkańców. Jestem właścicielem jednego z trzech tamtejszych sklepów i znam tam wszystkich, absolutnie wszystkich, zarówno w miasteczku, jak i w okolicy. Ani w Cress Village, ani w sąsiednich osadach nie ma osoby o nazwisku Gilbert Gosseyn.

Pierwszy szok, jakiego doznał Gosseyn, słysząc te słowa, przyszedł i minął, zanim jeszcze Nordegg skończył mówić. Pozostało jedynie dziwne wrażenie, że ktoś w niezbyt zrozumiały sposób robi z niego idiotę. Co za absurdalne oskarżenie!

- To brzmi nieco głupio, panie Nordegg - zaprotestował. Po chwili

dodał niepewnie. - Tak się pan nazywa, prawda?

- Zgadza się - skinął głową Nordegg - choć zastanawiam się, skąd pan to wie.

- Pański sklep w Cress Village stoi jako ostatni w rzędzie dziewięciu domów, u zbiegu czterech dróg - upierał się Gosseyn.

- Nie wątpię, że był pan w Cress Village - odparł Nordegg. -Mógł je pan również widzieć na zdjęciach.

Pewność siebie tego człowieka zaczęła denerwować Gosseyna.

- Około mili na zachód od pańskiego sklepu - ciągnął, tłumiąc gniew - znajduje się dom o dość dziwnym kształcie.

- On to nazywa domem! - wykrzyknął Nordegg. - Słynną na cały świat florydzką rezydencję rodziny Hardie!

- Hardie - dodał Gosseyn - to panieńskie nazwisko mojej zmarłej żony. Umarła mniej więcej miesiąc temu. Patricia Hardie. Mówi to panu coś?

Nordegg rozpromienił się nagle i z tryumfem spojrzał w otaczające ich twarze.

- No cóż, proszę państwa, teraz sami możecie osądzić. Mówi, że Patricia Hardie była jego żoną. O takim weselu chyba byłoby głośno, gdyby oczywiście się odbyło. A co do zmarłej Patricii Hardie, czy też Patricii Gosseyn - uśmiechnął się - mogę powiedzieć, że widziałem ją wczoraj rano i była bardzo, ale to bardzo żywa. Wyglądała wyjątkowo dumnie i pięknie na ulubionym białym arabie.

Wszystko nagle przestało być śmieszne. Nic się nie zgadzało. Patricia nigdy nie miała konia, ani białego, ani innej maści. Byli ubodzy, w ciągu dnia pracowali w niewielkim sadzie, wieczorami studiowali. Cress Village także nie było znane na całym świecie jako wiejska siedziba rodziny Hardie. A rodzina Hardie byk zwyczajną, nic nie znaczącą rodziną. Kimże, u diabła, mieliby być według Nordegga? Pytanie to tylko przemknęło mu przez myśl. Z całkowitą jasnością ujrzał rozwiązanie, które zakończy całe nieporozumienie.

- Mogę tylko zaproponować, aby wykrywacz kłamstw sprawdził moje oświadczenie - rzucił. Ale wykrywacz kłamstw oznajmił:

- Nie, nie jesteś Gilbertem Gosseynem, nigdy też nie mieszkałeś w Cress Village. Jesteś... - maszyna urwała. Tuziny elektronicznych lamp w jej wnętrzu migotały niepewnie.

- Tak, tak - nalegał pulchny człowieczek, który przedtem wyszedł na środek pokoju i chciał poprowadzić dyskusję. - Kim on jest?

Nastąpiła długa przerwa.

- W jego umyślę nie ma żadnej dostępnej informacji na ten temat - odezwał się wreszcie wykrywacz. - Tkwi w nim jakaś niezwykła, wyjątkowa siła, ale on sam zdaje się nieświadomy swojej tożsamości. W tych okolicznościach identyfikacja nie jest możliwa.

- I w tych okolicznościach zaleciłbym jak najszybszą wizytę u psychiatry, panie Gosseyn - podsumował pulchny mężczyzna. -Na pewno nie może pan pozostać tutaj.

W minutę później Gosseyn znalazł się na korytarzu. Pewna myśl, pewien cel, ciążyły mu w głowie jak blok lodu. Wrócił do pokoju i zamówił rozmowę przez wideofon. Uzyskanie połączenia z Cress Village zajęło dwie minuty. Na ekranie pojawiła się twarz obcej kobiety, raczej surowa, ale wyrazista i młoda.

- Jestem panna Treechers, sekretarka panny Patricii Hardie na Florydzie. O czym chce pan rozmawiać z panną Hardie?

Pojawienie się panny Treechers na moment zbiło go z tropu.

- To sprawa osobista - odparł, kiedy już doszedł do siebie. -Bardzo ważne, żebym mógł z nią porozmawiać. Czy zechciałaby pani połączyć mnie z nią?

Musiał wyglądać albo mówić bardzo władczo, bo sekretarka zawahała się.

- Nie powinnam tego mówić, ale może pan znaleźć pannę Hardie w pałacu przy Maszynie - powiedziała po chwili zastanowienia.

- Jest tutaj, w mieście? - wybuchnął Gosseyn.

Nie zauważył, kiedy połączenie zostało przerwane i ekran zgasł. Twarz kobiety nagle znikła, a on został sam na sam ze świadomością, że Patricia żyje.

A przecież już o tym wiedział. Jego mózg, nauczony przyjmować

rzeczywistość taką, jaka jest, już przyswoił sobie fakt, że wykrywacz kłamstw nie kłamie. Siedział zatem, dziwnie usatysfakcjonowany otrzymaną informacją. Nie miał ochoty dzwonić do pałacu, widzieć Patricii, rozmawiać z nią. Oczywiście, jutro będzie musiał tam pójść, ale na razie jutro wydawało mu się bardzo odległym punktem w czasoprzestrzeni. Nagle uświadomił sobie, że ktoś bardzo głośno dobija się do drzwi. Ze zdziwieniem zmierzył wzrokiem czterech mężczyzn.

- Jestem asystentem dyrektora - rzekł stojący najbliżej wysoki młodzieniec. - Bardzo mi przykro, ale musi pan opuścić pokój. Przechowamy pański bagaż na dole. Niestety, w okresie, kiedy nie ma policji, musimy być bardzo ostrożni wobec podejrzanych osobników.

Gosseyn został usunięty z hotelu w niecałe dwadzieścia minut. Ruszył przed siebie opustoszałą ulicą. Nad miastem zapadał zmrok.

II

Utalentowany... Arystoteles... wpłynął na większą
liczbę ludzi niż kiedykolwiek zdarzyło się to pojedynczemu
człowiekowi... Nasze tragedie rozpoczęły się,
kiedy „intensywny'[1] biolog Arystoteles wziął górę nad
„ekstensywnym" filozofem-matematykiem Platonem
i złożył wszystkie prymitywne identyfikacje i subiektywne
przewidywania... w imponujący system, którego
przez ponad dwa tysiące lat nie można było zmodyfikować
pod groźbą prześladowań... Dlatego też jego nazwisko
zostało użyte dla określenia dwuwartościowych
doktryn filozofii Arystotelesowskiej, a przeciwnie,
wielowartościowa rzeczywistość współczesnej nauki
otrzymała miano nie-Arystotelesowskiej.
Alfred Korzybski

Było za wcześnie na prawdziwe niebezpieczeństwo. Mrok wprawdzie już zapadł, ale noc dopiero się rozpoczynała. Włóczęgi, gangi, mordercy i złodzieje, którzy już niedługo wychyną z ukrycia, wciąż czekali na głębsze ciemności. Gosseyn dotarł do znaku, Mory zapalał się i gasł, kusząc obietnicą:

POKOJE DLA NIE POSIADAJĄCYCH OCHRONY
20 dolarów za noc

Gosseyn zawahał się. Nie mógł pozwolić sobie na taką cenę przez całe trzydzieści dni igrzysk, ale na kilka nocy mogłoby mu wystarczyć pieniędzy. Niechętnie odsunął od siebie pokusę. Z takimi miejscami wiązały się często nieprzyjemne historie. Wolał zaryzykować spędzenie nocy pod gołym niebem.

Ruszył dalej. W miarę, jak pogłębiał się mrok, na ulicach zapalało się coraz więcej automatycznych świateł. Miasto Maszyny lśniło i migotało. Wzdłuż wielomilowej ulicy, którą właśnie przechodził, widział dwa rzędy latarni, które jak milczący strażnicy dążyły w postępie geometrycznym do iluzorycznego punktu spotkania w oddali. Nagle ogarnęło go

przygnębienie. Chyba cierpi na częściową amnezję i musi pogodzić się z tym w głębszym sensie znaczeniowym. Tylko wtedy będzie w stanie uwolnić się od emocjonalnych skutków swojego stanu. Spróbował zobaczyć to jako zdarzenie w interpretacji nie-A. Zdarzenie, którym był on sam, jego ciało i umysł wraz z amnezją i całą resztą, w tej chwili, w tym miejscu i tym mieście.

Taką integrację osobowości zawdzięczał wielu godzinom treningu. Trening był rezultatem nie-Arystotelesowskiej techniki automatycznego myślenia ekstensywnego, jedynego w swoim rodzaju osiągnięcia dwudziestego wieku, które po czterech stuleciach stało się dynamiczną filozofią ludzkiej rasy. „Mapa nie stanowi terytorium... Słowo nie jest przedmiotem..." Przekonanie, że jest żonaty, nie czyniło z tego rzeczywistego faktu. Należy przeciwdziałać halucynacjom, które jego nieświadomy umysł odcisnął w systemie nerwowym.

Pomogło, jak zawsze. Wątpliwości i lęki wylały się z niego jak woda z opróżnianej miski. Zniknął ciężar fałszywego smutku, fałszywego, ponieważ znalazł się w jego mózgu z woli kogoś innego. Był wolny.

Znów ruszył naprzód. Rozglądał się uważnie na wszystkie strony, penetrując wzrokiem mroczne bramy. Ostrożnie, nie zdejmując ręki z broni, zbliżał się do zakrętów. Pomimo to nie zauważył dziewczyny, która wybiegła z bocznej ulicy, dopóki nie znalazła się tuż przed nim, uderzając go z taką siłą, że oboje stracili równowagę.

Całe zdarzenie nastąpiło bardzo szybko, co nie przeszkodziło mu zachować ostrożność. Lewym ramieniem przytrzymał kobietę tuż poniżej barków, unieruchamiając jej ciało i ramiona jak w imadle. Prawą dłonią wyciągnął broń. Wszystko to stało się niemal jednocześnie, ale jeszcze przez chwilę musiał walczyć o utrzymanie równowagi, z której wytrącił go jej ciężar i rozpęd. Udało mu się utrzymać na nogach i wyprostować. Pół niosąc, pół wlokąc, zaciągnął kobietę pod arkadę. Zaledwie tam dotarł, dziewczyna drgnęła i zaczęła cicho jęczeć. Podniósł prawą rękę i, nie wypuszczając broni, przykrył nią usta ofiary.

- Cśś - szepnął. - Nic ci nie zrobię.

Przestała się wyrywać i jęczeć. Zdjął rękę z jej ust

- Byli tuż za mną. Dwaj mężczyźni - szepnęła bez tchu. - Musieli uciec, kiedy cię zobaczyli.

Gosseyn rozważył w myśli jej słowa. Jak wszystkie inne zdarzenia, tak i to pełne było niewidocznych i nieprzewidzianych czynników. Młoda kobieta, odmienna od wszystkich innych kobiet we wszechświecie, wybiegła przerażona z bocznej ulicy. Jej przerażenie mogło być prawdziwe lub udawane. Umysł Gosseyna odwrócił się od bezpieczniejszej alternatywy i skupił się na prawdopodobieństwie, iż jej pojawienie się jest podstępem. Wyobraził sobie niewielką grupkę zaczajoną za rogiem, niecierpliwie czekającą na łup w pozbawionym policji mieście, ale nie dość odważną, by atakować wprost. Poczuł, że ogarnia go niemiła, niedobra podejrzliwość. Jeśli dziewczyna nie jest niebezpieczna, cóż robi o tej porze sama w taki wieczór? Gniewnie wymruczał jej to pytanie do ucha.

- Nie mam ochrony - odpowiedziała miękko. - Straciłam pracę w zeszłym tygodniu, bo nie chciałam iść z szefem do łóżka. Nie miałam oszczędności. Kobieta, u której wynajmowałam pokój, wystawiła mnie za drzwi dziś rano, bo nie mogłam zapłacić czynszu.

Gosseyn milczał. Jej wyjaśnienie było tak mało wiarygodne, że nie mógł go przyjąć za dobrą monetę. Po chwili jednak przestał być tego taki pewny. Jego własna historia, gdyby ktoś był dość szalony i ubrał ją w słowa, także nie brzmiała zbyt prawdopodobnie. Zanim jednak zdecydował się uwierzyć, że dziewczyna mówi prawdę, zadał jeszcze jedno pytanie:

- Czy naprawdę nie ma takiego miejsca, gdzie mogłabyś się udać?

- Nie - odparła. ! to było wszystko. Będzie ją miał aa karku przez całe igrzyska. Nie opierała się, kiedy poprowadził ją chodnikiem, a potem na drogę, cały czas starannie omijając zakręt

- Pójdziemy wzdłuż białej linii środkowej - oznajmił. - W ten sposób będziemy lepiej widzieć zakręty. - Droga miała własne niebezpieczeństwa, aJe na razie wolał o nich nie wspominać. - Teraz słuchaj - ciągnął przyjaźnie. - Nie masz się czego bać. Też mam kłopoty, ale jestem uczciwy. Jeśli chodzi o mnie, jedziemy na *tym* samym wózku, i w tej chwili naszym jedynym problemem jest znalezienie miejsca, gdzie moglibyśmy spędzić noc.

Dziewczyna wydała z siebie cichy dźwięk. Dla Gosseyna zabrzmiał on jak zdławiony śmiech, ale kiedy obejrzał się na nią, jej twarz była pogrążona w cieniu, więc nie mógł mieć żadnej pewności. W chwilę potem odwróciła się ku niemu i dopiero teraz naprawdę mógł się jej dobrze przyjrzeć. Była młoda, o szczupłej, ale mocno opalonej twarzy. Jej oczy wyglądały jak mroczne jeziora, usta były lekko rozchylone. Była umalowana, ale niezbyt dobrze, tak, że jej uroda raczej na tym nie zyskała. Wyglądała tak, jakby nie śmiała się od bardzo dawna. Podejrzenia Gosseyna rozwiały się. Uświadomił sobie jednak, że znowu znalazł się w punkcie wyjścia, jako obrońca dziewczyny, o której tożsamości nic nie wiedział.

Stanęli przed pustym parkingiem i Gosseyn zamyślił się. Plac był ciemny i porośnięty krzakami. Stanowił idealną, kryjówkę dla nocnych maruderów. Z drugiej jednak strony mógł on posłużyć jako schronienie dla uczciwego człowieka i jego podopiecznej, o ile udałoby im się zbliżyć niepostrzeżenie. Po krótkim rekonesansie stwierdził, że na tyłach parkingu znajduje się ciemna alejka, do której wiodło przejście między dwoma sklepami.

W ciągu dziesięciu minut udało im się znaleźć odpowiednią kępę trawy pod rozłożystym krzewem.

- Tu będziemy spać-szepnął Gosseyn.

Usiadła ciężko. Jej milczące posłuszeństwo sprawiło, iż Gosseyn nagle zdał sobie sprawę z tego, że poszła z nim zbyt szybko. Leżał zamyślony, mrużąc oczy i rozważając możliwe niebezpieczeństwa.

Noc była bezksiężycowa, pod rozłożystym krzewem panowała głęboka ciemność. Po chwili, po bardzo długiej chwili, Gosseyn ujrzał cień dziewczyny w nikłym świetle padającym od lampy ulicznej. Znajdowała się jakieś półtora metra od niego i przez kilka pierwszych minut, kiedy ją obserwował, leżała zupełnie nieruchomo. Coraz bardziej uświadamiał sobie nieznany czynnik, jaki sobą reprezentowała. Była co najmniej tak samo nieznajoma, jak nieznajomy był sam dla siebie.

- Nazywam się Teresa Clark, a ty? - Jej pytanie przerwało ciąg jego myśli.

No właśnie, a ja? - zadumał się Gosseyn. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, dziewczyna odezwała się znowu.

- Przyjechałeś tu na igrzyska, prawda?

- Zgadza się - odparł.

Zawahał się nagłe. Właściwie to przecież on powinien zadawać pytania.

- A ty? - rzucił. - Ty też przyjechałaś na igrzyska? - dopiero teraz przyszło mu na myśl, że właśnie to pytanie było najważniejsze.

- Nie bądź śmieszny - odparła z goryczą. - Nawet nie wiem, co to znaczy nie-A.

Gosseyn nie odpowiedział. W jej słowach była pokora, która wprawiła go w zakłopotanie. Nagle wydawało mu się, że rozszyfrował osobowość dziewczyny: spaczone ego, które w niedługim czasie ujawni całkowite zadowolenie z siebie.

Nagły warkot samochodu przejeżdżającego ulicą przerwał ciszę, sprawiając, że i tak nie dotarłoby do niej to, co mógłby powiedzieć. Za tym samochodem przejechały cztery następne. Noc na krótko ożyła odgłosem opon na bruku. Hałas ucichł powoli, ale pozostały ciche echa, odległe,, pulsujące dźwięki, które z pewnością były tam przez cały czas, ale on usłyszał je dopiero teraz, gdy zwrócił na nie uwagę.

Głos młodej kobiety znów zakłócił ciszę. Był miły, choć naznaczony nieprzyjemną, płaczliwą nutą żalu nad sobą.

- O co właściwie chodzi z tymi igrzyskami? Z jednej strony dość łatwo zobaczyć, co się dzieje ze zwycięzcami, którzy pozostali na Ziemi. Dostają wszystkie ciepłe posadki, zostają sędziami, gubernatorami, i tak dalej. Ale co z tymi, którzy co roku wygrywają prawo do wyjazdu na Wenus? Co oni tam robią?

- Osobiście zadowoliłbym się prezydenturą - rzekł swobodnie, nie chcąc opowiadać jej o swoich marzeniach.

- Musiałbyś być naprawdę kimś, żeby pokonać gang Hardie - roześmiała się,

- Pokonać KOGO? - Gosseyn z wrażenia aż usiadł.

- No, Michaela Hardie, prezydenta Ziemi.

Powoli opadł z powrotem na ziemię. A więc to mieli na myśli Nordegg i pozostali w hotelu. Jego historia musiała naprawdę brzmieć jak majaczenia szaleńca. Prezydent Hardie, Patricia Hardie, letni pałac w Cress Village - i informacja w jego mózgu, której każdy bit wydawał się prawdziwy. Któż mógł ją tam umieścić? Rodzinka Hardie?

- Czy mógłbyś mnie nauczyć, jak wygrać w igrzyskach choćby jakąś skromną pracę? - zapytała Teresa nieśmiało.

- Co takiego? - Gosseyn spojrzał na nią ze zdumieniem. Po chwili zaskoczenie ustąpiło miejsca bardziej życzliwym uczuciom. -Nie, nie wiem, jak można by to zrobić. Podczas igrzysk potrzeba wiedzy i umiejętności, których nabiera się naprawdę długo. Przez ostatnie dwa tygodnie igrzyska wymagają takiej elastyczności pojmowania, że jedynie najbystrzejsze, najbardziej rozwinięte umysły świata są w stanie temu sprostać.

- Nie interesują mnie ostatnie dwa tygodnie. Jeśli ktoś dojdzie do siódmego dnia, dostaje pracę. Zgadza się?

- Najbardziej poślednia praca, o którą ubiegają się uczestnicy igrzysk, jest płatna dziesięć tysięcy rocznie - łagodnie wyjaśnił Gosseyn. - Jeśli dobrze rozumiem, konkurencja jest zacięta.

- Jestem dość szybka - oznajmiła Teresa. -1 bardzo zdesperowana. To powinno pomóc.

Gosseyn wątpił w to, ale żal mu było dziewczyny.

- Jeśli chcesz, streszczę ci to w kilku słowach - zaproponował i zawiesił głos.

- Proszę, mów - ponagliła.

Gosseyn zawahał się. Nagle poczuł się głupio, rozmawiając o tym z tak niewykształconą osobą.

- Mózg ludzki-zaczął niechętnie-podzielony jest mniej więcej na dwie części: korę i wzgórze. Kom jest ośrodkiem klasyfikowania, a wzgórze to ośrodek odpowiedzialny za emocjonalne reakcje systemu nerwowego. - Przerwał nagle. - Byłaś kiedyś w gmachu Semantyki?

- Och, tak. To było cudowne! Te wszystkie klejnoty i drogocenne metale...

- Nie to miałem na myśli - mruknął Gosseyn, i przygryzł wargi. -

Chodzi mi o historię przedstawioną w obrazach na ścianie. Pamiętasz ją?

- Nie bardzo. - Teresa chyba zorientowała się, że nie jest z niej zadowolony. - Ale pamiętam tego człowieka z brodą... jakże on się nazywał? Tego dyrektora...

- Lavoisseura?- Gosseyn zmarszczył brwi.- Myślałem, że zginął w wypadku kilka lat temu. Kiedy go widziałaś?

- W zeszłym roku. Był w fotelu na kołkach.

Gosseyn przez krótką chwilę myślał, że pamięć znów płata mu figle. Wydało mu się dziwne, że ktoś, kto grzebał w jego umyśle, nie chciał, aby wiedział, iż legendarny Lavoisseur żyje. Zawahał się, ale podjął przerwany temat

- Zarówno kora, jak i wzgórze mają cudowne, ukryte możliwości. Należy je trenować do granic możliwości, ale przede wszystkim trzeba sprawić, aby ich działanie było skoordynowane. Jest to konieczne dlatego, że jeżeli koordynacja, czy też integracja, nie występuje, pojawia się splątana osobowość, nadwrażliwa, czy też raczej neurotyczna. Ale z drugiej strony, jeżeli taka integracja zaistnieje, system nerwowy może wytrzymać niemal każdy wstrząs.

Gosseyn przerwał, wspominając szok, któremu niedawno uległ jego własny mózg.

- Co ci się stało? - szybko zapytała Teresa.

- Nic - odburknął i dodał ponuro: - Możemy wrócić do tej rozmowy jutro rano.

Nagle ogarnęło go zmęczenie. Położył się na ziemi. Zanim pogrążył się we śnie, jego ostatnia myśl związana była ze słowami wykrywacza kłamstw: „Tkwi w nim jakaś niezwykła, wyjątkowa siła...".

Kiedy się obudził, słońce stało już wysoko na niebie. Ani śladu Teresy Clark. Stwierdził jej nieobecność, szybko przeszukując obszar wokół krzewów. Wstał, przeszedł chodnikiem jakieś trzydzieści metrów, rozejrzał się. Najpierw na północ, potem na południe.

Chodniki i jezdnie tętniły życiem. Ludzie w wesołych, barwnych strojach mijali Gosseyna. Dźwięk głosów i maszyn zlewał siew. brzęk, ryk i szum. Nagle ogarnęło go podniecenie. W upojeniu zdał sobie sprawę z

tego, że jest wolny. Nawet zniknięcie dziewczyny świadczyło o tym, że nie była ona kolejnym elementem fantastycznego planu, który rozpoczął się atakiem na jego pamięć. Co za ulga - nareszcie mieć jaz głowy.

Od mijających go migotliwych grup ludzi oderwała się znajoma twarz. Teresa Clark. Niosła dwie brązowe torby z papieru. Zamachała do niego.

- Przyniosłam śniadanie - oznajmiła. - Pomyślałam, że pewnie będziesz wolał piknik wśród mrówek niż zapchaną restaurację.

Zjedli w milczeniu. Gosseyn zauważył, że posiłek był elegancko zapakowany w pudełka i plastikowe pojemniki na wynos. Był ten wysokoenergetyczny sok pomarańczowy, płatki zbożowe, gorące cynaderki na grzankach i kawa ze śmietanką, także podaną oddzielnie. Pięć dolarów, ocenił w myśli. Czyste szaleństwo dla osób, które muszą przeżyć trzydzieści dni za niewielką sumę. A poza tym, dziewczyna, która ma przy sobie pięć dolarów, na pewno zapłaciłaby swojej gospodyni za nocleg. Do licha, musiała mieć całkiem niezłą pracę, jeśli była przyzwyczajona do takich śniadań. Przyszła mu do głowy nowa myśl. Przez chwilę analizował ją ze zmarszczonym czołem, po czym spytał:

- Ten twój szef, który się do ciebie dobierał... jak on się nazywał?

- Co takiego? - zdziwiła się Teresa. Właśnie skończyła grzanki i rozglądała się za swoją torebką. Zaskoczona spojrzała na Gosseyna. Nagle jej twarz rozpogodziła się. - Ach, on!

Nastąpiła niezręczna przerwa.

- No więc? - nalegał Gosseyn. - Jak on się nazywał? Zdążyła już odzyskać równowagę.

- Wolałabym o nim zapomnieć - odparła. - To nic przyjemnego. - Zmieniła temat - Czy już pierwszego dnia muszę się wykazać wiedzą?

Gosseyn zawahał się, na pół zdecydowany, by drążyć dalej kwestię jej szefa, ale postanowił zaczekać.

- Nie. Pierwszego dnia na ogół załatwia się formalności. Rejestrują graczy i przydzielają im kabiny, w których przechodzą pierwsze testy. Studiowałem zapisy z igrzysk publikowane w ciągu ostatnich dwudziestu lat, to znaczy najdawniejsze, jakie Maszyna w ogóle ujawnia. Zauważyłem,

że pierwszego dnia zawsze dzieje się to samo. Musisz po prostu wyjaśnić, co to znaczy nie- A, nie- N i nie- E. - Mieszkając na Ziemi, musiałaś otrzeć się o ideę nie- A, choćbyś sama sobie tego nie uświadamiała. Przecież od kilku wieków ta filozofia w coraz większym stopniu określa nasze wspólne środowisko umysłowe -dokończył. -Ludzie, oczywiście, łatwo zapominają definicje, ale jeśli rzeczywiście tak ci na tym zależy...

- No pewnie - odparta dziewczyna i wyjęła z torebki papierośnicę. - Zapalisz?

Papierośnica zamigotała w słońcu. Na wymyślnie zdobionej powierzchni zabłysły diamenty, szmaragdy i rubiny. Z otworu wystawał papieros, automatycznie zapalony już wewnątrz. Oczywiście, kamienie mogły być sztuczne, złoto zwykłą imitacją. Wydawała się jednak ręcznej roboty i zadziwiała autentycznością. Gosseyn oszacował ją na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Nie, dziękuję - odpowiedział, gdy już odzyskał głos. - Nie palę.

- To specjalny gatunek - nalegała. - Cudownie delikatny.

Gosseyn potrząsnął głową, a ona tym razem przyjęła odmowę. Wyjęła papierosa i zaciągnęła się z wyraźnym zadowoleniem, po czym włożyła papierośnicę z powrotem do torebki. Wydawała się nieświadoma sensacji, jaką wywołał ten drobny przedmiot.

- Zajmijmy się zatem moją nauką- zaproponowała. - Potem możemy się rozdzielić i spotkać znowu wieczorem, zgoda?

Była bardzo władczą młodą damą i Gosseyn nie był pewien, czy uda mu się ją polubić. Coraz mocniej podejrzewał, że nie zjawiła się w jego życiu przypadkiem. Prawdopodobnie stanowiła ogniwo wiążące go z tymi, którzy grzebali mu w mózgu. Nie mógł pozwolić, żeby odeszła.

- Zgoda - odparł. - Ale nie mamy ani chwili do stracenia.

III

Być, to znaczy mieć kogoś.
C.JK

Gosseyn pomógł dziewczynie wyjść z naziemnego pojazdu. Szybko minęli ochronny pas drzew, potem masywne bramy, i dotarli do Maszyny. Dziewczyna szła beztrosko, ale Gosseyn przystanął. Maszyna znajdowała się w drugim końca szerokiej alei. Szczyt góry został wypoziomowany tak, aby znalazło się wokół niej miejsce na ogrody. Całość była odległa o kilkaset metrów od ukrytej w drzewach bramy. Maszyna wznosiła się wysoko w majestacie lśniącego metalu. Miała kształt stożka wycelowanego w niebo, ukoronowanego wieńcem atomowego światła, jaśniejszego niż południowe sionce. Jej widok, tak bliski, wstrząsnął Gosseynem. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że Maszyna nigdy nie zaakceptuje jego fałszywej tożsamości. Poczuł skurcz strachu i przystanął, dygoczący i przytłoczony. Teresa Clark również zatrzymała się i obejrzała na niego.

- Widzisz jaz bliska po raz pierwszy? - zapytała współczująco. - Wzięło cię, co?

W jej głosie brzmiało coś na kształt wyższości, która przywołała na twarz Gosseyna słaby uśmiech. Te mieszczuchy! - pomyślał ze smutkiem. Poczuł się lepiej i ruszył znowu, biorąc ją pod ramię. Powoli odzyskiwał wiarę w siebie. Maszyna z całą pewnością nie będzie go sądziła na podstawie takiej abstrakcji jak nominalna tożsamość, skoro nawet wykrywacz kłamstw w hotelu przyznał, że nieumyślnie podał nieprawdziwe dane

W miarę, jak się zbliżali, dum stawał się coraz gęściejszy. Ogrom Maszyny także stał się jeszcze bardziej widoczny. Obły, wysmukły kształt sprawiał wrażenie gładkiego i strzelistego, nawet pojedyncze kabiny dla graczy, ozdabiające i jednocześnie urozmaicające jej gigantyczną podstawę, nie mąciły tego wrażenia. Kabiny te znajdowały się wokół całego parteru, poprzedzielane jedynie prowadzącymi do nich korytarzami. Szerokie, zewnętrzne schody prowadziły na pierwsze, drugie i trzecie

piętro, jak również do trzech poziomów podziemnych. W sumie na kabiny dla graczy przeznaczone było siedem pięter.

- Teraz, kiedy tu jestem, nie czuję się już tak pewna siebie -odezwała się Teresa Clark. - Ci ludzie wyglądają na cholernie inteligentnych.

Na widok jej twarzy Gosseyn roześmiał się, ale nic nie powiedział. Był przekonany, że zdołałby utrzymać się aż do trzydziestego dnia. Jego problemem nie było to, czy zwycięży, lecz czy pozwolą mu spróbować.

Wyniosła i nieprzenikniona Maszyna górowała nad ludźmi, których wkrótce miała posortować zgodnie z ich wiedzą na temat semantyki. Nikt tak naprawdę nie wiedział, gdzie jest zlokalizowany jej elektromagnetyczny mózg. Gosseyn zastanawiał się nad tym, podobnie jak wielu innych przed nim.

Gdybym był projektantem-architektem, to gdzie bym go umieścił? - rozmyślał. Oczywiście, nie miało to żadnego znaczenia. Maszyna była znacznie starsza niż ktokolwiek z żyjących obecnie ludzi. Samoodnawiająca się, świadoma własnego życia i celu, tajemnicza, nieczuła na przekupstwo. Teoretycznie była też w stanie zapobiec własnemu zniszczeniu.

- To bomba!- krzyczeli co wrażliwsi ludzie, gdy była budowana.

- Nie - odpowiadali budowniczowie. - To nie jest urządzenie niszczycielskie, lecz nieruchomy, mechaniczny mózg posiadający możliwość kreatywnego myślenia i samodzielnego rozwoju w określonych, rozsądnych granicach.

W ciągu trzystu lat ludzie nauczyli się akceptować decyzje Maszyny, dotyczące tego, kto ma nimi rządzić.

Nagle do Gosseyna dotarła treść rozmowy, toczącej się między przechodzącą obok parą. Kobieta mówiła:

- Przeraża mnie to miasto bez policji.

- Nie rozumiesz, że to przedsmak Wenus, gdzie nie jest potrzebna żadna policja? - odparł mężczyzna. - Jeśli okażemy się godni Wenus, udamy się na planetę, na której wszyscy są zdrowi na umyśle. Ten czas, który spędzamy tutaj bez policji, pozwala oszacować, jaki postęp osiągnęliśmy tu, na Ziemi. Kiedyś, pamiętam, tak, to był koszmar. Ale już

teraz dostrzegam pewne zmiany. To jest naprawdę konieczne.

- Myślę, że tu się rozdzielmy - zaproponowała Teresa. - Pomieszczenia C są na drugim poziomie pod ziemią, a G tuż nad nimi. Spotkamy się wieczorem na parkingu, zgoda?

- Zgoda.

Gosseyn czekał, aż zniknie mu z oczu na klatce schodowej wiodącej do podziemia, po czym ruszył za nią. Zauważył ją przelotnie, u stóp schodów. Kierowała się w stronę wyjścia na końcu korytarza. Był już niedaleko niej, gdy nagle wbiegła na schody prowadzące na zewnątrz. Zanim dostał się na szczyt schodów, znalazła się już poza zasięgiem jego wzroku. Zawrócił, zamyślony. Poszedł za nią, ponieważ przypuszczał, że dziewczyna nie zdecyduje się stanąć do testów, ale teraz, kiedy jego podejrzenie się sprawdziło, był zaniepokojony. Sprawa Teresy Clark stawała się coraz bardziej skomplikowana. Bardziej zdenerwowany, niż sam się spodziewał, wszedł do wolnej kabiny testowej w sekcji G. Zaledwie drzwi zamknęły się za nim z lekkim kuknięciem, z głośnika odezwał się głos:

- Nazwisko?

Gosseyn zapomniał o Teresie Clark. Kryzys był tu, a nie tam.

Pokoik zawierał wygodne obrotowe krzesło, biurko z szufladami, a ponad nim przezroczyste płyty, za którymi w skomplikowanych wzorach błyskały wiśniowoczerwone i płomienistożółte lampki. Pośrodku panelu znajdował się zwykły głośnik, także wykonany z przezroczystego plastiku. Stąd dobiegał głos Maszyny. Właśnie powtarzał pytanie:

- Proszę o nazwisko. I proszę założyć elektrody.

- Gilbert Gosseyn - powiedział Gosseyn bardzo cicho. Nastało milczenie. Kilka wiśniowych lamp migotało niepewnie.

- Na razie je akceptuję - oznajmiła Maszyna obojętnie, Gosseyn zagłębił się w fotelu. Z podniecenia poczuł na skórze mrowienie. Znajdował się u progu ważnego odkrycia.

- Znasz moje prawdziwe nazwisko? - zapytał.

Nastąpiła kolejna przerwa. Gosseyn miał czas pomyśleć, że Maszyna właśnie w tej samej chwili przeprowadza dziesiątki tysięcy indywidualnych rozmów z osobami siedzącymi w kabinach wokół jej podstawy.

Nagle Maszyna odezwała się znowu.

- W twoim umyśle nie ma wzmianki o innym nazwisku - oznajmiła. - Zostawmy to na razie. Jesteś gotów do testu?

- T- tak, ale...

- Dość pytań na razie - przerwała Maszyna bardziej oficjalnym tonem. Kiedy jednak przemówiła znowu, jej głos brzmiał spokojnie. -W szufladach znajdziesz materiały piśmienne. Pytania są wydrukowane na każdym arkuszu. Nie spiesz się. Masz trzydzieści minut, a i tak wcześniej nie będziesz mógł wyjść z kabiny. Życzę szczęścia.

Pytania były takie, jakich Gosseyn się spodziewał: „Co to jest nie-arystotelizm? Co to jest nie- newtonizm? Co to jest nie- euklidyzm?"

Właściwie wcale nie były łatwe. Najlepszą metodą było nie udzielać szczegółowej odpowiedzi, lecz raczej wykazać się zrozumieniem wielowarstwowego znaczenia tych słów, jak również faktu, że każda odpowiedź jest jedynie abstrakcją. Gosseyn rozpoczął od napisania uznanych skrótów każdego z pojęć: nie-A, nie-N i nie-E.

Skończył w ciągu około dwudziestu minut i wyprostował się, drżąc z emocji.

- Na razie nie mam więcej pytań - odezwała się Maszyna. Chyba miało to oznaczać, że jeszcze do niego przemówi.

Po upływie dwudziestu pięciu minut znów rozległ się jej głos.

- Nie dziw się, że dzisiejsze pytania były takie łatwe. Pamiętaj, że celem igrzysk nie jest odrzucenie większości grających, lecz nauczenie ich, jak najlepiej wykorzystać skomplikowany system nerwowy, który jest ich ludzkim dziedzictwem. Mogą to osiągnąć jedynie ci, którzy przetrwają pełne trzydzieści dni igrzysk. Ci, którym nie udało się przejść dzisiejszego testu, zostali już o tym poinformowani. Nie będą uczestniczyć w dalszej części igrzysk. Reszcie - z radością muszę stwierdzić, że jest to ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent - życzę szczęścia jutro.

Procedura była prosta. Gosseyn włożył papier do odpowiedniej szczeliny, kamera telewizyjna zeskanowała tekst, porównała z prawidłowymi odpowiedziami, nie zwracając uwagi na szczegóły, i zarejestrowała pozytywną ocenę. Odpowiedzi dwudziestu pięciu tysięcy innych

zawodników zostały ocenione w taki sam sposób. W ciągu kilku minut kolejna grupa powtórzy całe doświadczenie od początku.

- Gilbercie Gosseyn, chciałbyś zadać jeszcze jakieś pytanie? - zagadnęła Maszyna.

- Rzeczywiście, chciałem cię o coś zapytać - powiedział po chwili potrzebnej na otrząśnięcie się ze zdumienia. - Ktoś umieścił w moim umyśle fałszywe dane. Czy zostały tam umieszczone w jakimś celu?

- Tak.

- Kto je tam umieścił?

- W twoim mózgu nie ma na ten temat żadnej informacji.

- Więc skąd wiesz, że ktoś je tam włożył?

- Logiczne rozumowanie-odparła Maszyna-oparte na informacji. Bardzo znamienny był dla mnie fakt, że twoje iluzje związane były z Patricią Hardie.

Gosseyn zawahał się, ale wreszcie wypowiedział myśl, która dręczyła go od dawna.

- Wielu psychoneurotyków ma tego rodzaju silne przekonania. Ludzie tacy najczęściej identyfikują się z kimś potężnym: .jestem Napoleonem" ,,jestem Hitlerem", .jestem Thargiem"; .jestem mężem Patricii Hardie". Czy moje przekonanie należy do tej kategorii?

- Zdecydowanie nie. Bardzo silne przekonanie można narzucić za pomocą hipnozy, a twój przypadek jest podobny. Dlatego, kiedy się dowiedziałeś, że Patricią żyje, byłeś w stanie odrzucić rozpacz. Jednak nie wróciłeś w pełni do zdrowia.

Nastąpiła przerwa, po której Maszyna przemówiła znowu, ale w jej słowach był jakiś niezwykły smutek.

- Jestem tylko nieruchomym mózgiem, ale posiadam mglistą świadomość tego, co dzieje się w różnych miejscach Ziemi. Mogę się jedynie domyślać, jakie plany się snuje. Będziesz zaskoczony i rozczarowany, że nie potrafię ci powiedzieć na ten temat nic więcej.

- A co mi możesz powiedzieć? - zapytał Gosseyn.

- Że cała ta sprawa dotyczy ciebie w jakiś szczególny sposób, aleja nie mogę ci pomóc. Powinieneś pójść do psychiatry, żeby zrobił zdjęcie

twojej kory mózgowej. Odnoszę wrażenie, że w twoim mózgu dzieje się coś dziwnego, ale nie potrafię tego sprecyzować. To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Do zobaczenia jutro.

Od strony wejścia rozległo się kliknięcie. Drzwi otworzyły się automatycznie. Gosseyn wyszedł na korytarz, zawahał się przez moment i ruszył na pomoc, przedzierając się przez spieszący się tłum.

Znalazł się na brukowanej alei, W kierunku północno- zachodnim, jakieś czterysta metrów dalej, zaczynały się inne budynki. Były ustawione geometrycznie, w grupkach wokół placu, w którego głębi znajdował się pałac Maszyny, otoczony kępami drzew i zadbanymi klombami.

Pałac nie był wysoki, jego elegancka bryła odznaczała się jednak pośród żywej zieleni i wspaniałości kwitnącego parku. Ale nie to zatrzymało Gosseyna. Jego umysł zaczął badać, wyobrażać sobie, analizować. Tu mieszka prezydent Hardie i jego córka Patricia. Jeśli on jest tak głęboko wmieszany w jakąś tajemniczą sprawę, jej to także musi dotyczyć. Co spowodowało, że umieszczono w jego mózgu przekonanie, iż był kiedyś mężem nieżyjącej obecnie Patricii? Wydawało się to nieco dziwne. Każdy, nawet hotelowy wykrywacz kłamstw, mógł natychmiast go rozszyfrować, nawet, gdyby obok nie było Nordegga, który go oskarżył.

Gosseyn skręcił i ruszył wokół podstawy Maszyny, w stronę centrum miasta. Zjadł lunch w małej restauracji nad rzeką i zaczął przeglądać żółte kartki spisu telefonów. Znał potrzebne mu nazwisko i znalazł je niemal natychmiast: Enright, David Lester, psycholog; 709, gmach Nauk Medycznych.

Enright napisał kilka książek, które zalecano każdemu, kto chciał przetrwać poza dziesiąty dzień igrzysk. Wspomnienie krystalicznie jasnego stylu, głębokiego szacunku, z jakim używał wszystkich wie-lopłaszczyznowych określeń semantycznych, horyzonty intelektualne tego człowieka i pełne, całościowe zrozumienie ludzkiego ciała i umysłu, zawsze sprawiało Gosseynowi prawdziwą przyjemność.

Zaniknął spis i wyszedł na ulicą. Czuł się swobodnie, zdenerwowanie minęło. Zaczynał dostrzegać iskierkę nadziei. Sani fakt, że pamiętał Enrighta i jego książki z taką dokładnością, świadczyło tym, jak lekka jest

amnezja, której uległ. Jeśli ten sławny człowiek się nim zajmie, powrót do zdrowia nie powinien trwać długo. W biurze doktora recepcjonista stwierdził:

- Doktor Enright przyjmuje jedynie umówionych pacjentów. Ma wolną chwilę za trzy dni, w czwartek, o drugiej po południu. Musi pan złożyć depozyt w wysokości dwudziestu pięciu dolarów.

Gosseyn zapłacił, wziął rachunek i wyszedł. Był rozczarowany, ale nie za bardzo. Dobrzy lekarze w świecie, który daleki jest od osiągnięcia doskonałości nie-A, muszą być ludźmi bardzo zajętymi.

Znalazł się znów na ulicy i zagapił się na jeden z największych, najpotężniejszych samochodów, jakie widział w życiu. Samochód minął go i zatrzymał się przy krawężniku trzydzieści metrów dalej. Jego maska lśniła w popołudniowym słońca. Lokaj w liberii wyskoczył z miejsca obok szofera i otworzył drzwi. Z samochodu wysiadła Teresa Clark. Miała na sobie popołudniową sukienkę z jakiegoś ciemnego, drogiego materiału. Nie wydawała się w tym stroju mniej szczupła, ale ciemne barwy sprawiły, że jej twarz wyglądała na pełniejszą i nie tak mocno opaloną. Teresa Clark! W obliczu tej wspaniałości nazwisko nie miało większego znaczenia.

- Kto to taki? - zapytał Gosseyn mężczyzny, który zatrzymał się obok niego.

Nieznajomy spojrzał na niego ze zdumieniem i wymienił nazwisko, które Gosseyn i tak już odgadł.

- Ależ to Patricia Hardie, córka prezydenta. Prawdziwa neurotyczka, o ile wiem. Patrz pan, na przykład, na ten samochód, lak przerośnięty klejnot, prawdziwa oznaka...

Gosseyn odszedł, odwracając twarz od samochodu i jego pasażerki. Nie chciał dać się rozpoznać, dopóki tego nie przemyśli. Śmieszne byłoby sądzić, że dziewczyna rzeczywiście przyjdzie wieczorem na parking, aby spędzić noc z obcym mężczyzną.

Ale przyszła.

Gosseyn stał w mroku i w zamyśleniu przyglądał się sylwetce dziewczyny. Podchodził na parking bardzo ostrożnie. Zaszedł ją od tyłu i wydawało się, że w dalszym ciągu nie zdawała sobie sprawy z jego

obecności. Oczywiście, pomimo dokładnego rekonesansu, jaki przeprowadził, mógł już być w pułapce. Jednak musiał podjąć to ryzyko. Teresa stanowiła jedyne powiązanie z tajemnicą, której był częścią. Obserwował ją ciekawie, na tyle, na ile pozwalała mu aa to zapadająca ciemność.

Z początku siedziała z lewą stopą wsuniętą pod prawe udo. W ciągu dziesięciu minut zmieniła pozycję z pięć razy. Dwukrotnie prawie wstała. Resztę czasu spędziła, rysując palcem figury w bawię. Wyjęła papierośnicę i schowała z powrotem, nie biorąc papierosa. Poderwała głowę około pół tuzina razy, jakby dumnie odrzucając jakąś myśl. Dwa razy wzruszyła ramionami, założyła ręce i zadrżała, jakby z zimna. Trzy razy westchnęła głośno, niecierpliwie mlaskając językiem, a przez jedną całą minutę siedziała sztywno i zupełnie nieruchomo.

Poprzedniej nocy nie była taka nerwowa. W ogóle nie wydawała się zdenerwowana, jeśli nie Uczyć krótkiego okresu, kiedy udawała strach przed ludźmi, którzy podobno ją gonili. Gosseyn doszedł do wniosku, że to skutek długiego wyczekiwania. Była nastawiona na spotykanie się z ludźmi i rządzenie nimi. Samotna, nie miała dość cierpliwości.

Co takiego powiedział dzisiaj ten przechodzień? Neurotyczka? Ależ tak, bez wątpienia. Jako dziecko zapewne pozbawiona była początkowego szkolenia nie-A, które jest przecież niezbędne, aby rozwinąć pewne obszary inteligencji. Zastanawiające było jedynie, jak takie przeszkolenie mogło zostać zaniedbane w domu równie wspaniale zintegrowanego człowieka, jak prezydent Hardie. Bez względu na powód, była istotą, której działania były całkowicie kontrolowane przez wzgórze. Bez trudu mógł ją sobie wyobrazić w stanie załamania nerwowego.

Obserwował ją, dopóki nie zapadły ciemności. Po dziesięciu minutach wstała i przeciągnęła się, po czym usiadła znowu. Zdjęła buty, przetoczyła się po trawie w stronę Gosseyna i położyła się. Wtedy go zauważyła.

- W porządku - uspokoił ją cichym głosem. - To tylko ja. Musiałaś słyszeć, jak nadchodzę.

Oczywiście nie mogła tego słyszeć, ale ponieważ na jego widok zerwała się do pozycji siedzącej, wydawało mu się, że w ten sposób

najszybciej ją uspokoi.

- Okropnie mnie przestraszyłeś - powiedziała, ale w jej głosie wcale nie wyczuwało się strachu. Był spokojny, nieco zrezygnowany. Ta dziewczyna rzeczywiście miała czysto wzgórzowe odruchy.

Usiadł na trawie obok niej i pozwolił, aby ogarnęła go atmosfera nocy. Drugiej nocy bez policji! Trudno było w to uwierzyć. Słyszał odgłosy miasta, słabe, wyraźne i całkiem niegroźne. Gdzie się podziali gangsterzy i złodzieje? Gdy tak siedział w tym ciemnym miejscu, wydawali się całkowicie nierealni. Może czas i doskonały system edukacyjny zredukowały ich liczbę, pozostawiając jedynie legendę i kilku niedobitków, którzy włóczyli się po nocy, szukając bezbronnych ofiar. Nie. To nie było możliwe. Ludzie, w miarę, jak ich umysły integrowały się ze strukturą otaczającego ich wszechświata, stawali się coraz odważniejsi, nie coraz tchórzliwsi. Gdzieś tam ktoś właśnie planuje lub popełnia brutalny czyn. Gdzieś? Może właśnie tutaj.

Gosseyn spojrzał na dziewczynę. A potem, bardzo cicho, zaczaj opowiadać. Opisał swoją gehennę -jak wyrzucono go z hotelu, amnezję, która blokowała jego umysł, dziwne przeświadczenie, że był mężem Patricii Hardie.

- A potem - kończył smutno - okazało się, że ona żyje, i to całkiem nieźle.

Patricia Hardie zapytała:

- Ci psychologowie, tacy jak ten, do którego się wybierasz... czy to prawda, że są to ludzie, którzy wygrali w igrzyskach wyprawę na Wenus i wrócili na Ziemię, aby tu pracować? I że tylko tacy ludzie mają prawo zajmować się psychiatrią i innymi związanymi z nią naukami?

Gosseyn nigdy się nad tym nie zastanawiał.

- Chyba nie - odparł. - Inni mogą się tego nauczyć, oczywiście, ale...

Uświadomił sobie, że bardzo potrzebuje, wręcz pragnie spotkania z doktorem Enrightem. Ileż można się nauczyć od takiego człowieka! I nagle obudziła się czujność... dlaczego właśnie ona musiała zadać to pytanie, zamiast skomentować jego historię jako całość. Jednak twarz dziewczyny pogrążona była w ciemności i nie mógł z niej nic wyczytać.

- To znaczy, że nie masz najmniejszego pojęcia, kim jesteś? A w ogóle, jak się znalazłeś w hotelu?

- Pamiętam, że w Cress Village wsiadłem do autobusu, jadącego na lotnisko w Nolendii - odparł trzeźwo Gosseyn. -1 doskonale pamiętam, że siedziałem w samolocie.

- Czy jadłeś coś na pokładzie?

Gosseyn przez chwilę próbował sobie przypomnieć. Świat, który próbował odkryć, był niematerialny i równie nie istniejący, jak inne, jemu podobne. Wspomnienie nigdy nie było tożsame z pamiętanym zdarzeniem, ale u większości ludzi istnienie wspomnienia oznaczało, że istotnie zdarzył się fakt o podobnej strukturze. Jednak jego umysł nie zawierał niczego, co miało związek ze strukturą fizyczną. Nie jadł, na pewno nic nie jadł.

Dziewczyna mówiła dalej:

- I naprawdę nie masz najmniejszego podejrzenia, o co może w tym wszystkim chodzić? Nie masz jakiegoś planu, by sobie z tym poradzić? Po prostu błądzisz w wielkiej ciemności?

- Tak właśnie jest - odparł Gosseyn i czekał.

Milczenie trwało długo, bardzo długo. A kiedy przyszła odpowiedź, nie pochodziła ona od dziewczyny. Z zarośli wyroiło się nagle kilku ludzi. Pochwycili go. Zerwał się, odpychając od siebie pierwszego z napastników. Dławiące przerażenie kazało mu walczyć nawet wówczas, gdy sieć raje oplotła go tak, że wszelki opór stał się daremny.

- W porządku - odezwał się ktoś. - Ładować ich do samochodów i wynośmy się stąd. Gosseyn, wepchnięty na tylne siedzenie przestronnej limuzyny, zastanawiał się, czy ci ludzie pojawili się w odpowiedzi na sygnał wysłany przez dziewczynę, czy może należeli do gangu?

Jego spekulacje zostały na chwilę przerwane przez gwałtowny zryw ruszającego z miejsca samochodu.

IV

Nauka to nic innego, jak tylko zdrowy rozsądek
i solidne rozumowanie.
Stanisław Leszczyński, król Polski, 1763

Samochody mknęły na północ przez opustoszałe ulice. Gosseyn zauważył, że przed nim jechały dwa, a za nim trzy inne pojazdy. W jednym z nich siedziała Patriota Hardie, ale nawet wytężając wzrok nie mógł jej zobaczyć. I tak nie miało to większego znaczenia. Przyjrzał się swym strażnikom i podejrzenie, iż nie jest to gang uliczny, nabrało większej mocy.

Powiedział coś do mężczyzny, który siedział po jego prawej stronie. Mężczyzna nie odpowiedział. Zwrócił się do drogiego, po lewej. Zanim jednak zdążył się odezwać, mężczyzna oznajmił:

- Nie jesteśmy upoważnieni do rozmowy z tobą.

Upoważnieni! Gangsterzy nie mówią w ten sposób. Gosseyn opadł na fotel z wyraźną ulgą. Samochody zatoczyły wreszcie szeroki łuk i pogrążyły się w tunelu. Minuta za minutą gnały naprzód po lekko wzniesionej w górę drodze, prowadzącej przez słabo oświetloną jaskinię. Około pięciu minut później tunel przed nimi rozjaśnił się nieco. Nagle samochody wychynęły na kolisty dziedziniec. Zwolniły i zatrzymały się przed bramą. Pasażerowie zaczęli wysiadać. Gosseyn przelotnie zauważył dziewczynę, która opuściła pojazd z przodu. Zatrzymała się i zawróciła, mierząc go wzrokiem.

- W kwestii formalnej - rzuciła. - Jestem Patricia Hardie.

- Tak, wiem o tym - odparł Gosseyn. - Od popołudnia. Ktoś mi cię pokazał.

Jej oczy rozjarzyły się.

- Ty cholerny głupcze - syknęła. - Dlaczego nie uciekłeś?

- Musiałem się dowiedzieć. Muszę wiedzieć, kim naprawdę jestem. - W jego głosie zabrzmiał ten ton, uczucie pustki, jakie odczuwa człowiek, który stracił tożsamość.

- Biedny durniu - odezwała się łagodniejszym głosem. - Teraz, kiedy wszyscy przygotowują się do wielkiego skoku, mają szpiegów w każdym

hotelu. To, co na twój temat powiedział wykrywacz kłamstw, zostało natychmiast doniesione, gdzie należy. Oni po prostu wolą nie ryzykować. - Zawahała się. - Masz jedną szansę - dodała brutalnie. - Może Thorson nie zainteresuje się tobą. Mój ojciec nalega, żeby cię zbadał. Ale na razie Thorson uważa, że jesteś pionkiem. - Jeszcze raz zamilkła na chwilę. - Przykro mi - szepnęła i odeszła. Nie obejrzała się. Szła w stronę odległych drzwi; które otwarły się, kiedy ich dotknęła. Szczelina odsłoniła na moment bardzo jasny korytarz, potem drzwi znów się zamknęły.

Minęło kilka minut, może pięć, może dziesięć. Wreszcie z innych drzwi wyszedł człowiek o orlim nosie i zmierzył wzrokiem Gosseyna.

- A więc to ty jesteś tym niebezpiecznym gościem!- rzekł z wyraźną drwiną.

W pierwszej chwili Gosseyn nie przejął się tą obelgą. Zaczął analizować fizyczne cechy nieznajomego, kiedy nagle dotarto do niego znaczenie tych słów. Do tej pory spodziewał się, że każą mu wysiąść z samochodu. Teraz spokojnie rozparł się w fotelu. Myśl, że traktują go jak niebezpiecznego osobnika, była zupełnie nowa. Wydawało się, że nie jest w żaden strukturalny sposób powiązana z faktami. Gilbert Gosseyn był wyszkolonym nie-A, którego mózg został uszkodzony przez amnezję. Podczas igrzysk mógł się okazać godny wyjazdu na Wenus, ale i tak byłby tylko jednym z tysięcy podobnych mu zwycięzców. Jeśli istniała ta jedna, jedyna strukturalna różnica pomiędzy nim a innymi istotami ludzkimi, musiał ją jeszcze odkryć i ujawnić.

- Ach, milczysz - wycedził mężczyzna. - Przerwa nie- A, jak sądzę. W tej chwili obecna trudna sytuacja, w jakiej się znajdujesz, dociera do kory mózgowej, i wkrótce proces ten zaowocuje semantycznie inteligentną uwagą.

Gosseyn przyglądał mu się z ciekawością. Grymas na twarzy tamtego złagodniał w ruchach nie było już tej zwierzęcej doskonałości.

- Mogę jedynie przypuszczać, że poniosłeś kieskę w igrzyskach i dlatego z nich drwisz - mruknął z politowaniem. - Nieszczęsny głupcze!

Mężczyzna roześmiał się.

- Chodź - rzekł. - Czeka cię parę niespodzianek. A przy okazji,

nazywam się Thorson. Jim Thorson. Mogę ci się przedstawić, bo nie boję się, że to rozpowiesz.

- Thorson! - powtórzył Gosseyn jak echo i zamilkł. Już bez słowa podążył za nim do ozdobnego wejścia pałacu Maszyny, gdzie mieszkali prezydent i Patricia Hardie.

Zaczął rozmyślać o tym, że powinien podjąć zdecydowaną próbę ucieczki. Ale jeszcze nie teraz. Zabawne, że odczuwa to tak silnie. Że wie, iż zdobycie informacji o sobie jest ważniejsze niż cokolwiek innego.

Długi, wykładany marmurem korytarz kończył się otwartymi dębowymi drzwiami. Thorson przepuścił Gosseyna, krzywiąc długą twarz. Sam wszedł także i zaniknął drzwi przed nosem strażników, którzy mu do tej pory towarzyszyli.

W pomieszczeniu czekało na niego troje ludzi: Patricia Hardie i dwóch mężczyzn. Jeden z nich, przystojny typ w wieku około czterdziestu pięciu lat, siedział za biurkiem. Uwagę Gosseyna przyciągnął jednak ten drugi.

Kiedyś uległ wypadkowi i teraz był tylko połatanym potworem. Miał plastikowe ramię i plastikową nogę, a jego plecy zamknięte były w plastikowej klatce. Wyglądał tak, jakby zamiast głowy miał bezuchą, szklaną kulę. Spod gładkiej kopuły chirurgicznego plastiku wyzierała para oczu. W pewnym sensie miał szczęście. Od oczu w dół, jego twarz pozostała nietknięta. Nos, usta, podbródek i szyja wyglądały po ludzku. Dalej - wszelkie podobieństwo do normalnego wyglądu zależało od tego, jak elastyczny jest umysł obserwatora. Gosseyn na razie nie był przygotowany na żadne ustępstwa. Uznał, że najlepszą metodą działania na tym poziomie abstrakcji będzie zuchwalstwo.

- Do diabła, a cóż to takiego? -prychnął. Potwór zaśmiał się basowo, z humorem. Kiedy przemówił, jego głos był głęboki jak nuta g zagrana na skrzypcach.

- Powiedzmy, że jestem niewiadomą „X" - zaproponował.

Gosseyn przeniósł wzrok z „Iksa" na dziewczynę. Wytrzymała jego spojrzenie, choć na jej policzkach pojawił się cień rumieńca. Miała na sobie inną suknię, tym razem wieczorową. Wyglądała w niej tak, jak nigdy nie

mogłaby wyglądać Teresa Clark.

Było mu niezwykle trudno przenieść uwagę na drugiego z mężczyzn. Nawet dla jego wyszkolonego mózgu uznanie, że prezydent Ziemi jest spiskowcem, było zbyt wielkim obciążeniem. Ostatecznie jednak musiał się z tym pogodzić.

Podjęto nielegalne działania. Człowiek człowiekowi nie robił czegoś takiego, nie mówił takich rzeczy, jak Patricia czy Thorson, o ile nie miał ku temu powodów. Nawet Maszyna ostrzegała, że czekają go ciężkie chwile. Poza tym właściwie powiedziała mu, że rodzina Hardie maczała w tym wszystkim palce.

Prezydent Hardie miał surowe, władcze spojrzenie i uśmiech człowieka, którego obowiązkiem jest odnosić się do innych uprzejmie i taktownie. Wargi miał wąskie. Wyglądało na to, że potrafi stanowczo uciąć rozmowę lub kierować ją na ściśle określony temat Był typem przywódczym, czujnym, wprawnym w używaniu władzy i autorytetu. Prezydent przemówił:

- Gosseyn, należymy do ludzi, którzy byliby skazani na przeciętność, gdyby chcieli dawać posłuch zasadom Maszyny i filozofii nie-A. Jesteśmy bardzo inteligentni i wszechstronnie uzdolnieni, ale w naszej naturze leży pewien brak skrupułów, który w normalnych warunkach uniemożliwia odniesienie sukcesu. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent historii zostało stworzone przez ludzi podobnych nam i zapewniam cię, że w tym przypadku będzie tak samo.

Gosseyn wytrzeszczył oczy, czując ucisk w okolicy serca. Powiedziano mu już zbyt wiele. Oznaczało to, że albo spisek wkrótce zostanie ujawniony, albo też zawoalowane pogróżki, które jot zdążył usłyszeć, były śmiertelnie poważne.

- Powiedziałem ci to-ciągnął Hardie-abyś zrozumiał, że masz się zastosować do rozkazów. Zresztą wokół znajduje się kilka karabinów i wszystkie są wycelowane w ciebie. Dlatego bez sprzeciwu podejdziesz do tego krzesła - uczynił szeroki gest - i poddasz się pewnym nieprzyjemnym zabiegom, zaczynając od założenia kajdanków.

Przeniósł wzrok ponad głową Gosseyna.

- Thorson, przynieś wszystkie niezbędne przyrządy.

Gosseyn rozsądnie uznał, że tym razem nie ucieknie. Podszedł do fotela i pozwolił, aby Thorson przykuł mu kajdankami ramiona do poręczy. Z napięciem i zainteresowaniem obserwował, jak potężny mężczyzna przysuwa stół, zastawiony niewielkimi, delikatnie wyglądającymi przyrządami. Thorson w milczeniu przymocował mu plastrem do ciała dwanaście kielichowatych urządzeń - sześć na głowie i twarzy, pozostałe na szyi, ramionach i barkach.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie on jeden w tym pokoju jest zdenerwowany. Hardie i potwór aż pochylili się w fotelach. Dwie pary oczu - jedna niebieska, druga żółtobrązowa - lśniły wilgotno i pożądliwie. Dziewczyna siedziała w fotelu zwinięta w kłębek, z nogami podwiniętymi pod siebie. Jedną ręką sztywno trzymała przy ustach zapalonego papierosa, ssąc go nerwowo, bez zaciągania. Wciągała dym do ust i wypuszczała go szybko, raz po raz.

Thorson był najspokojniejszy z całej czwórki. Obojętnie dokonał pewnych poprawek w ustawieniu tej części maszyny, która znajdowała się poza zasięgiem wzroku Gosseyna, i pytająco spojrzał na Michaela Hardiego.

Jednak to Gosseyn przerwał milczenie.

- Myślę, że powinniście mnie najpierw wysłuchać - rzekł zdławionym głosem.

Urwał, nie dlatego, że skończył mówić, ale dlatego, że poczuł desperację. „Na Rozum, co się tu dzieje? Przecież coś takiego nie może się zdarzyć miłującemu prawo obywatelowi Ziemi w 2560 roku!"

- Czuję się jak dziecko w domu wariatów - wyznał głosem, który nawet w jego własnych uszach brzmiał chrapliwie. - Wiem, że czegoś ode mnie chcecie. Na miłość logiki, powiedzcie mi, o co chodzi, a ja zrobię, co będzie w mojej mocy. Oczywiście- ciągnął- cenię sobie życie bardziej niż cokolwiek, co moglibyście ode mnie zażądać. A wy o tym wiecie, ponieważ w naszym świecie nie-A żadna istota nie liczy się na tyle, by jej wynalazki, pomysły lub osobowość mogły być wykorzystane na szkodę ludzkości. Pojedyncze istoty nie są w stanie zachwiać równowagą skumulowanej

wiedzy, wykorzystanej przez zdeterminowanych, odważnych ludzi do obrony cywilizacji. To już zostało udowodnione. Pojedyncza dziedzina nauki nie może wygrać wojny - pytająco spojrzał na prezydenta Hardie. - Czy o to chodzi? O jakiś wynalazek z okresu mojego życia przed amnezją?

- Nie - tym razem odpowiedział „Iks". Kaleka wydawał się rozbawiony, kiedy dodał: - Wiesz co, to naprawdę ciekawe. Jest człowiek, który nie wie, po co żyje, ani skąd pochodzi, a jednak jego pojawienie się w tym momencie nie może być przypadkowe. Nawet hotelowy wykrywacz kłamstw nie potrafi określić jego prawdziwej tożsamości. To niesłychane zjawisko.

- Ale on mówi prawdę. - Patricia Hardie opuściła stopy na podłogę i machnęła dłonią, w której trzymała papierosa. Wyglądała i mówiła tak, jakby była tym naprawdę zainteresowana. - Wykrywacz kłamstw w hotelu powiedział, że on nie jest świadomy swojej tożsamości.

Plastikowe ramię poufale kiwnęło się w jej kierunku. Bas brzmiał pobłażliwie:

- Droga młoda damo, nie kwestionuje, tego, co powiedział wykrywacz. Nie zapominajmy jednak, że każdą maszynę można w końcu okłamać. Wspaniały pan Crang i ja - bas nabrał mentorskich tonów - udowodniliśmy to już nie raz, ku zadowoleniu wszystkich, z twoim ojcem włącznie. Nie sądzę, abyśmy mogli zaakceptować jakiekolwiek oświadczenie złożone przez samego Gosseyna, albo wydane na jego temat przez zwykłe urządzenie do badania mózgu.

Prezydent Hardie skinął głową.

- On ma rację, Pat W normalnych warunkach człowiek, który twierdzi, że jest mężem mojej córki, zostałby uznany za jeszcze jednego psychoneurotyka. Jednakże pojawienie się kogoś takiego dokładnie w tym momencie musi zostać dokładnie zbadane. Sam fakt, że hotelowy wykrywacz kłamstw nie był w stanie określić jego tożsamości, jest na tyle niezwykły, iż zainteresował się nim nawet Thorson. Myślę, że to agenci Ligi Galaktycznej podrzucili go nam do zbadania. Cóż, zbadajmy go zatem. Jakie masz plany, Jim?

Thorson wzruszył ramionami.

- Chciałbym przełamać blokady pamięci i dowiedzieć się, kim on naprawdę jest.

- Nie sądzę, aby informacja, którą uzyskamy, mogła zostać rozpowszechniona - wtrącił„Iks". - Panno Hardie, proszę wyjść z pokoju. Dziewczyna zacisnęła usta.

- Wolę zostać - odparła i dumnie potrząsnęła głową, - W końcu ryzykowałam.

Nikt się nie odezwał. Półczłowiek patrzył na nią wzrokiem, który Gosseynowi wydał się nieugięty. Patricia Hardie zakręciła się w miejscu, spojrzała na ojca, jakby w poszukiwaniu poparcia. Prezydent odwrócił wzrok, niepewnie wiercąc się w fotelu.

Wstała ze wzgardliwym grymasem ust

- A więc i ciebie przekabacił - rzekła opryskliwie. - Nie myśl, że się gp boję. W końcu wpakuję mu kulkę, której żaden chirurg nie będzie w stanie załatać plastikiem.

Wyszła, zatrzaskując za sobą drzwi.

- Chyba już nie musimy tracić czasu - odezwał się Hardie.

Nie było sprzeciwu. Gosseyn ujrzał, że palce Thorsona błąkają się koło wyłącznika zasilania maszyny stojącej na stole. Pałce poruszyły się, przekręciły mocno. Rozległ się trzask, a potem cichy pomruk.

Z początku nic się nie działo. Gosseyn napiął się, aby przyjąć falę energii, która jednak nie nadeszła. Tępo przyglądał się szumiącej i pulsującej maszynie. Jak wiele innych urządzeń, miała własny typ lamp elektronowych. Gosseyn nie był w stanie stwierdzić, czy służyły one do kontroli prędkości niewidzialnych silników, wzmacniania nie zidentyfikowanych sygnałów we wnętrzu jego ciała, a może zmian w czasie niewidzialnego procesu, czy też do całkiem innych, nie określonych celów.

Niektóre lampy świeciły jasno przez otworki w nieprzezroczystej, zaokrąglonej obudowie. Inne - o czym wiedział - były zbyt czułe, aby wystawiać je na tak mocne bodźce, jak temperatura i oświetlenie pokoju. Ukryte w małych obudowach, drobną tylko częścią ich wrażliwych, gładkich jak szkło korpusów wystawiane były na świat zewnętrzny.

Patrzenie wywoływało ból oczu. Mrugał bez przerwy. Łzy zaczęły mu

przesłaniać widok. Z wysiłkiem odwrócił wzrok od stołu i maszyn. Ruch musiał być zbyt gwałtowny dla jego napiętych nerwów, bo coś zapulsowało mu w czaszce, a potem rozbolała go głowa. Nagle zrozumiał, że to właśnie robiła z nim Maszyna. Poczuł się, jakby tonął w ciemnym stawie. Ze wszystkich stron czuł napór, również od środka. Jakby z wielkiej odległości słyszał głos Thorsona, pouczający słuchaczy:

- To bardzo interesująca Maszyna. Wywołuje zmiany energii w komórkach nerwowych. Energia pochłaniana jest przez tuzin elektrod znajdujących się na głowie i ramionach Gosseyna i przepływa równo przez wszystkie połączenia nerwowe w jego ciele. Sama nie ustanawia żadnych nowych połączeń. Musicie myśleć o niej jako o impulsie, który natychmiast ucieka przed najmniejszą trudnością. Momentalnie cofa się przed każdą przeszkodą, począwszy od jednego procenta tego, co uważamy za normalne. To najdoskonalszy przykład energii wyszukującej drogę najmniejszego oporu.

Trudno było myśleć, kiedy mówił. Umysł Gosseyna nie był w stanie sformułować najprostszej myśli. Opierał się rozpraszającej sile głosu i strumieniowi energii, który przez niego przepływał. Czuł jedynie strzępki myśli i głos Thorsona.

- Interesującą z punktu medycznego cechą tej sztucznie generowanej energii nerwowej jest to, że można ją sfotografować. Za kilka minut, kiedy ruch sztucznej energii obejmie wszystkie linie najmniejszego oporu, będę mógł uzyskać negatywy, z których przygotuję odbitki. Po powiększeniu wszystkich klatek będziemy mogli określić, w której części mózgu skoncentrowana jest jego pamięć. Ponieważ nauka zna od dawna naturę pamięci zmagazynowanej w każdej grupie komórek, możemy określić, jak skoncentrować nacisk, aby wymusić, by dane wspomnienie przeszło na poziom werbalny. Potem, wykorzystując więcej energii i wprowadzając skomplikowaną formułę systemową kojarzenia słów, będziemy mogli przeprowadzić właściwą operację. - Wyłączył maszynę i wyjął film z kamery.

- Pilnujcie go! - rzekł i zniknął w sąsiednim pokoju.

Pilnowanie nie było konieczne. Gosseyn nie byłby w stanie ustać na

nogach. Miał wrażenie, iż jego mózg kręci się szybko w iluzji wirowania. Jak dziecko, które było okręcane zbyt długo i zbyt szybko, musiał teraz wrócić do równowagi. Zanim jeszcze odzyskał Zdolność normalnego widzenia, zjawił się Thorson. Wszedł powoli i, ignorując „Iksa" i Hardiego, podszedł do Gosseyna. W ręku trzymał dwa wydruki. Stanął z nimi naprzeciwko więźnia i przypatrywał ma się w zamyśleniu.

- Co tam masz? - zapytał Hardie z lewej strony Gosseyna.

Thorson niecierpliwie machnął ręką, by go uciszyć. Był to zaskakująco nieuprzejmy gest, a co więcej, sam Thorson wydawał się nieświadomy tego, iż go wykonał. Stał tam i nagle jego zachowanie przestało być już zachowaniem normalnego człowieka. Musiał się hamować z całych sił. Pod zimną powłoką rozgorzał płomień energii nerwowej wyjątkowo silnej istoty ludzkiej. Gosseyn' zauważył, że Thorson nie okazuje zwierzchnikom szacunku, lecz rozkazuje. Pewnie, ostatecznie, nieodwołalnie. Jeśli zgadzał się z innymi, to tylko dlatego, że tego chciał. Jeśli się nie zgadzał, przeważała jego opinia.

„Iks" podjechał i łagodnie wyjął wydruki z palców Thorsona. Podał jeden z nich Hardiemu. Obaj przyglądali się zdjęciom z odmiennymi i wyraźnie uwidaczniającymi się uczuciami.

Kaleka uniósł się na fotelu. Ruch ten ujawnił kilka nowych szczegółów jego na pół plastikowego ciała. Był wyższy, niż się Gosseynowi wydawało, co najmniej metr siedemdziesiąt pięć. Widać było, w jaki sposób plastikowe ramię przymocowane jest do plastikowej klatki wokół jego korpusu. Widać było także, że jego twarz może przybrać wyraz zaskoczenia.

- To dobrze, że nie pozwoliliśmy, aby zobaczył go psychiatra -rzekł półgłosem. - Uderzyliśmy we właściwym momencie, na samym początku.

Michael Hardie wydawał się zirytowany.

- O czym ty mówisz? Nie zapominaj, że znajduję się na moim obecnym stanowisku tylko dzięki temu, że jesteś w stanie kontrolować Maszynę Igrzysk. Te wszystkie historie nie-A o ludzkim mózgu nigdy jakoś nie chciały mi wejść do głowy. A tu widzę tylko jakąś jasną plamę. Wydaje mi się, że te tutaj to linie wykresów nerwów i że się rozpłaczą, kiedy je

powiększymy.

Tym razem Thorson raczył usłyszeć. Podszedł do prezydenta, pokazał mu coś na wydruku i szeptem udzielił wyjaśnienia. Krew z wolna odpłynęła z twarzy Hardiego.

- Będziemy musieli go zabić - rzekł złowieszczo. -1 to zaraz. Thorson z irytacją potrząsnął głową.

- A po co? Cóż on takiego może zrobić? Ostrzec cały świat? -Nagle zmienił ton na bardziej rzeczowy. - Patrzcie, obok TEGO nie ma jasnych linii.

- A jeśli nauczy się TEGO używać? - spytał Hardie ze strachem.

- Ależ to zajęłoby całe miesiące! - oburzył się „Iks". - W ciągu kilku godzin nie nauczysz się nawet zginać palca!

Szeptali jeszcze przez chwilę, aż wreszcie Thorson odezwał się gniewnie:

- Przecież nie myślicie, że uda mu się uciec z tej celi! Chyba, że czytaliście arystotelesowskie powieści o niepokonanych bohaterach!

Wreszcie dyskusja, czyje będzie na wierzchu, dobiegła końca. Czterech ludzi weszło i zabrało Gosseyna, tak, jak siedział, razem z kajdankami i fotelem. Znieśli go po schodach, cztery piętra niżej, do celi z litej stali. Ostatnie schody prowadziły wprost do celi, a kiedy tragarze zawrócili na piętro, mechanizm wyniósł całą kładce schodową w górę, przez otwór w suficie, znajdujący się siedem metrów wyżej. Na otwór z hukiem opadła stalowa klapa. Grube stalowe drągi zatrzasnęły się. I zapadła cisza.

V

Gosseyn siedział nieruchomo w stadowym fotela Serce waliło mu jak młotem, skronie pulsowały i co chwila czuł mdłości i zawroty głowy. Obficie się pocił. Boję się, pomyślał. Cholernie, obrzydliwie się boję.

Jego strach przenikał chyba aż do jądra komórek ciała. Kwiat stula wieczorem płatki z łęku przed' ciemnością, choć nie im układu nerwowego, który przekazałby impuls, ani wzgórza, które przetworzyłoby impuls elektryczny na uczucia. Istota ludzka jest strukturą fizykochemiczną, która zawdzięcza świadomość istnienia skomplikowanemu układowi nerwowemu. Po śmierci ciało ulega rozkładowi, osobowość przeżywa w postaci serii zniekształconych impulsów--wspomnień w układach nerwowych innych ludzi. W miarę upływu lat, wspomnienia te ulegają zatarciu. On sam przetrwa jako impuls w układzie nerwowym innych ludzi przez najwyżej pół wieku i jako emulsja na negatywie błony filmowej - najwyżej przez kilkadziesiąt lat; jako impulsy elektryczne w serii promieni katodowych, wysyłanych przez komórki- najwyżej przez dwieście lat. Jednak żadne z tych przewidywań nie przyczyniło się do tego, by strumień potu, spływający z jego ciała w tym gorącym, niemal pozbawionym powietrza pomieszczeniu, zmniejszył się choć o kilka kropli.

Właściwie jestem już martwy, pomyślał z bólem. Umrę. Wkrótce umrę. Już w chwili, kiedy pomyślał o tym, poczuł, że puszczają mu nerwy.

Na połyskującym suficie zatańczył promień światła, ktoś pchnął metalową klapę.

- Tak, panie Thorson. Z nim wszystko w porządku.

Minęło kilka minut i schody zjechały w dół, dolny stopień grzmotnął o podłogę. Robotnicy niosący stół zaczęli powoli schodzić po stopniach. Wkrótce wszystkie maszyny, w tym także i ta, która już została wypróbowana na Gosseynie, zostały zniesione na dół i przykręcone śrubami do stołu. Robotnicy szybko odeszli z powrotem na górę.

Dwaj mężczyźni o surowych twarzach zeszli na dół, uważnie obejrzeli dłonie i przeguby Gosseyna, i też sobie poszli. Zapadła cisza.

I znów drzwi rozsunęły się z metalicznym zgrzytem. Gosseyn

skurczył się w sobie, spodziewając się Thorsona. Ale to była Patricia Hardie. Pędem zbiegła po schodach. Rozpinając kajdanki, ściszonym głosem szeptała mu pospieszne wskazówki:

- Idź korytarzem po prawej około trzydziestu metrów. Wtedy zobaczysz drzwi ukryte pod schodami. Za tymi drzwiami są drugie, węższe schody, prowadzące dwa piętra w górę i wychodzące w odległości około siedmiu metrów od moich apartamentów. Może uda ci się tam ukryć, nie wiem. Od tej chwili musisz radzić sobie sam. Powodzenia.

Uwolniła go i wbiegła znowu po schodach. Mięśnie Gosseyna były tak zdrętwiałe, że co krok potykał się niezgrabnie. Ale wskazówki Patricii okazały się dobre. Po chwili krążenie wróciło mu do normy.

Delikatny zapach perfum zaprowadził go do apartamentu. Wyjrzał przez francuskie okno, znajdujące się obok łoża z baldachimem. Atomowe światło Maszyny wydawało się tak bliskie, że gdyby wyciągnął rękę, pewnie mógłby go dotknąć.

Nie podzielał nadziei Patricii Hardie, że w jej sypialni znajdzie bezpieczną kryjówkę. Poza tym właśnie teraz, zanim odkryją jego ucieczkę, ma szansę zwiększyć odległość pomiędzy sobą a prześladowcami. Rzucił się naprzód, ale równie szybko musiał się wycofać, ponieważ pod balkonem maszerował właśnie oddział składający się z pół tuzina uzbrojonych strażników. Gdy wyjrzał w chwilę potem, dwóch z nich przycupnęło za kępą zarośli, nie dalej jak o trzydzieści metrów od niego.

Gosseyn wrócił do sypialni. Sprawdzenie wszystkich czterech pokoi w apartamencie dziewczyny zajęło mu dobrą chwilę. Jako punkt obserwacyjny wybrał sobie garderobę, która miała niewielkie okno i balkon, wychodzący na alkowę niewidoczną z głównego dziedzińca. W najgorszym przypadku będzie mógł zjechać na dół i przemykać od krzaka do krzaka. Ciężko przysiadł na długiej ławce przed ogromnym lustrem. Teraz dopiero miał czas, by przemyśleć sobie zachowanie Patricii.

Podjęła duże ryzyko. Niezbyt rozumiał, czym się kierowała, ale wydawało się, że żałuje, iż wzięła udział w spisku przeciwko niemu.

Wątek urwał się, kiedy gdzieś w oddali trzasnęły drzwi. Gosseyn wstał. Może to Patricia. Tak, to ona. Jej głos odezwał się cicho od drzwi

garderoby:

- Panie Gosseyn, jest pan tam?

Gosseyn bez słowa otworzył drzwi. Stali naprzeciwko siebie po obu stronach progu. Patricia przemówiła pierwsza:

- Jakie ma pan plany?

- Dostać się do Maszyny.

- Po co?

Zawahał się. Patricia Hardie pomogła mu, a zatem zasłużyła sobie na jego zaufanie. Powinien jednak pamiętać, że to neurotyczka, która prawdopodobnie działa głównie pod wpływem impulsu. Może jeszcze sama nie zdaje sobie sprawy z tego, co zrobiła. Ujrzał aa jej twarzy ponury uśmiech.

- Nie bądź głupi, nie próbuj zbawiać świata - szepnęła. -Nic nie możesz zrobić. Ten spisek obejmuje nie tylko Ziemię i Układ Słoneczny. Jesteśmy pionkami w grze rozgrywanej przez ludzi z gwiazd.

- Oszalałaś? - zapytał oszołomiony.

Jednak w chwili, kiedy to mówił, poczuł, że ogarnia go pustka, przepełniło go wrażenie, iż usłyszał słowa brzemienne znaczeniem. Otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale zaraz je zamknął. Przypomniał sobie słowo „galaktyczna", którego wcześniej użył Hardie. Wtedy był zbyt napięty, by w pełni pojąć jego znaczenie. Teraz... jego umysł wzdragał się przed rozległością tego pojęcia. Zamykał się coraz bardziej i bardziej w sobie, aż uczepił się jednego słowa, które wypowiedziała dziewczyna.

- Ludzie?- zapytał jak echo. Skinęła głową.

- Nie pytaj mnie, jak się tam dostali. Ja nie wiem nawet, skąd ludzie wzięli się na Ziemi. Historia o macach wydaje się prawdopodobna, ale tylko wówczas, jeśli nie przyglądać się jej zbyt wnikliwie. Proszę, nie zagłębiajmy się w to teraz. Cieszę się, że to ludzie, a nie potwory z gwiazd. Zapewniam cię, że Maszyna nie jest w stanienie zrobić.

- Może mnie ochroni.

Zmarszczyła brwi na te słowa, po czym powiedziała powoli:

- Może i tak. - Przez chwilę przyglądała mu się błyszczącymi oczami.

- Nie rozumiem, jaka jest twoja rola w tej całej sprawie. Czego się o tobie dowiedzieli?

Powtórzył dokładnie wszystko, co usłyszał.

- Coś tam musi być - dodał. - Maszyna także radziła mi, bym kazał sobie zrobić zdjęcia kory mózgowej. Patricia Hardie milczała.

- Na Boga - rzekła wreszcie. - Może mają rację, że się ciebie boją. - Urwała nagle. - Sza, ktoś jest przy drzwiach.

Gosseyn usłyszał melodyjny dźwięk dzwonka i wyjrzał przez okno.

- Nie, jeszcze nie idź - szepnęła dziewczyna. - Zamknij za mną drzwi i uciekaj tylko wtedy, jeśli będą chcieli przeszukać mój apartament.

Słyszał jej oddalające się kroki. Gdy rozległy się ponownie, towarzyszyły im drugie, cięższe.

- Chciałem zobaczyć tego człowieka. Czemu mi nie powiedziałaś, co zamierzasz zrobić? Teraz nawet Thorson jest przerażony. Dziewczyna nie traciła równowagi.

- Och, Eldredzie, skąd miałam wiedzieć, że on jest inny? Przecież rozmawiałam z osobą, która nie pamięta nic ze swej przeszłości.

Eldred, pomyślał Gosseyn. Trzeba to zapamiętać. Brzmi bardziej jak imię niż nazwisko.

- Pat, gdyby to był ktokolwiek inny, pewnie bym mu uwierzył - odezwał się znowu mężczyzna. - Zawsze jednak odnosiłem wrażenie, że ty rozgrywasz swoją własną, prywatną grę. Na litość boską, nie bądź za sprytna.

Dziewczyna roześmiała się.

- Mój drogi, gdyby Thorson choć podejrzewał, że Eldred Crang, komendant lokalnej bazy galaktycznej, i John Prescott, jego zastępca, stali się wyznawcami nie-A, wtedy dopiero mógłbyś mówić o prywatnej grze.

W głosie mężczyzny wyczuwało się zaskoczenie, gdy szepnął:

- Pat, oszalałaś? Nie możesz mówić o tym tak otwarcie. I tak miałem cię ostrzec... Już nie ufam Prescottowi. Od przyjazdu Thorsona kręci się jak na rozżarzonych węglach. Na szczęście nigdy mu nie mówiłem o moich zapatrywaniach na sprawę nie-A.

Patricia powiedziała coś, czego Gosseyn nie usłyszał. Nastąpiła

chwila ciszy, a później dźwięk, który bez wątpienia był odgłosem pocałunku.

- Czy Prescott jedzie z tobą? - zapytała. Gosseyn dygotał na całym ciele. To idiotyczne, pomyślał. Przecież ona nigdy nie była moją żoną. Nie mogę pozwolić, aby fałszywe przekonania zniszczyły mnie emocjonalnie. Nieomylnie rozpoznawał to uczucie. Ten pocałunek przyprawił go o szok. Samo uczucie mogło być fałszywe, ale by się od niego uwolnić, potrzebował czegoś więcej niż jakiejś tam terapii nie-A.

Znów zabrzmiał dzwonek i przerwał tok jego myśli. Usłyszał, jak mężczyzna i dziewczyna przechodzą do salonu. Ktoś otworzył drzwi i rozległ się męski głos:

- Panno Patricio, rozkazano nam przeszukać pani apartament. Zbiegł więzień... o, przepraszam, panie Crang. Nie zauważyłem pana wcześniej.

- W porządku. - Był to głos mężczyzny, który całował Patricię Hardie. - Proszę sprawdzić apartament i wyjść.

- Tak jest, sir.

Gosseyn nie czekał dłużej. Balkon, na który prowadziło okno garderoby, był osłonięty drzewami. Dotarł na ziemię bez kłopotu. Na czworakach ruszył wzdłuż ściany. Przez kilkaset metrów czołgał się pod osłoną krzewów i drzew.

Znajdował się o jakieś trzydzieści metrów od opustoszałej podstawy Maszyny, kiedy zza linii drzew wyłoniło się co najtaniej dziesięć samochodów. Czekały na niego, a teraz otworzyły ogień w jego kierunku.

- Ratunku! Pomóż mi! - krzyknął dziko w stronę Maszyny.

Nieczuła i wyniosła, górowała nad nim wysmukłą formą. Jeśli legenda, że Maszyna potrafi bronić siebie i swoich terenów, była choć w części prawdą, tym razem widocznie nie widziała powodu, aby interweniować. Żadne przelotne mignięcie jej lamp nie zdradzało, że widzi bezprawie, jakie dokonuje się w jej obecności.

Pierwsza kula dosięgła Gosseyna, kiedy rozpaczliwie czołgał się przez trawnik. Ugodziła go w ramię i przewróciła wprost pod palący promień energii. Ubranie i ciało rozgorzały na nim szaleństwem płomieni. Przetoczył się na bok i znów dostał się pod grad koi, które zaczęły

rozszarpywać jego płonące jak pochodnia ciało. Najgorsze było to, że wciąż nie tracił świadomości. Czuł bezlitosne płomienie i pociski wbijające się w jego rozedrgane ciało. Strzały i ogień rozdzierały jego organy życiowe, nogi, serce i płuca nawet wtedy, gdy przestał się ruszać. Jego ostatnią, mglistą myślą było nieskończenie smutne, beznadziejne zrozumienie, że teraz już nigdy nie ujrzy Wenus i nie pozna jej niezgłębionych tajemnic.

A potem przyszła śmierć.

VI

Dziwny, ciężki dźwięk przyciągnął uwagę Gosseyna. Wydawało się, że dochodzi z góry. Szybko narastał i w końcu przeszedł w nieprzerwany hałas, jakby warkot wielu równo pracujących maszyn.

Otworzył oczy. Leżał w półmroku, obok pnia ogromnego drzewa. W niewielkiej odległości widział dwa inne pnie, ale ich rozmiary były tak nieprawdopodobne, że przymknął powieki i leżał cicho, nasłuchując. Nic innego bezpośrednio nie dotykało jego świadomości. Miał wrażenie, że jego mózg składa się z samych uszu i tego, co te uszy słyszą. Był nieożywionym przedmiotem, posiadającym zdolność wykrywania dźwięków.

Po chwili napłynęły dalsze wrażenia. Poczuł własne ciało, leżące na ziemi. Nie wiązała się z nim żadna informacja wizualna, ale wrażenie w jego umyśle powoli narastało. Wrażenie, że solidnie, mocno i niewzruszenie podtrzymuje go planetarny grunt Wenus.

Powolny strumień myśli nagle zmienił bieg. Wenus? Przecież nie jest na Wenus, lecz na Ziemi. Teraz obudziła się pamięć głębszych warstw umysłu. Strumyczek impulsów-wzorców przeistoczył się w potok, a potem w szeroką, mroczną rzekę, rwącą ku ogromnemu morzu.

- Umarłem - powiedział na głos. - Zostałem zastrzelony i spalony, i nie żyję.

Skulił się na samo wspomnienie okropnego bólu. Mocniej przywarł ciałem do podłoża. Powoli jednak jego umysł otworzył się na nowo. Żył, a wspomnienie własnej śmierci nie było już tylko wspomnieniem bólu, lecz zagadką, paradoksem, który w świecie nie-A nie miał racjonalnego wyjaśnienia.

Strach, że ból może powrócić, rozpłynął się w ciągu kilku następnych spokojnych minut. W tym dziwnym, półuświadamianym świecie, w którym obecnie przebywała jego istota, zaczął skupiać myśli na różnych aspektach swojej sytuacji.

Pamiętał Patricię Hardie i jej ojca. Pamiętał „Iksa" i bezlitosnego Thorsona, i to, że spiskowali przeciwko nie-A.

Te wspomnienia wywarły na niego ogromny, czysto fizyczny wpływ. Usiadł. Otworzył oczy i stwierdził, że znajduje się w tym samym półmroku, co przedtem. A więc wtedy to nie był sen.

Znowu zobaczył gigantyczne drzewa. Tym razem uznał, że są takie, na jakie wyglądają. To właśnie one musiały automatycznie zasugerować mu, że znajduje się na Wenus. Wszyscy znali wenusjańskie drzewa.

Na pewno znajduje się na Wenus.

Dźwignął się na nogi i ostrożnie obmacał całe ciało. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Nie miał blizn, nie czuł bólu od odniesionych ran. Jego ciało było całe, nie uszkodzone. Cieszył się całkowitym zdrowiem.

Miał na sobie szorty, koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i sandały. Zdumiał się, ale właściwie nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Wcześniej był ubrany w spodnie i dopasowany do nich surdut, dostojny strój uczestników igrzysk. Wzruszył ramionami. To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia, poza tym, że ktokolwiek naprawił jego poranione ciało, musiał umieścić go w tym gigantycznym lesie nie bez przyczyny. Rozejrzał się wokół, nagle równie spięty, co podekscytowany.

Pnie trzech drzew, które znajdowały się w zasięgu jego wzroku, były wysokie jak drapacze chmur. Pamiętał, że wenusjanskie drzewa wyrastały nieraz do wysokości tysiąca metrów. Zadarł głowę, ale przez liście nie zobaczył nieba. Stojąc tak, ze wzrokiem zwróconym ku górze, zorientował się, że dźwięk, który go zbudził, nagle umilkł.

Potrząsnął głową w zadumie i już miał spojrzeć w inną stronę, kiedy koło jego ucha rozległo się ciche „psssz". Strumień wody uderzył go w głowę i spłynął w dół.

Pierwszy strumień był jak sygnał. Już po chwili woda spływała na niego ze wszystkich stron. Słyszał chlupot, dochodzący z otaczającego go cienia, i jeszcze dwa razy został skąpany od stóp do głów.

Gałęzie, na podobieństwo ogromnego systemu zraszaczy, kierowały w dół kaskady wody. Już wiedział, co się stało.

To był deszcz. Ogromne liście przyjęły ciężar wody w szerokie, wgięte ku górze, zielone łona. Jednak to tu, to tam, woda przeważała liść za liściem i spływała w dół, czasem także na inne liście. Proces ten musiał

jednak trwać przez jakiś czas, zanim pierwsza kropla wody naprawdę dotarła do gleby. To musiała być prawdziwa ulewa i Gosseyn miał szczęście, że znalazł się pod dachem z liści dość mocnych, aby utrzymać tę spadającą rzekę.

Wychylił się zza pnia drzewa, za którym stał. Niewiele widział w słabym świetle, ale wydało mu się, że niedaleko z przodu widać jaśniejszą plamę. Ruszył w jej kierunku i prawie zaraz znalazł się na odkrytej polanie. Przed nim rozciągała się dolina. Po lewej stronie płynęła szeroka, nieprzyjemnie bezbarwna rzeka. Po prawej, ukryty na szczycie wzgórza, niemal zasłonięty kwitnącymi krzewami, stał dom.

Wenusjański dom! W zielonym otoczeniu wyglądał tak, jakby siedział w gnieździe. Był chyba zbudowany z kamienia, a co ważniejsze, całą przestrzeń od miejsca, gdzie stał Gosseyn, aż do samych murów, pokrywały gęste krzewy. Mógł dotrzeć do budynku niepostrzeżenie. Prawdopodobnie ten odosobniony dom był przyczyną, dla której zostawiono go w tej właśnie części lasu.

Zarośla spełniły jego oczekiwania. Ani razu nie musiał wychodzić z ich cienia. Dotarł do krzaka, który aż płonął od purpurowych kwiatów i spomiędzy jego gałęzi obserwował kamienne schodki prowadzące na werandę. Na dolnym stopniu wyryto litery. Były tak wyraźne, że mógł je odczytać bez trudu: John i Amelia Prescott.

Gosseyn cofnął się. Prescott Przypominał sobie to nazwisko. Patricia Hardie i Crang wypowiedzieli je podczas rozmowy. „Gdyby Thomson choć podejrzewał, że Eldred Crang, dowódca lokalnej bazy galaktycznej, i John Prescott, jego zastępca, stali się wyznawcami nie- A - mówiła dziewczyna - wtedy dopiero..." A Crang powiedział: „I tak miałem cię ostrzec. Już nie ufam Prescottowi. Od przyjazdu Thorsona kręci się jak na rozżarzonych węglach". Taki był mniej więcej sens ich rozmowy

No właśnie. Wiedział już, kto mieszka w tym domu. John Prescott, który rozumowo przyjął filozofię nie-A, ale nie zdołał jeszcze uczynić jej integralną częścią swego układu nerwowego. Dlatego przechodził teraz kryzys.

O tym warto było wiedzieć. Teraz mógł przyjąć odpowiednią postawę

wobec kobiety i mężczyzny, którzy tam mieszkali. Znów ruszył przez błotnisty ogród w górę. Teraz już nie miał wyrzutów sumienia. Potraktowano go bez litości, więc i on nie będzie jej okazywać. Potrzebował informacji: o sobie i o wszystkim, co musiał wiedzieć na temat Wenus. I dostanie ją.

W miarę, jak zbliżał się do domu, słyszał coraz wyraźniej kobiecy kontralt. Zatrzymał się za gęstym krzewem, o kilka metrów od otwartej werandy, i ostrożnie wyjrzał.

Na schodach siedział jasnowłosy mężczyzna i robił notatki na ręcznym rejestratorze. Kobieta stała w drzwiach domu. Mówiła:

- Myślę, że sama dam sobie radę. Pacjenci zjawią się dopiero pojutrze. - Zawahała się nagle. - Nie chcę, żebyś myślał, że cię krytykuję, ale nie ma cię tak często, że właściwie już nie czuję się mężatką. Jeszcze nie minął miesiąc, odkąd wróciłeś z Ziemi, a znowu chcesz uciekać.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Amelio, jestem niespokojnym duchem - rzekł, nie podnosząc wzroku znad rejestratora. - Muszę być w ruchu, albo wpadnę w ogłupiającą frustrację,

Gosseyn czekał. Rozmowa chyba dobiegała końca. Kobieta zawróciła do domu. Mężczyzna jeszcze przez kilka minut siedział aa schodach, po czym wstał i ziewnął. Wydawał się rozluźniony, nie przejmował się jej skargami. Miał około metra osiemdziesięciu dwóch wzrostu. Wydawał się przysadzisty, ale wrażenie siły nie miałoby znaczenia, gdyby nie trening mięśniowy nie-A. Ludzie, którzy nie zostali uwarunkowani, mieli wielkie trudności ze zrozumieniem, jak silne mogą być mięśnie, jeśli chwilowo odetnie się je od ośrodka zmęczenia w mózgu.

Gosseyn już podjął decyzję. Kobieta nazywała mężczyznę Johnem. Przez kilka dni miało nie być pacjentów. To mu wystarczyło za identyfikację. Mężczyzną był John Prescott, galaktyczny agent, udający lekarza.

Jednak stwierdzenie kobiety, że od powrotu Prescotta z Ziemi minął prawie miesiąc, zaskoczyło Gosseyna. Patricia Hardie pytała Cranga: „Czy Prescott jedzie z tobą?". Musiała mieć na myśli Wenus, skoro Prescott tu

jest. Czas, jaki upłynął, był jednak zastanawiające krótki. Czyżby jego ciału wystarczyło kilka tygodni, aby zaleczyć śmiertelne rany? A może Prescott podróżował na Ziemię kilkakrotnie?

Ale w tej chwili nie to było ważne. Teraz liczył się tylko atak. I musi to zrobić natychmiast, póki Prescott, nie podejrzewając niczego, znajduje się w ogrodzie swego wenusjańskiego domu.

Teraz!

Skacząc, Gosseyn pośliznął się na błocie. Prescott odwrócił się, zobaczył napastnika, jego oczy rozwarły się szeroko, a twarz przybrała wyraz całkowitego zaskoczenia. Udało mu się nawet wyprowadzić pierwszy cios. Gdyby Gosseyn był niższy i mniej umięśniony, ten cios mógłby go zatrzymać, ale tak się nie stało, a drugiego ciosu Prescott nie zdołał już zadać. Gosseyn trzykrotnie uderzył go w szczękę i złapał bezwładne ciało, zanim upadło na ziemię.

Zwinnie wniósł nieprzytomnego mężczyznę po schodkach na werandę i zatrzymał się przed drzwiami. Nie udało mu się jednak dokonać tego wszystkiego całkiem bezszelestnie. Kobieta mogła wyjść, aby sprawdzić, co się dzieje. Ale nie, w domu nie słychać było ruchu. Prescott poruszył się i cicho jęknął. Gosseyn uciszył go kolejnym ciosem i wszedł do domu.

Znalazł się w wielkim salonie, otwartym na szeroki taras. Za nim znajdował się ogród, a dalej jeszcze jedna dolina, która ginęła we mgle.

Po prawej stronie zobaczył schody prowadzące na górne piętra, po lewej drugie schody, idące do piwnicy. Było tu też kilkoro drzwi wiodących do innych pomieszczeń. Gosseyn słyszał szczękanie naczyń w jednym z nich, a po domu unosił się kuszący zapach gotowanego posiłku.

Wyszedł na piętro i znalazł się w korytarzu. Tu również ujrzał kilkoro drzwi. Pchnął najbliższe z nich. Za nimi była obszerna sypialnia o łukowym oknie wychodzącym na kępę monstrualnych drzew. Położył Prescotta na podłodze obok łóżka, szybko podarł prześcieradło na paski, po czym związał i zakneblował swojego jeńca.

Ostrożnie, na palcach, zszedł z powrotem do salonu. Brzęk naczyń kuchennych działał kojąco na jego spięte nerwy, bo oznaczał, że kobieta

niczego nie słyszała. Gosseyn przeciął salon, zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się, co z nią zrobi, po czym zdecydowanie wkroczył do kuchni.

Kobieta wyjmowała potrawy z kilku elektronicznych kuchenek. Gosseyn przelotnie zauważył elegancko zastawiony stół w małej alkowie i właśnie wtedy kobieta dostrzegła go kątem oka. Zaskoczona, wędrowała spojrzeniem od jego twarzy do zabłoconych stóp.

-, Och! - sapnęła.

Odłożyła talerze i stanęła przed nim. Gosseyn uderzył ją tylko raz i złapał, zanim na niego upadła. Nie czuł wyrzutów sumienia. Może była niewinna, może nic nie wiedziała o działalności swojego męża. Nie mógł jednak ryzykować szarpaniny, było to zbyt niebezpieczne. Gdyby była nie-A i gdyby dał jej szansę, mogłaby znaleźć dość sił fizycznych, aby wyrwać mu się i wszcząć alarm.

Zaczęła wić się w jego uścisku, kiedy niósł ją po schodach, ale zanim w pełni odzyskała świadomość, była już związana, zakneblowana i leżała obok męża. Gosseyn pozostawił ich tak, a sam udał się na rekonesans. Zanim uzna, że jego zwycięstwo jest zupełne, musi się upewnić, czy w pobliżu nie ma nikogo innego.

VII

Aby prawdę można było przyjąć za wiedzę naukową,
musi ona zostać wydedukowana z innych prawd.
Arystoteles, Etyka Nikomachejska, około 340 r. p. n. e.

Dom wyglądał jak szpital. Było tam piętnaście innych sypialni, wyposażonych w kompletną elektronikę i instrumenty medyczne. Laboratoria t sala operacyjna znajdowały się w piwnicy. Gosseyn pospiesznie przechodził z pokoju do pokoju, a kiedy wreszcie przekonał się, że nikogo innego tu nie ma, zajął się dokładniejszym przeszukaniem domu.

Czuł się nieswojo. Przecież to nie mogło być aż takie proste. Zaglądał do szaf ubraniowych, myszkował po szufladach, wreszcie zdecydował, że najlepiej zrobi, jeśli uzyska potrzebne mu informacje i zniknie. Im szybciej wyjdzie, tym mniejsza szansa, że ktoś go tu przyłapie.

Mimo starannej rewizji nie znalazł żadnej broni. Ten fakt wyostrzył w nim poczucie zagrożenia z zewnątrz. Wyszedł na werandę, a następnie na taras na tyłach domu. Tylko jeden rzut oka, czy nikt nie nadchodzi, pomyślał. A potem pytania.

Było tak wiele pytań.

Zatrzymał go widok z tarasu. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego nie widział doliny, która znajdowała się za ogrodem. Ze skraju tarasu mógł spojrzeć w dół, w błękitną mgiełkę. Wzgórze, na którym stał szpital, nie było wzgórzem, lecz niższym szczytem góry. Odróżniał miejsce, gdzie zbocze przechodziło w równinę. Tam, w dole, też były drzewa. Rozciągały się na dziesiątki kilometrów w mgle oddalenia.

Wiedział teraz, że do budynku można dotrzeć tylko z powietrza. Oczywiście można wylądować w odległości kilometra lub dwóch, tak jak to musiało się odbyć w jego przypadku, i dojść pieszo.

Najważniejsze jednak, że droga powietrzna była jedyną drogą dostępu do domu.

Niezbyt zachęcająca perspektywa. Niebo w jednej chwili mogło być puste, ukryte za błękitną mgiełką, a już za chwilę na tarasie mógł wylądować wrogi samolot.

Gosseyn odetchnął głęboko, powoli, z rozkoszą. Powietrze wciąż pachniało deszczem i napełniało go siłą, potrzebną do stawienia czoła niebezpieczeństwu. Pod wpływem łagodnej pogody jego umysł doznał uspokojenia. Westchnął i pozwolił, by słodycz powietrza przeniknęła do wszystkich członków jego ciała. Nie mógł określić pory dnia. Sionce było niewidoczne. Rozległe niebo przesłaniały chmury, które z kolei ginęły w mgiełce atmosfery, grubej na prawie dwa tysiące metrów. Wokół panowała cisza, spokój tak absolutny, że wprost niewiarygodny- ale nie przerażający. Była w nim wspaniałość, nieporównywalne dostojeństwo, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek wcześniej doświadczył. Znalazł się nagle w świecie, w którym nie istnieje czas.

Nastrój przeminął równie szybko, jak przyszedł. A właśnie czas był dla niego najważniejszy. Wszystko, czego uda mu się dowiedzieć możliwie najszybciej, może zadecydować o dalszych losach Układu Słonecznego. Ostatnim, szybkim spojrzeniem obrzucił niebo, po czym wrócił do swoich więźniów. Sama jego obecność tutaj była niepojętą tajemnicą, ale może od nich czegoś się dowie.

Mężczyzna i kobieta leżeli tam, gdzie ich pozostawił. Oboje odzyskali już przytomność i spoglądali na niego niespokojnie. Nie miał zamiaru ich krzywdzić, ale nie zaszkodzi, jeśli się trochę po-martwią. Przez chwilę przyglądał im się w zamyśleniu. W pewnym sensie teraz, gdy był już gotów poświęcić im więcej uwagi, zobaczył ich po raz pierwszy.

Amelia Prescott była ciemnowłosa, szczupła i ładna urodą dojrzałej kobiety. Miała na sobie bluzkę sięgającą do pasa, szorty i sandały. Kiedy Gosseyn wyjął jej knebel, odezwała się natychmiast:

- Młody człowieku, czy zdajesz sobie sprawę, że wstawiam kolację do pieca?

- Kolację? - zdziwił się Gosseyn. - A wiec zaraz się ściemni? Zmarszczyła brwi, ale nie udzieliła odpowiedzi wprost

- Kim jesteś? - zapytała za to. - Czego chcesz?

Pytania te w dość nieprzyjemny sposób przypomniały Gosseynowi, że w zasadzie nie wie o sobie więcej, niż ona o nim. Uklęknął obok jej męża. Rozwiązując knebel, obserwował twarz Prescotta. Z bliska wyglądał

na bardziej pewnego siebie, niż Gosseyn sadził.

Jedynie pozytywna wiara mogła wywołać taki wyraz twarzy. Pozostawała tylko jedna wątpliwość - czy zawdzięczał tę siłę nie-A? Czy też może wynikała z tych wszystkich pewników, w które musi wierzyć przywódca?

Gosseyn spodziewał się po Prescotcie jakiegoś komentarza, dotyczącego jego sytuacji,, który zdradziłby mu klucz do charakteru więźnia. Spotkał go jednak zawód. Mężczyzna leżał, patrząc na niego w zadumie, ale nie odezwał się ani słowem.

Gosseyn jeszcze raz zwrócił się ku kobiecie.

- Co muszę powiedzieć, aby wezwać samolot z biura wynajmu roboplanów?

- Że chcesz, by ci przysłali jeden ze swoich samolotów. - Wzruszyła ramionami i spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy. -Zaczynam rozumieć - powiedziała powoli. - Jesteś na Wenus nielegalnie i nie znasz tutejszych zwyczajów.

Gosseyn zawahał się.

- Powiedzmy, że coś w tym rodzaju - wyznał wreszcie. Wrócił jednak do poprzedniego tematu. - Nie muszę podawać mojego numeru identyfikacyjnego, ani niczego podobnego?

-Nie.

- Dzwonię do nich i mówię, że chcę samolot? Czy muszę im powiedzieć, dokąd mają go przysłać?

- Nie. Wszystkie publiczne roboplany połączone są radiowo--elektroniczną siecią informacyjną i docierają do wzywającego, posługując się współrzędnymi geograficznymi.

- Nie muszę nic więcej zrobić? Potrząsnęła głową.

- Nie, nic więcej.

Gosseynowi wydawało się przez chwilę, że kobieta odpowiada zbyt chętnie. Znał sposób, aby to sprawdzić. Wykrywacz kłamstw. Przypomniał sobie, że widział taki aparat w sąsiednim pokoju. Przyniósł go i postawił obok niej.

- Mówi prawdę - oznajmiła maszyna.

- Dziękuję za wyjaśnienia - rzucił Gosseyn pod adresem kobiety i dodał: - Ile czasu muszę czekać?

- Około godziny.

Wideofon stał na stoliku przy oknie. Gosseyn opadł na fotel obok stolika i wykręcił numer. Ekran pozostał ciemny. Gosseyn gapił się na niego, całkiem zaskoczony. Jeszcze raz szybko wybrał numer i znów przybliżył ucho do odbiornika. Maszyna milczała.

Wstał i zbiegł do głównego aparatu w salonie. Dalej brak reakcji. Otworzył pokrywę i zajrzał do wnętrza maszyny. Było ciepłe, jak zwykle. Wszystkie przezroczyste lampy żarzyły się lekko. Awaria musiała nastąpić poza budynkiem.

Powoli wrócił na piętro. Jego umysł zaprzątał jeden obraz, obraz człowieka odciętego od świata na szczycie góry, odciętego w sensie fizycznym i poprzez tajemnicę swojej tożsamości. Zajrzał w mroczny świat, który napełnił go niepokojem i smutkiem. Idylla dobiegła końca. W obliczu tego, co stało się z wideofonem, nie był już wcale taki pewien, że wciąż panuje nad sytuacją.

Gdzieś tam, na zewnątrz, czaiły się moce, które go tu sprowadziły. Czekały na coś, ale na co?

VIII

Gosseyn powoli wchodził po schodach. Na piętrze przystanął, aby zebrać myśli. Najprostszy sposób ucieczki okazał się niewykonalny. Rozważył wszystkie możliwości. Uzyska tyle informacji, ile zdoła, a potem ucieknie pieszo.

Decyzja pokrzepiła go. Ruszył do sypialni, ale zatrzymał się, gdy usłyszał głos Prescotta.

- Nie rozumiem, co się stało z wideo.

- Może to być jedno z dwojga - odparła w zadumie jego żona. - Pomiędzy nami a - Gosseyn nie zrozumiał nazwy - ustawiono ekran zakłócający, albo sama maszyna jest zepsuta.

- Ale przecież podobno automatyczne ostrzeżenie włącza się na długo przedtem, zanim coś się zepsuje, aby serwis mógł natychmiast naprawić awarię?

Gosseyn czekał na odpowiedź kobiety. Trudno było mu uwierzyć, że oni nie mają z tym nic wspólnego.

- Zwykle tak się działo - przyznała Amelia Prescott. - To wszystko jest bardzo dziwne.

Gosseyn zmusił się, aby czekać na dalszy komentarz. Gdy ten nie nastąpił, cicho zszedł po schodach, a potem wszedł z powrotem, tym razem głośno. Zwłoka wyczerpała jego cierpliwość, a skoro nie był pewien, że dalsze udawanie może na coś się przydać, postanowił nadrobić stracony czas.

- Gdzie trzymacie mapy Wenus? - zapytał już od drzwi. Prescott milczał, ale jego żona wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

- W szafce, w laboratorium - i wyjaśniła, o którą szafkę chodzi.

Gosseyn przypominał sobie, *że do niej* zaglądał. Zbiegł do piwnicy i wyciągnął trzy mapy. Wrócił na górę, uklęknął i rozpostarł je na podłodze. Widział już wcześniej mapy Wenus, ale teraz byt tutaj, i to stanowiło o różnicy. Poza tym te mapy były bardziej szczegółowe. Podniósł wzrok.

- Pokaż mi, gdzie się znajdujemy.

- Jesteśmy na mapie oznaczonej trójką, w środkowym łańcuchu

górskim. Kiedyś postawiłam tam znaczek, wskazujący w przybliżeniu nasz dom. Pewnie nadal tam jest.

Gosseyn znalazł go około sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na północ od miasta Nowe Chicago.

- O, jest dużo owoców - odpowiedziała na jego następne pytanie. - Fioletowe jagody wielkie na lalka centymetrów. Są ich miliardy. Poza tym duże owoce, soczyste, podobne do bananów, ale czerwonawe. Mogłabym wymienić z tuzin innych, ale akurat te są wszędzie przez cały rok. Gdziekolwiek się wybierzesz, możesz się nimi żywić.

Gosseyn w zamyśleniu obserwował twarz kobiety. Wreszcie wyciągnął rękę i dotknął wykrywacza kłamstw.

- Mówi prawdę-orzekła maszyna. Zwrócił się znowu do Amelii Prescott.

- Jesteś przekonana, że mnie złapią, prawda? - zapytał krótko i zwięźle. - O to chodzi?

- Oczywiście, że cię złapią- odparła spokojnie. - Na Wenus nie mamy policji, nie ma też zwyczajnych przestępstw. Jeśli jednak pojawi się sprawa wymagająca pomocy detektywa, zazwyczaj jest ona rozwiązywana niezwykle szybko. Pewnie zainteresowałoby cię spotkanie z detektywem nie-A, ale zaskoczyłaby cię szybkość, z jaką cię złapie.

Gosseyn, którego głównym celem było skontaktowanie się z władzami Wenus, milczał. Poczuł się rozdarty wewnętrznie. Instynkt nakazywał mu natychmiast uciekać. Im szybciej zamknie się nad nim opiekuńczy ogram potężnej puszczy, tym będzie bezpieczniejszy. Jednak kompletne niezrozumienie sytuacji, jakie wykazywała Amelia, kazało mu przemyśleć sprawę jeszcze raz. Najwyraźniej była niewinna, nie należała do bandy.

Natomiast w milczeniu jej męża kryło się coś złowrogiego. Teraz, kiedy na to wpadł, poczuł, że blednie. Do tej chwili był pewny, że nie został rozpoznany. Prescott nie mógł go widzieć W pałacu Maszyny na Ziemi. Mogli mu jednak pokazać zdjęcia...

To zmieniało postać rzeczy. Wcześniej już postanowił nie udzielać żadnych wyjaśnień. Jeśli jednak Prescott go znał, milczenie mogło oznaczać, że i on sam podejrzewa, iż został rozpoznany.

Z drugiej strony byłoby głupotą przedstawić się jako Gilbert Gosseyn, jeśli nie musiał tego robić. Wstał. I znowu się zawahał. Nagle poczuł, że nie może odejść, jeśli nie wyjaśni wszystkiego tej kobiecie. Gdyby coś mu się przytrafiło, przynajmniej ona będzie wiedzieć.

Dzięki niej cała Wenus dowie się o strasznym niebezpieczeństwie zagrażającym galaktyce. Jeśli jej powie, ona także nie będzie bezpieczna, ale na to miał radę. Pozostawi jej decyzję, co ma zrobić z mężem.

Usiadł na brzegu łóżka. Teraz, kiedy już się zdecydował, czuł, że jest chłodny i niewzruszony. Jego nerwy były spokojne jak ołów, najstabilniejszy z pierwiastków. Dlatego na pozór zwrócił się i do kobiety, i do mężczyzny jednocześnie, choć interesowała go wyłącznie kobieta. Po krótkiej chwili Prescott przekręcił się na bok i zaczął przyglądać się jego twarzy. Gosseyn udawał, że tego nie widzi.

W dwadzieścia minut później zawiesił głos. W jasnym świetle wpadającym przez okno ujrzał wpatrzone w siebie oczy Prescotta.

- Podejrzewam, że zdajesz sobie sprawę, jaki podstawowy błąd zawiera twoja historyjka - odezwał się Prescott.

Wydawało się, że zapomniał o swym długim milczeniu, a Gosseyn bez sprzeciwu pozwolił mu włączyć się do rozmowy.

- Moja historyjka jest prawdziwa, przynajmniej zgodnie z tym, co pamiętam - odparł. - Każdy wykrywacz kłamstw potwierdzi ją co do słowa. Oczywiście, o ile... - urwał i uśmiechnął się blado,

- Tak? -poderwał się Prescott. - O ile co?

- O ile cała pamięć, jaką w tej chwili posiadam, nie jest tej samej kategorii, co moje wcześniejsze przekonanie, że Patricia Hardie była moją żoną i że umarła, pozostawiając mnie pogrążonego w żałobie. - Urwał nagłe. - Jaki więc jest ten podstawowy błąd?

Odpowiedź była natychmiastowa:

- Identyfikujesz swoją obecną tożsamość z Gosseynem, który został zabity. Masz pełne wspomnienie tej śmierci, sposobu, w jaki uderzały w ciebie kule i strumienie energii. Pomysł o tym. A potem pomyśl o *credo* nie-A, według którego nie ma we wszechświecie dwóch identycznych ludzi.

Gosseyn milczał. Za oknem drzewa, wyższe niż najwyższe drapacze

chmur, wznosiły się w błękitną mgłę nieba, rzeka wito się bystro przez wiecznie zielony świat. Dziwna, monumentalna sceneria dla rozmowy o naturze rzeczy organicznych i nieorganicznych, molekularnych, atomowych, elektronicznych, neuronowych i fizykochemicznych, czymkolwiek są. Ogarnęło go głębokie zdumienie, ponieważ to on chyba nie pasował do tego wszechświata. Sam myślał już co najmniej kilkanaście razy o tym, o czym mówił Prescott

Był człowiekiem, który nie tylko twierdził, że posiada podobną strukturę, ale wręcz identyfikuje się z nieboszczykiem. A uważał tak, ponieważ miał pamięć i fizyczną postać Gilberta Gosseyna I, był Gilbertem Gosseynem I.

Każdy student filozofii, nawet w dawniejszych czasach, wiedział, że dwa pozornie identyczne krzesła różnią się na sto milionów sposobów, przy czym sposoby te nie muszą wcale być widoczne gołym okiem. W mózgu ludzkim liczba możliwych dróg, jaką może obrać impuls nerwowy, sięga od dziesiątej do dwudziestosiedmiotysięcznej potęgi. Nie da się powielić skomplikowanych wzorów nakreślonych w ciągu całego życia indywidualnych doświadczeń. Prawda ta wyjaśnia bez cienia wątpliwości, dlaczego w całej historii Ziemi nie było dwóch jednakowych zwierząt, płatków śniegu, kamieni, a nawet atomów.

Oczywiście, lekarz wykrył podstawowy błąd w jego opowieści. Był to jednak błąd, który sam w sobie wymagał daleko idących wyjaśnień. Był to błąd, którego nie można było przekreślić jedynie samą odmową zmierzenia się z sytuacją.

Gdy tak rozmyślał, Prescott przyglądał mu się uważnie.

- Na pewno wiesz, że w tym pokoju znajduje się wykrywacz kłamstw -powiedział.

Gosseyn wlepiał w niego wzrok jak ptak zahipnotyzowany przez węża. Wokół panowała cisza, jedynie gdzieś w zakamarkach jego umysłu rozległo się dziwne dudnienie. Poczuł, że kręci mu się w głowie. Oczy zaszły mu mgłą. Siedział nieruchomo, spięty.

- Warto byłoby sprawdzić, czy rzeczywiście istniało drugie ciało - ciągnął niewzruszenie Prescott.

- Taak - szepnął wreszcie Gosseyn. - Tak, to by było ciekawe.

Teraz, kiedy te słowa zostały wypowiedziane, sam przestał wierzyć w swoją opowieść. Jednak niechętnie poddałby ją próbie. Niemniej jednak na długo przedtem, zanim Prescott o tym wspomniał, wiedział, że użycie wykrywacza kłamstw jest nieuniknione. Podszedł do maszyny. Położył dłonie na metalowych stykach i czekał. Czułe, energonośne światła igrały po jego twarzy.

- Słyszałeś, co powiedziałem - rzekł. - Jaki jest twój werdykt?

- Nie potrafię ani potwierdzić, ani zanegować twojej historii - zawyrokowała maszyna. - Moje osądy opierają się na informacjach zawartych w pamięci badanego. Twoja pamięć jest pamięcią Gilberta Gosseyna I. Obejmuje ona wspomnienie o tym, jak został zabity, i jest ono tak realistyczne, że nie mogę uznać, iż nie mogła to być śmierć. Nie ma najmniejszej wskazówki co do twojej prawdziwej tożsamości.

Gosseyn wiedział, że na razie nie dowie się nic więcej. Teraz musiał podjąć decyzję, co robić dalej. Pochylił się i rozwiązał nogi kobiety, pozostawiając wszakże wiejzy na rękach. Pomógł jej wstać.

- Zabiorę cię ze sobą o jakiś kilometr stąd, po czym pozwolę ci wrócić do domu i uwolnić męża - oznajmił jej.

Miał jeszcze inny powód, aby wziąć ją ze sobą. Zamierzał jej wyjaśnić, jaka jest jego sytuacja, i opowiedzieć, co słyszał o jej mężu, choć bez wspominania o Patricii. Wtedy sama będzie mogła zdecydować o losie męża.

Opowiedział jej wszystko, a dopiero potem rozwiązał je} ręce. Kiedy skończył* milczała tak długo, że dodał:

- Twój mąż może uniemożliwić przekazanie dalej faktów, które ci podałem. Z drugiej strony jego wiara w nie-A może być większa niż lojalność wobec rządu. Musisz sama zdecydować na podstawie tego, co o nim wiesz.

Kobieta westchnęła, ale powiedziała tylko:

- Rozumiem.

- Jak działa ten szpital? - zapytał Gosseyn. Była to jedna ze spraw, które chciał wyjaśnić.

- Wszyscy jesteśmy ochotnikami -odparła. - Centrala Szpitalna ma listę domów, w których są odpowiednie warunki. Kiedy ktoś zostaje ranny lub wymaga hospitalizacji, zrobotyzowana dyspozytornia wzywa najbliższą odpowiednią jednostkę. Wówczas zgadzamy się na przyjęcie pacjenta lub odmawiamy. Ostatnio odprawiałam ich, ponieważ... - urwała. Spojrzała na Gosseyna z ożywieniem. -Dziękuję za wszystko. Dziękuję bardzo - zawahała się. - Zamierzam mu zaufać - dodała - ale zaczekam, aż się stąd oddalisz.

- Powodzenia - odrzekł.

Spoglądał w ślad za nią, gdy ruszyła w drogę powrotną. Kobieta karmicielka, myślał, kobieta uzdrowicielka, nauczycielka, bratnia dusza, kochanka. Kobieta! Nie imitacja mężczyzny. To, co zobaczył i usłyszał od niej, świadczyło, że jest najbardziej kobiecą z kobiet w pełnym znaczeniu nie-A: nawet pod potężną presją, nawet ogarnięta znużeniem, emanowała ciepłem.

Otrząsnął się z zadumy i okręcił na pięcie. Ruszył dalej w kierunku lasu. Trawa pod jego stopami była miękka, wydeptana w coś w rodzaju ścieżki, jak gdyby ktoś mniej zdecydowany szedł tędy lekko, zwiewnie, pozostawiając ślad radosnych spacerów w ciepłe, wonne wieczory.

Zapach wciąż jeszcze unosił się w powietrzu, słodki, rozkoszny. Ciężki, mocny zapach świeżej zieleni, wymieszany z rześką wonią popołudniowego deszczu. Gosseyna ogarnęło upojne przekonanie, że idzie ku wielkiej, rajskiej przygodzie. Przez chwilę słyszał chlupotanie rzeki, teraz bardzo bliskiej, ale dźwięk ten umilkł natychmiast, gdy zanurzył się w gąszcz tytanicznych drzew.

Cienie. Jak w jaskini, do której wchodzisz z jasnego dnia, jak w korytarzu, który wije się, zmienia, zakręca, otwierając się na ogromne sale, by zaraz zwęzić się w nieprzebyty gąszcz wysokich, splątanych krzewów. Zawsze jednak nad głową był dach, przesłaniający niebo. Pojął, że trudno mu będzie zachować orientację. Miał jedynie kompas, który wskazywał ogólny kierunek. Na nic więcej nie mógł liczyć.

Wciąż szedł przez las, który zdawał się nie mieć końca gdy zauważył, że cienie wokół jakby pociemniały. Nareszcie nie miał wątpliwości, że

zapada noc. Zaczął już się zastanawiać, czy będzie musiał ją spędzić pod drzewami, kiedy wyszedł zza ogromnego pnia i ujrzał wielką polanę.

Znalazł sobie porośnięty trawą kącik i właśnie układał się do snu, kiedy zza pobliskiego wzgórza wynurzył się roboplan. Wylądował jakieś piętnaście metrów od niego i zatrzymał się. Na dziobie palił się reflektor, który pochwycił Gosseyna w strumień blasku tak jasny, jak światło słońca.

- Gilbercie Gosseyn-odezwał się głos, dobiegający zza reflektora. - Nie jestem twoim wrogiem, ale też nie mogę ci niczego wyjaśnić, dopóki nie wsiądziesz do roboplanu. Aby upewnić się, że nie będziesz protestował i opóźniał sprawy, zwracam twoją uwagę na sześć działek, które są w ciebie wycelowane. Nie masz ucieczki.

Gosseyn zauważył działka o wydłużonych lufach, wyzierające z kadłuba i śledzące każdy jego ruch. Jak długo tam są, nie ma znaczenia, czy uwierzy w przyjazne zamiary głosu, czy nie. Bez stówa podszedł do roboplanu i wspiął się do otwartego włazu. Zaledwie miał czas opaść na najbliższy fotel, gdy właz zatrzasnął się i wszystkie światła zgasły. Maszyna wystartowała i uniosła się w powietrze, ostrym łukiem wzbijając się w nocne niebo.

IX

Gosseyn patrzył, jak ciemny krajobraz pod nim traci kształt. Świat gigantycznych drzew błyskawicznie stopił się w jedno z ciemnością. Pędzącą maszynę otoczyła jednolita czerń. Po kilku minutach roboplan wyrównał lot. W kabinie zapłonęło światło.

- Masz dziesięć minut na zadawanie pytań - rozległ się mechaniczny głos. - Wszelkich pytań, jakie przyjdą ci do głowy. Potem będę musiał przekazać ci instrukcje lądowania.

Trzeba było dłuższej chwili, aby te słowa dotarły do świadomości Gosseyna. Wszelkich pytań? Wreszcie odzyskał mowę.

Pierwsze pytanie było dość łatwe.

- Kim jesteś?

- Agentem Maszyny Igrzysk. Gosseyn odetchnął z ulgą.

- To znaczy, że Maszyna przemawia do mnie za twoim pośrednictwem?

- Nie bezpośrednio. Maszyna może otrzymywać komunikaty z Wenus, ale sama nie może nadawać na taką odległość.

- Działasz samodzielnie?

- Dostałem instrukcje.

Gosseyn nabrał w płuca powietrza.

- Kim jestem?

Napięty jak struna czekał na odpowiedź, ale zaraz opadł na siedzenie, bo roboplan rzekł:

- Przykro mi, ale tracisz czas. Nie mam informacji o twojej przeszłości, a jedynie o obecnym położeniu.

- Czy Maszyna to wie? - nalegał.

- Jeśli wie, nie zwierzyła mi się. Gosseyn poczuł, że ogarnia go rozpacz.

- Ale muszę się tego dowiedzieć! Dlaczego mam wrażenie, że zostałem zabity?

- Kiedy zostałeś zabity, twoje ciało było bardzo uszkodzone i poparzone - odparł roboplan niewzruszonym głosem. - Nie mam pojęcia,

dlaczego nadal żyjesz - urwał nagle. - Panie Gosseyn, proszę zadawać pytania dotyczące sytuacji na Wenus. A może powinienem przedstawić krótkie podsumowanie warunków, jakie panują tu w przeddzień inwazji?

- Ale, do jasnej... - wściekle odparował Gosseyn. Nagle powstrzymał się, uświadamiając sobie, że traci czas. - Tak - rzekł zmęczonym głosem. - Tak, to chyba dobry pomysł.

Głos podjął:

- Aby zrozumieć obecną sytuację polityczną, musisz sięgnąć umysłem do najdalszych granic tego, co rozumiesz pod pojęciem absolutnej demokracji. Na Wenus nie ma prezydenta, nie ma rządu, nie ma rządzących elit Wszystko odbywa się na zasadzie dobrowolnego udziału, każdy żyje sam dla siebie, ale współpracuje z innymi tak, aby wszelkie niezbędne prace zostały wykonane. Ludzie mogą jednak sami wybierać to, co robią. Możesz powiedzieć: no dobrze, a jeśli każdy wybierze ten sam zawód? To się nie zdarza. Ludność składa się z odpowiedzialnych obywateli, którzy, zanim wybiorą zawód, zasięgają informacji w kwestii społecznych potrzeb, jakie natęży zaspokoić.

Na przykład, jeśli detektyw odchodzi na emeryturę lub zmienia zawód, ogłasza z wyprzedzeniem swój zamiar lub, w przypadku jego śmierci, wszyscy dowiadują się, że to stanowisko jest wolne. Jeśli żyje, ludzie, którzy chcieliby zostać detektywami, przychodzą, aby przedyskutować swoje kwalifikacje z nim i między sobą. Ale niezależnie od tego, czy żyje, czy nie, jego posada zostanie przekazana w wyniku głosowania wśród kandydatów.

Gosseyn mimowolnie skomentował w myśli te słowa. Komentarz ten nie miał nic wspólnego z przedstawianym mu obrazem życia na Wenus, pełnym nadziei, fascynującym obrazem supercywilizacji, a był jedynie wnioskiem, konkretnym wrażeniem, że Maszyna przekazuje mu obiektywną relację.

Głos roboplanu ciągnął dalej:

- Wyobraź sobie teraz sytuację, kiedy ponad połowa kandydatów na wszystkie stanowiska detektywów i sędziów to członkowie gangu. Dzięki starannie zaplanowanemu łańcuchowi morderstw udało im się

wyeliminować najbardziej niebezpiecznych kandydatów i objęli kontrolę nad całym wymiarem sprawiedliwości i aparatem śledczym. Wszystko to zostało przeprowadzone pod kierownictwem Prescotta, dlatego jest on podejrzany i...

- Chwileczkę - wtrącił się Gosseyn. - Jedną minutkę, proszę. -Wstał, nawet nieświadomy, że to zrobił. - Chcesz powiedzieć, że...

- Chcę powiedzieć, że nie możesz umknąć pojmania - odparł roboplan. - Teraz rozumiesz, dlaczego musiałem wprowadzić zakłócenia, abyś nie mógł skorzystać z wideofonu Prescotta. Od czasu przybycia Thorsona ci fałszywi detektywi wykorzystują swoją władzę, aby zakładać podsłuch na wideofonach wszystkich niebezpiecznych osobników. Jeśli chodzi o Thorsona, oznacza to także jego własnych podwładnych. Dlatego nie możesz spodziewać się pomocy od Cranga, bo on musi wykazać się brutalnością, energią i odwagą, albo zostanie usunięty ze stanowiska.

Nie mamy już czasu, więc słuchaj. Twoje istnienie i tajemnica twego umysłu spowodowały zwolnienie mechanizmu zegarowego ogromnej machiny wojennej, a jej dowódcy daremnie usiłują dowiedzieć się, kto za tobą stoi. Z całą szczerością muszę ci zatem oznajmić, że niełatwo przychodzi mi zaproponować ci działanie, które w twojej sytuacji wydaje się jedynym logicznym rozwiązaniem.

Musisz oddać się w ich ręce. Musisz to zrobić w nadziei, ze są wystarczająco mocno zainteresowani twoimi specjalnymi właściwościami fizycznnymi i umysłowymi, by pozostawić cię przy życiu przez co najmniej kilkanaście dni. Ź pewnością zechcą zbadać twój układ nerwowy dokładniej niż to zrobili ostatnio, A teraz podam ci ostatnie instrukcje: Za kilka minut wylądujesz w lesie, koło domu Eldreda Cranga. Idź do niego i opowiedz mu o zagrożeniu dla nie-A tak, jakbyś niczego o nim nie wiedział. Udawaj tak długo, jak tylko możesz. Ocena sytuacji i zagrożenia, w jakim się znajdujesz, należy wyłącznie do ciebie.

Roboplan zaczął podchodzić do lądowania.

- Jeżeli masz jakieś pytania - powiedział - to pospiesz się z zadawaniem ich.

Gosseyn zadrżał na myśl o powadze zagrożenia. Usiadł z powrotem

na fotelu. To nie był dobry moment na zadawanie pytań. Nadszedł czas, aby jasno postawić kilka spraw.

- Nie wysiądę z tego samolotu - rzekł stanowczo. - To byłoby czyste samobójstwo. Przecież nie podjęto żadnych środków, by zapewnić mi bezpieczeństwo, prawda?

- Tak - przyznał roboplan. - Od chwili lądowania będziesz zdany na siebie. Ale nie lekceważ możliwości człowieka, który nadal żyje po tym, jak go zabito - dodał szybko.

- Do diabła z tym - powiedział twardo Gosseyn. - Nie wysiadam, i jest to moje ostatnie słowo.

Roboplan nie przejął się tym oświadczeniem.

- Nie masz wyboru. Jeśli nie opuścisz kabiny z własnej woli, wypuszczę bardzo nieprzyjemny gaz i zmuszę cię do wyjścia. Chciałbym zaznaczyć, że instrukcje, które ci przekazałem, mają uratować ci życie. Możesz je zignorować, ale wtedy będziesz działał na swoją zgubę. Pamiętaj, że według Maszyny Igrzysk możesz albo zostać pojmany przez gang, albo sam się poddać. Proszę to przemyśleć, panie Gosseyn, i jeśli ma pan dalsze pytania...

- W jakim celu mam oddać się w ich ręce? - Spytał ponuro.

- Jest rzeczą niezmiernie ważną, aby mogli dokładnie przyjrzeć

się człowiekowi, o którym wiedzą, że nie żyje - brzmiała odpowiedź.

Roboplan uderzył w coś, podskoczył kilka razy i zatrzymał się.

- Wychodź- polecił.- Szybko! Nie mogę tu pozostać nawet na minutę. Wychodź! Już!

Ponaglający ton zmusił Gosseyna do działania. Przecież nie da się zagazować. Przy włazie zatrzymał się i obejrzał.

- Szybko - popędzał go roboplan. - Nikt nie może wiedzieć, jak się tu dostałeś. Liczy się każda sekunda. Gdy wysiądziesz, natychmiast odsuń się od samolotu i idź prosto przed siebie.

Gosseyn posłusznie, choć niechętnie opuścił pojazd. Chwilę później znalazł się sam w bezmiernej ciemności obcej planety.

X

Noc była spokojna. Gosseyn szedł według instrukcji roboplanu i już po przejściu kilkuset metrów ujrzał po lewej stronie mdłe światełko; w miarę, jak się zbliżał, stawało się coraz jaśniejsze. Wkrótce zmieniło się w blask zalewający ziemię i sąsiednie drzewa. Na koniec dostrzegł jego źródło: dobiegało z okien wyciętych w drzewie na skraju lasu.

Zatrzymał się w cieniu wielkiego krzewu i zajrzał przez okno. Jeszcze gdy siedział w roboplanie, mimo wściekłości, jaka go wtedy ogarnęła, postanowił, że będzie stosował się do poleceń przekazanych mu przez Maszynę. Teraz czekał, aż w oknach pojawi się cień jakiejś postaci, jednak nie dostrzegł żadnego ruchu. Niezadowolony, ale zdecydowany, wkroczył w krąg światła. Wcześniej już zauważył po prawej stronie ogromne schody, wycięte wprost w pniu. Wszedł po stopniach na taras, który prowadził do zamkniętych, ozdobnych drzwi. Zastukał mocno.

Po upływie minuty przyszło mu do głowy, że pomimo jarzących się świateł dom może być pusty. Zapukał jeszcze raz, po czym na próbę pociągnął za klamkę. Drzwi otworzyły się bezszelestnie na słabo oświetlony korytarz, również wycięty w pniu, wypolerowany na wysoki połysk i pozostawiony w naturalnym stanie. Ściany i podłoga lśniły przyćmionym blaskiem. Ich skomplikowany wzór przypominał nieco mahoń, ale w kolorze bardziej zbliżony był do ciemnego orzecha.

Gosseyn szybko rozejrzał się, oceniając sytuację. Przez chwilę stał, nie wiedząc, co robić. Głupio byłoby, gdyby człowiek, który zamierza się poddać, został zastrzelony jako włamywacz. Zapukał jeszcze raz, tym razem w wewnętrzną stronę drzwi. Żadnej odpowiedzi. Przez otwarte drzwi na końcu korytarza wpadał strumień światła. Ruszył w jego kierunku i znalazł się nagle w przytulnym, choć dużym salonie, który podobnie jak korytarz został wyrzeźbiony w pniu ogromnego drzewa.

Tu także ściany były polerowane, ale widocznie zastosowano inny rodzaj obróbki, bo drzewo miało jaśniejszą barwę, co w efekcie dawało wrażenie bogactwa i wspaniałości, podkreślone jeszcze przez meble i dywan o wymiarach co najmniej trzydzieści na dwadzieścia metrów.

Prawdopodobnie właśnie stąd pochodził blask widoczny na zewnątrz. Masywne, lśniące łukowe okna zajmowały całą dłuższą ścianę pomieszczenia. Z salonu wychodziło sześcioro drzwi i Gosseyn sprawdził wszystkie po kolei. Pierwsze wiodły do kuchni ze spiżarnią i chłodniami oraz kącikiem jadalnym, pozostałe do pięciu sypialń, z których każda wyposażona była w oddzielną łazienkę z drzwiami wychodzącymi na ciemny korytarz prowadzący do ogromnego ogrodu wewnątrz drzewa.

Zanim wyszedł z piątej sypialni, doszedł do wniosku, że Eldreda Cranga nie ma w domu. Bez wątpienia wróci tu, ale jego nieobecność w tej chwili stwarzała problem natury psychologicznej. Ze względu na jego nieobecność Gosseyn nie mógł podjąć na razie żadnych decyzji. Pozostawał w zawieszeniu. Dopóki Crang nie wróci do domu, może jeszcze zmienić postanowienie. A to oznaczało wyczerpanie nerwowe, niepokój i powracające wątpliwości, czy ma rację pozostając tutaj i czekając na aresztowanie, podczas gdy mieszkańcy Wenus nic nie wiedzieli o niebezpieczeństwie.

Dotarł do pary drzwi umieszczonych naprzeciw siebie po obu stronach korytarza, na samym końcu domu. Spróbował je otworzyć. Podobnie jak inne drzwi, te także nie były zamknięte na klucz. Jedne prowadziły do kuchni, drugie w ciemność. Światło z holu wpadało ponad jego ramieniem, i gdy jego oczy przyzwyczaiły się do mroku, zobaczył, że stoi u wejścia do przypominającego jaskinię korytarza. W odległości pięćdziesięciu metrów światło zanikało, ale Gosseyn odniósł wrażenie, że jaskinia ciągnęła się dalej w głąb pnia.

Zamknął drzwi i zawrócił do jednej z sypialń. Rozebrał się i wykąpał w przyległej łazience. Odświeżony i senny, wsunął siew miękką pościel. Wokół niego panowała kompletna cisza, taka, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczył. Jego myśli zwróciły się ku wnętrzu, ku tajemnicy Gilberta Gosseyna, który został zabity i nadal żyje. Nawet bogowie z przeszłości nie potrafiliby zrobić lepszej sztuczki. W tamtych dawnych, romantycznych czasach mógł okazać się księciem, ważnym agentem rządowym lub synem bogatego kupca. Ale w świecie nie-A nie spotykało się takich wyjątkowych ludzi. Oczywiście, wielu ludzi było bogatych, a agenci prezydenta Hardiego

mogli być w zasadzie określeni jako agenci rządu, ale zmieniła się skala wartości, ludzie rodzili się równi, i wszyscy potrzebowali szkolenia nie-A, aby uzyskać zharmonizowany umysł. W obecnych czasach nie zdarzali się już podróżujący królowie, arcyksiążęta czy supermeni. Kim więc jest on sam i dlaczego jest taki ważny?

Z tą myślą zapadł w sen.

Obudził się nagle. Przez otwarte drzwi sypialni z korytarza wpadało światło dnia. Gosseyn osiadł, zastanawiając się, czy Crang wrócił do domu, i nie zauważył, że ma gościa. Wyskoczył z łóżka i zaczął się myć, głośno chlapiąc i fałszywie gwiżdżąc. Czuł się trochę idiotycznie, ale wolał dać znać o swojej obecności, zamiast zaskakiwać gospodarza i ryzykować śmierć od kuli.

Gwiżdżąc jeszcze głośniej wszedł do kuchni. Zaczął przeglądać szuflady i szafki, robiąc możliwie najwięcej hałasu. Trzaskając pojemnikami sprawdził dobrze zaopatrzoną lodówkę. Zdjął z półki filiżankę i talerz, z głośnym stukiem postawił na stole. Przysmażył bekon, tłuszcz skwiercząc pryskał na wszystkie strony. Ze smakiem zjadł śniadanie - tosty, bekon, herbata i świeże wenusjańskie owoce.

Kiedy skończył jeść, wciąż jeszcze był sam w domu. Wyszedł z kuchni i szybko przeszukał dom. Salon zalany był światłem wpadającym przez wielkie okna. Żadna z sypialń, z wyjątkiem jego własnej, nie byk używana. Otworzył drzwi na końcu korytarza, prowadzące do wnętrza drzewa. Pomieszczenie za nimi było tak samo ciemne, jak wczoraj. Przez chwilę stał tam, wahając się, czy powinien wchodzić. Uznał, że nie, i wrócił, do salonu. Przez ogromne okna zobaczył, że dom w drzewie wychodzi na rozległą łąkę. Część tej łąki przekształcono w wypielęgnowany ogród, który zajmował kilka akrów i tarasami wspinał się w kierunku drzewa, gdzie łączył się z nim w miejscu niewidocznym z okien salonu. Po dłuższych poszukiwaniach stwierdził, że ogród zaczyna się wewnątrz drzewa, na głębokości około sześciu metrów, co stanowiło zaledwie drobne nacięcie w ogromnej masie żywego pnia. Pozwoliło to jednak stworzyć zupełnie baśniowy zakątek. Były tam krzewy, jakich nie widział nigdy w naturze, całe obsypane kwieciem, kwiaty wielkie jak ziemskie drzewa, tak barwne,

że wydawały się świecić własnym światłem. Wenus musiała być rajem dla botaników.

Jednak urok ogrodu nie zatrzymał go na długo. Niespokojnie zawrócił do domu. Co robić, czekając na Cranga? W salonie obejrzał książki stojące na półkach. Kilka tytułów go zainteresowało: *Arystotelesowska i nie-Arystotelesowska historia Wenus, Egotysta na nie- Arystotelesawskiej Wenus, Maszyna i jej budowniczowie,* oraz *Detektywi w świecie bez zbrodniarzy.*

Czytanie początkowo wydało mu się zbyt spokojnym zajęciem. Włączył więc odtwarzacz i powoli zaczął się uspokajać. Teraz czytał uważniej. Zjadł lunch z książką obok talerza. Wieczorem czół się już całkiem dobrze. Był głodny. Wyjął kawał wołowiny z zamrażarki i odciął potężny kotlet Po kolacji zabrał się za historię Wenus. Opisywała ona dzieje pierwszych ludzi, którzy postawili stopę na planecie pod koniec dwudziestego stulecia. Przeczytał o tym, jak w pierwszej ćwierci dwudziestego pierwszego wieku zostało ujarzmione kipiące piekło atmosfery, jak zostały tu sprowadzone na bliską orbitę lodowe bryły z Jowisza, w wyniku czego deszcz padał przez tysiąc dni i nocy.

Bryły lodowe miały wielkość od kilku do setek kilometrów sześciennych, a kiedy uległy roztopieniu, olbrzymie masy wody spłynęły do atmosfery, a potem na powierzchnię, dając Wenus oceany i tlen. W roku 2081 Instytut Semantyki Ogólnej, obejmujący właśnie władzę, zrozumiał, jakie możliwości przedstawia sobą żyzna planeta dla nie-A. Tymczasem drzewa i rośliny przywiezione na Wenus rozrosły się jak szalone. Metodą wybierania kolonistów przez Maszynę pojawiła się mniej więcej w sto lat później, a zaraz potem zaczął nabierać rozpędu największy selektywny plan emigracyjny w historii ludzkości.

W roku 2560 - podawał podręcznik - ludność Wenus liczyła 119.000.038 mężczyźni 120.143.280 kobiet. Gosseyn odłożył książkę, zastanawiając się, czy liczebna przewaga kobiet może tłumaczyć, dlaczego kobieta nie-A poślubiła Johna Prescotta.

Do poduszki wziął *Egotystę na nie-Arystotelesowskiej Wenus.* Notka na skrzydełku informowała, że autor, doktor psychologii Lauren Kair, w

latach 2559-2564 prowadził praktykę na Ziemi, w mieście Maszyny. Przejrzał tytuły rozdziałów i zatrzymał się na nagłówku: „Urazy fizyczne i ich wpływ na *ego".* Jego uwagę zwrócił następujący akapit:

„Spośród wszystkich nieprawidłowych kierunków rozwoju *ego* najtrudniej jest wyizolować przypadek człowieka, który uległ wypadkowi i doznał urazu nie powodującego natychmiastowych skutków".

Gosseyn przestał czytać. Do tej pory nie wiedział, czego szuka, ale tutaj znalazł logiczne wyjaśnienie dla stanu „Iksa". „Iks", który doznał potwornych obrażeń, niezauważenie wyhodował nienormalne *ego* tuż pod okiem psychiatrów, których zadaniem była obserwacja niebezpiecznych osobników.

Następnego poranka Gosseyn obudził się znowu w pustym domu. Wstał z łóżka, zdumiony, że jeszcze nie wpadli na jego ślad. Postanowił, że da Crangowi jeszcze jedną dobę, a potem zacznie działać. Mógł zrobić różne rzeczy. Na przykład zadzwonić do najbliższej centrali. No i oczywiście zbadać tunel i drzewo.

Drugi dzień minął spokojnie.

Rankiem trzeciego dnia Gosseyn zjadł spiesznie śniadanie i podszedł do wideofonu. Wybrał „daleki zasięg" i czekał, zastanawiając się nad tym, jak bardzo był głupi, że nie spróbował wcześniej. Myśl urwała się, kiedy na ekranie pojawiło się oko robota.

- Na jaką gwiazdę chce pan dzwonić? - zapytał rzeczowo robot Gosseyn wlepił w niego pusty wzrok i wreszcie wyjąkał:

- Zmieniłem zamiar.

Przerwał połączenie i odchylił się na oparcie fotela. Rozdygotany stwierdził, że powinien był zdawać sobie sprawę z tego, iż baza galaktyczna na Wenus Dosiada własną, prywatną centralę i może porozumiewać się bezpośrednio z każdą wybraną planetą. Jaka gwiazda?- spytał robot Dla tych ludzi daleki zasięg oznaczał zasięg naprawdę daleki.

Jeszcze raz przyjrzał się tarczy i wsunął palec w szczelinę z napisem „Lokalna". I znów spojrzało na niego oko robota. Jego obojętny głos oznajmił:

- Niestety nie mogę z tego numeru łączyć rozmów na zewnątrz, o ile

nie rozmawia sam pan Crang.

Klik!

Gosseyn dźwignął się na nogi. Milczenie panujące w mieszkaniu otaczało go jak spokojne morze. Było tak cicho, że nawet jego oddech brzmiał głośno. Słyszał doskonale nierówne bicie własnego serca. Głos robota-operatora wciąż rozbrzmiewał echem w jego mózgu. „Jaka gwiazda?". Pomyśleć, że stracił tak wiele czasu. A przecież ma tyle do zrobienia. Najpierw tunel.

Kilka minut później stał u wlotu do mrocznego korytarza wiodącego w głąb drzewa o grubości dwustu metrów i wysokiego na prawie dwa kilometry. Było bardzo ciemno, ale w schowku w kuchni znalazł atomową latarkę. Wziął ją i ruszył do wnętrza drzewa nisko sklepionym korytarzem, pozostawiając za sobą otwarte drzwi.

XI

Monotonia otoczenia działała usypiająco. Tunel zakręcił i schodził w dół coraz bardziej stromo. Nachylone ściany lśniły lekko w blasku latarki. Gosseyn szedł już godzinę i w tym czasie do głównego tunelu dołączyło siedem bocznych, a korytarz trzykrotnie się rozdwajał. Można było łatwo stracić orientację, ale narysował w notesie prostą mapę, oznaczając na niej każdy tunel.

Musi prowadzić kilkaset stóp pod ziemią, pomyślał wreszcie. Pewnie idzie wzdłuż splątanych korzeni. Chyba jestem pod lasem.

Wcześniej nigdy nie zastanawiał się nad rozpiętością korzeni podtrzymujących potężne drzewa. Tu jednak, w nieprzerwanym labiryncie widać było, że korzenie są zarazem wielkie i mocno ściśnięte jedne na drugich. Z wnętrza tunelu nie było widać, gdzie znajdują się połączenia, gdzie kończy się jeden korzeń i zaczyna następny. Sprawdził, czy w kolejnej odnodze nie ma jakichś znaków. Nic nie znalazł. Tu, w korzeniach, drewno miało kolor cytryny i tworzyło solidny, beczkowaty pułap. Powierzchnia w zasięgu rąk była twarda jak metal, nie miała wyłączników, ukrytych przejść, ani żadnych oznakowań.

Poczuł niepokój. Tunele ciągnęły się chyba w nieskończoność. Jeśli rzeczywiście ma je zbadać, tak jak postanowił, będzie potrzebował prowiantu. Szkoda, że musi zawrócić po dwóch godzinach marszu. Jednak lepiej po dwóch niż po pięciu. Powinien wracać, zanim poczuje głód lub pragnienie.

Dotarł bez przeszkód do apartamentu Eldreda Cranga. Przygotował sobie stos kanapek z mięsem i właśnie siadał do lunchu, składającego się z jaj i bekonu, kiedy do kuchni weszło czterech mężczyzn. Pierwsi trzej byli uzbrojeni w karabiny i wyskoczyli z korytarza jakby pchnęła ich ta sama, ciasno zwinięta sprężyna. Czwarty był żylastym facetem o orzechowych oczach. Nie miał broni i wszedł w spokojniejszy sposób. On też przemówił pierwszy:

- No, Gosseyn, ręce do góry.

Gosseyn siedział sztywno przy stole, kręcąc tylko głową na wszystkie

strony. Doszedł do wniosku, że Eldred Crang, agent galaktyczny, detektyw na Wenus i tajny wyznawca nie-A, wreszcie wrócił do domu.

Pierwszą reakcją było uczucie ulgi. Dopóki odpowiedzialni ludzie, przeszkoleni w nie-A, nie dowiedzą się, jakie niebezpieczeństwo zagraża cywilizacji, Gilbert Gosseyn musi jemu zawierzyć swoje życie. Próbował interpretować spotkanie z Crangiem jako pierwszy krok w tym kierunku. Wstał z podniesionymi rękami i z ciekawością przyglądał się mężczyznom, sycąc zmysły poczuciem ich obecności. Nie był pewien, jak najlepiej przedstawić im historię, przekazaną mu przez Maszynę.

Tymczasem jeden z mężczyzn podszedł do stołu i rozerwał paczkę z kanapkami, które rozsypały się w biało-brązowy stos. Dwie upadły na podłogę z cichym stukiem, jakby to były kawałki suchego ciasta. Mężczyzna nie odezwał się od razu. Z uśmiechem przyglądał się kanapkom. Był to krępy, zadbany osobnik po trzydziestce. Podszedł do Gosseyna.

- Czyżbyś chciał nas opuścić? - Mówił z lekkim obcym akcentem. Uśmiechnął się znowu i mocno uderzył Gosseyna otwartą dłonią w twarz. Powtórzył głuchym, spokojnym tonem: - Chciałeś sobie pójść? - Jeszcze raz podniósł rękę.

- Dość tego, Blayney- powstrzymał go Crang. Mężczyzna posłusznie opuścił rękę. Twarz jednak drgała mu lekko, a głos był głuchy ze zdenerwowania.

- Panie Crang, a co by było, gdyby sobie poszedł? - zawołał. -A gdyby nie zadzwonił na centralę? Komu przyszłoby do głowy, żeby szukać go tutaj? Przecież gdyby uciekł, szef by nam...

- Spokój!

Blayney zamilkł. Gosseyn zwrócił się do żylastego przywódcy.

- Crang, na twoim miejscu, nie wierzyłbym Blayneyowi, kiedy przekroczy czterdziestkę.

- Co? - to był głos zdumionego Blayneya. Żółte oczy Cranga także spojrzały na Gosseyna pytająco.

- Psychiatria wyjaśniłby ci, dlaczego Blayney uderzył mnie w twarz - mówił dalej Gosseyn. - Jego układ nerwowy zaczyna reagować równie silnie

na zdarzenia, które mogłyby się wydarzyć, jak i na te, które się naprawdę zdarzyły. To uszkodzenie czysto funkcjonalne, ale uzewnętrznia się w sposób nieprzyjemny. Stopniowa utrata odwagi, wybuchy sadyzmu, aby ukryć narastające tchórzostwo. Kiedy dojdzie do czterdziestki, będzie miał koszmary, śniąc o urazach, jakie mógł odnieść w niebezpiecznych miejscach, i sytuacjach przeżytych w młodości. - Wzruszył ramionami. - Kolejny przypadek osoby, której brakuje harmonii nie-A.

Szare oczy Blayneya najpierw spiorunowały Gosseyna, po czym przeniosły się na Cranga. ,

- Panie Crang, mogę walnąć go jeszcze raz? - zapytał stłumionym głosem.

- Nie. Co cię obchodzi, co on sobie myśli?

Blayney wydawał się niezadowolony, ale Gosseyn nie powiedział już nic więcej, żeby nie pogarszać sytuacji. Nadszedł czas, aby wyłuszczyć całą historię.

Ku jego zaskoczeniu wysłuchali go z uwagą. Kiedy skończył, Crang wyjął papierosa i zapalił. Pochwycił spojrzenie Gosseyna, ale nic nie powiedział. Wydawał się lekko zdezorientowany, i przez chwilę palił w milczeniu. Gosseyn miał więc czas, aby om się przyjrzeć.

Eldred Crang był szczupły, ale niewysoki. Coś w jego wyj sugerowało, że pochodzi z Bliskiego Wschodu lub znad Morza l! ziemnego. Prawdopodobnie urodził się na planecie pod słońcem gorętszym niż Soi. Zachowywał się niespokojnie, co wraz z zielonożółtymi oczami nadawało jego osobowości dość ognisty charakter.

A zatem to właśnie był człowiek, którego kochała Patricia Hardie. Gosseyn zaczął się zastanawiać, czy powinien odczuwać niechęć w stosunku do niego. Nie czuł nic podobnego. Przypomniał sobie jedynie słowa roboplanu, że Crang nie będzie dla niego żadną pomocą. Był w końcu otoczony nie tylko swoimi ludźmi, lecz także ludźmi z gangu. Z Thorsonem jako bezpośrednim przełożonym, Crang naprawdę musiał się bardzo pilnować.

Nagle Crang przerwał milczenie i roześmiał się.

- Przez chwilę już miałem ochotę cię wypuścić, razem z twoją

historyjką. Ale nie mamy czasu na drobne gierki. Postanowiliśmy, że zorganizujemy ogólną konferencją na twój temat i w twojej obecności. Za godzinę wylatujemy na Ziemię.

- Na Ziemię! - powtórzył Gosseyn.

W irytacji zacisnął usta. Od czasu swojego przybycia na Wenus zdołał powiadomić o zagrożeniu dla Układu Słonecznego tylko jedną osobę. Osoba ta, Amelia Prescott, w najlepszym przypadku zdążyła przekazać sprawę Rejestrowi Detektywów, nie wiedząc przy tym, że organizacja ta stanowi jedynie kolejną mackę gangu.

- Blayney, przyprowadź Prescottów - polecił Crang.

Gosseyn poderwał się, ale zaraz się opanował. Z zainteresowaniem obserwował, jak wprowadzano Johna i Amelię Prescottów, oboje w kajdankach i zakneblowanych. Mężczyzna popatrzył obojętnie na niedawnego napastnika, ale jego żona wydawała się rzeczywiście zaskoczona widokiem Gosseyna. Przez chwilę próbowała wypluć knebel, aż oczy poczerwieniały jej z wysiłku. Po chwili zaprzestała walki i bezradnie potrząsnęła głową pod adresem Gosseyna.

Spojrzał na nią ze współczuciem. Taki był rezultat jej decyzji, by zaufać mężowi, że skłania się bardziej ku filozofii nie-A niż ku celom gangu. Prescott zawiódł ją. Gdyby należała do grupy, nie zakładaliby jej knebla. Mogłaby bez trudu udawać, że jest więźniem ,zachowując przy tym możliwość mówienia.

Jej mąż musi być wściekły, że i jego zakneblowali. Niezależnie od celu tej maskarady, Gosseyn postanowił grać wraz z aktorami. Wiedział, kim jest Prescott, a oni nie wiedzieli, że on wie. Był to jeden z niewielu atutów w grze, gdzie wszystkie karty zostały rozdane na jego niekorzyść.

XII

Statek kosmiczny, niosący na swoim pokładzie jedną kobietę i czterystu dwóch mężczyzn, mknął przez niezmierzoną ciemność. Crang podał Gosseynowi te liczby nazajutrz po starcie.

- Otrzymałem rozkazy, żeby nie ryzykować - wyjaśnił.

Gosseyn milczał. Crang trochę go zastanawiał. Był to człowiek, który widocznie postanowił za wszelką cenę utrzymać swą pozycję w gangu, nie oglądając się na własną wiarę w filozofię nie-A. Pociągałoby to za sobą nieprzyjemne kompromisy, może nawet nieliczenie się z życiem innych. Gdyby jednak zamierzał użyć swej mocy na korzyść nie-A, na dalszą metę wszystkie te drobne ustępstwa wobec gangu w ostatecznym rozrachunku okazałyby się słuszne.

Crang wyszedł na promenadę. Gosseyn przez dłuższą chwilę stał, wyglądając przez ogromne przednie okno w międzyplanetarną noc. W ciemności przed sutkiem nadnaturalnym blaskiem lśniła gwiazda, która jutro przybierze kształt Ziemi. A już jutro wieczorem, po podróży, trwającej trzy dni i dwie noce, on, Gosseyn, znajdzie się w oficjalnej rezydencji prezydenta Hardiego.

Lądowanie rozczarowało Gosseyna. Kontynenty okryte były mgłami i chmurami, które zasłaniały Ziemię w ciągu całej podroży przez atmosferę. A potem - ostateczne rozczarowanie - całun mgły okrył miasto Maszyny, zasłaniając wszystko to, co można było zobaczyć przez przerwy w chmurach. Ujrzał jedynie błysk światła atomowego, które stanowiło własną, oślepiającą latarnię Maszyny Igrzysk. A potem statek zapadł się w piwniczny mrok gigantycznego budynku.

Gosseyn został wypchnięty w mglisty zmierzch. Zapłonęły lampy uliczne, przyćmione plamy światła. Dziedziniec pałacu prezydenckiego był pusty, ale ożył nagle krokami ludzi, którzy wysiedli z samochodów eskorty. Zapędzono go do długiego, jasno oświetlonego korytarza, po długich schodach, aż do luksusowo urządzonego holu. Crang poszedł przodem, prowadząc go do drzwi w głębi.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił. - To twój apartament Jesteś

gościem prezydenta. Pozostałych proszę, by zaczekali na zewnątrz.

Otworzył drzwi dużego salonu. Było tu jeszcze troje drzwi. Crang wskazał je ruchem dłoni.

- Sypialnia, łazienka, tylne wyjście. W sypialni jest drugie wejście do łazienki - zawahał się. - Nie będzie pan zamykany ani strzeżony, ale na pańskim miejscu nie próbowałbym uciekać. Zapewniam pana, że nie zdoła się pan wydostać z pałacu. - Uśmiechnął się szeroko. Był to całkiem przyjazny, sympatyczny uśmiech. - W sypialni znajdzie pan odpowiedni strój do kolacji. Proszę być gotowy za godzinę, dobrze? Chciałbym panu coś pokazać przed kolacją.

- Będę gotów - odparł Gosseyn.

Rozebrał się, rozważając możliwości ucieczki. Nie przyjął do wiadomości stwierdzenia Cranga, że ucieczka nie jest możliwa, skoro nie ma tu straży. Ale z drugiej strony, może zastawiają na niego pułapkę.

W garderobie znalazł kilka garniturów. Właśnie zdecydował się na jeden z nich, uszyty z ciemnego, lśniącego materiału, kiedy usłyszał, jak otwierają się drzwi. Włożył szlafrok i przeszedł do salonu. Patricia Hardie zamykała drzwi, które Crang określił jako tylne wejście. Płynnym ruchem obróciła się i podeszła do niego.

- Iy szaleńcze-zawołała bez wstępów.-Dlaczego wybiegłeś tak szybko, kiedy straże weszły do mojego apartamentu? Nie słyszałeś, jak mówiłam, że mimo rozkazu Thorsona zabraniam przeszukiwać mój pokój? - Gestem nakazała mu milczenie. - Nieważne. To już przeszłość. Wyszedłeś, dałeś się zabić, a teraz znowu to jesteś. Przecież to ciebie zabili, prawda? To nie było tylko przypadkowe podobieństwo?

Gosseyn otworzył usta. Nie dopuściła go do głosu.

- Mogę tu zostać tylko przez chwilę. Wierz mi, w sprawie twojej ucieczki w zeszłym miesiącu jestem podejrzaną numer jeden i jeśli mnie tu złapią... - zadrżała przekonująco. - Gosseyn, kim ty jesteś? Teraz już chyba wiesz.

Studiował twarz Patricii, zarażony jej podnieceniem. Wniosła do pokoju życie, którego mu brakowało. Nawet jej zapalczywość mu się podobała.

- Powiedz mi - rozkazała. - Szybko!

Opowiedział jej to, co sam wiedział. Obudził się na Wenus nie pamiętając, jak się tam dostał. Nie miał nic do ukrycia z późniejszych zdarzeń, poza tym, że Prescott należy do gangu, ale przecież Patricia o tym wiedziała. Sama głośno się do tego przyznała, w dodatku w zasięgu jego słuchu. Był to jednak jeden z tych faktów, o których nie chciał mówić. Ten jeden sekret musieli dzielić w milczeniu, na wypadek, gdyby pokój był na podsłuchu.

Wyznał jej jednak całą resztę. Zanim dokończył, rzuciła się na fotel i przygryzła wargi z wyraźnym zdenerwowaniem.

- To twoje drugie ciało właściwie nie wie więcej, niż pierwsze - rzekła wreszcie. - Naprawdę jesteś tylko pionkiem.

Gosseyn patrzał na nią z góry. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy złościć. Nie był przygotowany na to, aby zgłębiać z nią problem dwóch ciał Gosseyna, choć sam miał już pewne domysły. To, że nazwała go pionkiem, zabolało, ponieważ było prawdą.

- Słuchaj- spytał szybko-a jaka jest twoja rola w tym wszystkim? Oczy dziewczyny złagodniały.

- Przepraszam- szepnęła.- Nie chciałam cię urazić. Tak naprawdę twoja niewiedza zaskoczyła wszystkie grupy. Thorson, osobisty przedstawiciel Enro, opóźnił inwazję na Wenus. Masz! To chyba *cafe* zainteresuje. Ale czekaj, nie przerywaj. Tę informację miałam zamiar przekazać ci już miesiąc temu. Chcesz dowiedzieć się czegoś o „Iksie". My też. Ten człowiek ma żelazną wolę, ale nikt nie wie, do czego zmierza. Wydaje się zainteresowany przede wszystkim własną potęgą i wyraził nadzieję że ty także możesz się do czegoś przydać. Ludzie z Ligi Galaktycznej są oszołomieni. Nie potrafią się zdecydować, czy kosmiczny szachista, który wprowadził cię do gry, jest sprzymierzeńcem, czy wrogiem. Wszyscy poruszają się po omacku, nie wiedząc, co dalej robić. -Urwała. Jej oczy lśniły podnieceniem. - Przyjacielu - powiedziała. -W tym całym zamieszaniu musi być dla ciebie jakaś szansa. Chwytaj ją-zawołała zapalczywie.-Bierz ją, jeśli będzie ci dana i nie obwarowana niemożliwymi do spełnienia warunkami. Nie daj się zabić.

Wstała, przyjaźnie dotknęła jego ramienia i pobiegła do drzwi. Otworzyła je i przystanęła.

- Powodzenia - szepnęła wychodząc.

Skąd ona wie, co ci ludzie mówią i myślą, zastanawiał się Gosseyn, biorąc prysznic. Kimże ona jest?

Kiedy wyszedł z łazienki, stwierdził, że ma kolejnego gościa. W fotelu siedział prezydent Hardie.

Na widok Gosseyna jego szlachetna twarz rozjaśniła się. Siedząc tak, wyglądał na silnego, zdecydowanego i spokojnego mężczyznę, prawdziwe uosobienie wielkiego człowieka. Jego poważne spojrzenie spoczęło na twarzy Gosseyna.

- Przygotowałem dla pana ten apartament, ponieważ chciałem z panem porozmawiać nie obawiając się, że ktoś nas podsłucha -rzekł. - Nie mamy czasu do stracenia.

- Naprawdę? - zdziwił się Gosseyn.

Odezwał się umyślnie wrogim tonem. Ten człowiek pozwolił, aby gang wyniósł go na stanowisko prezydenta bez udziału Maszyny. Niewybaczalna, kolosalna, osobista zbrodnia.

Subtelna twarz starszego mężczyzny rozluźniła się w bladym uśmiechu.

- Daj pan spokój - rzekł Hardie. - Nie bądźmy dziecinni. Pan chce informacji. Ja także. Pac zadaje trzy pytania, potem ja zadaję następne trzy - zawiesił głos i nagle dodał ostrzejszym tonem: - Przecież musisz mieć pytania, człowieku!

Wrogość Gosseyna nagle zniknęła. Miał więcej pytań niż mógłby zadać przez cały wieczór. Lepiej więc nie tracić czasu.

- Kim pan jest?- zapytał. Hardie z żalem potrząsnął głową.

- Przykro mi - odparł. - Albo jestem tym, za kogo mnie biorą, albo nie. W tym drugim przypadku, gdybym panu powiedział, byłbym zdany na pana łaskę i niełaskę. Mogliby z pana wydobyć tę informację stosując wykrywacz kłamstw. Proszę nie tracić czasu na pytania, które mogłyby mnie zniszczyć - dodał ostro. - Dalej.

- Czy wie pan o mnie coś, co jeszcze nie zostało powiedziane?

- Tak - odparł Hardie. Musiał dostrzec wyraz, jaki pojawił się na twarzy Gosseyna, bo szybko dodał; - Szczerze mówiąc, wiem niewiele. Jednak parę dni przedtem, zanim pojawił się pan na scenie, w mojej osobistej poczcie otrzymałem Ust Został wysłany stąd, z miasta Maszyny. Wynikało z niego, że jego autor znał wszelkie szczegóły tego, co uważaliśmy za najlepiej strzeżony sekret w Układzie Słonecznym - wiedział o planowanym ataku na Wenus. Opisał pokrótce całą historię, po czym stwierdził, że będzie pan mieszkał w Tropical Park Hotel, i że to pan udaremni ten atak.

W liście tym były pewne informacje, których wolałbym nie ujawniać innym, dlatego spaliłem go i kazałem sprowadzić pana do pałacu, używając skomplikowanej procedury, którą już pan zna. Proszę bardzo. Teraz trzecie pytanie.

- Drugie!- poprawił Gosseyn.

- Trzecie. Jeśli ja zadam pytanie i pan odmówi na nie odpowiedzi, ten sam warunek obróci się przeciwko mnie. Pasuje?

Gosseyn zaprotestował zupełnie automatycznie. Jego umysł pochłonięty był analizowaniem tego, co powiedział Hardie. Nie wątpił w prawdziwość jego słów. Rzeczywistość mogła faktycznie tak wyglądać. Oczywiście to, co się za nimi kryło, było zupełnie inną historią.

Przyglądał się uważnie starszemu mężczyźnie, po raz pierwszy pod wrażeniem. Prezydent był jednym z całej zróżnicowanej grupy spiskowców, z których każdy prowadził swoje własne interesy. Przekonanie tych ludzi, równie egoistycznych jak on sam, aby powierzyli mu najwyższe z mianowanych stanowisk, stanowiło jego osobiste osiągnięcie. Charakter tego człowieka, któremu do tej pory nie poświęcał wiele uwagi, nagle wydał mu się bardzo skomplikowany.

- Gosseyn, pana następne pytanie?

Zapomniał, że najważniejsza jest szybkość. A poza *tym* miał już niejasne przekonanie, że nie dowie się niczego ciekawego. Ci ludzie sami niewiele wiedzieli.

- Co się ze mną stanie?- zapytał.

- Otrzyma pan ofertę, jaką, jeszcze nie wiem. Thorson i „Iks" właśnie

ją omawiają. Cokolwiek to będzie, myślę, że warto, aby pan ją przyjął, przynajmniej tymczasowo. Proszę pamiętać, że ma pan mocną pozycję. Teoretycznie, jeśli może pan mieć dwa ciała, dlaczegóż by nie trzy? - zmarszczył brwi. - To jednak tylko spekulacje.

Gosseyn przestał już wierzyć, że kiedykolwiek miał dwa ciała. Już otworzył usta, żeby rzucić to w formie kąśliwej uwagi, ale zamknął je z powrotem. Zmrużył oczy. Ci ludzie muszą mieć jakiś cel w tym, żeby podsuwać mu takie myśli. Wszystko wydawało się mroczne i pozbawione znaczenia, ale nie może zapominać, że tak naprawdę nigdy nie uwolnił się spod kontroli gangu. Nawet roboplan, który twierdził, że jest wysłannikiem Maszyny, mógł być odpowiednio zaprogramowany, aby sprawiać takie wrażenie. Lepiej czekać na rozwój wydarzeń. Spojrzał na Hardiego i odparł spokojnie.

- Tak, to spekulacja.

- Moje pierwsze pytanie - odezwał się Hardie - dotyczy osoby lub grupy, która stoi za panem. Czy skontaktował się z panem ktoś, kto twierdził, że jest przedstawicielem takiej grupy?

- Absolutnie nie, O ile odpowiedzialna nie jest sama Maszyna, błądzę po omacku.

- To, że pan tak myśli, nie znaczy, że tak jest w rzeczywistości - uśmiechnął się Hardie. - A teraz wymusił pan na mnie stwierdzenie typowe dla nie-A. Zauważyłem, że inni też to robią. Nawet jeśli spiskujemy, aby zniszczyć filozofię nie-A, przyjmujemy jej logikę. „Mapa to jeszcze nie terytorium". Pana przekonanie, że nie wie pan nic, jest abstrahowaniem od rzeczywistości, a nie samą rzeczywistością.

Urwał. Przez chwilę siedział w milczeniu, uśmiechając się z rozbawieniem, wreszcie przemówił znowu:

- Pytanie drugie: czy ma pan jakieś wewnętrzne poczucie, że jest pan kimś innym niż pozostałe istoty ludzkie? - Wzruszył ramionami. - Przyznaję, że to nie jest semantyczne pytanie, gdyż to, co pan wie o innych ludziach, wynika wyłącznie z obserwacji, a te mogą różnić się od moich. Żyjemy w prywatnych światach. Nie potrafię jednak opisać tego inaczej. Więc jak?

Tym razem Gosseyn stwierdził, że pytanie to jest nie tylko do-

puszczalne, ale zdecydowanie interesujące. Były to jego własne myśli ujęte w słowa.

- Nie czuję różnicy wewnątrz siebie. Przyjmuję, że ma pan na myśli to, co w moim mózgu odkrył Thorson. - Zamilkł w napięciu. -Co właściwie było w moim mózgu?

Pochylił się w przód. Jego ciało ogarniały na przemian fale ciepła i zimna. Westchnął, kiedy Hardie wpadł mu w słowo:

- Proszę czekać na swoją kolej. Wciąż mam jeszcze jedno pytanie. Chciałbym wiedzieć, jak pan znalazł kryjówkę Cranga?

- Zawiózł mnie tam roboplan i zmusił, bym pozostał na miejscu.

- Czyj roboplan?

- To moje pytanie - odrzekł Gosseyn. - Chyba lepiej będzie, jeśli zaczniemy zadawać po jednym pytaniu. Co jest w moim mózgu?

- Dodatkowa materia mózgowa. Nie wiem nic na temat jej pochodzenia. Thorson w końcu przestał uważać, że dzięki niej ma pan większe możliwości.

Gosseyn skinął głową. Skłonny był zgodzić się z Thorsonem. Od początku nie wyczuwał najmniejszej nawet różnicy.

- Czyj roboplan? - powtórzył Hardie.

- Twierdził, że reprezentuje Maszynę.

- Twierdził?

- Teraz ja-zwrócił mu uwagę Gosseyn. Hardie skrzywił się.

- Nie odpowiada pan na moje pytania do końca. Czy przedstawił na to jakieś dowody?

- Wiedział o kilku rzeczach, o których wie Maszyna, ale kazał mi poddać się. Uważam to za podejrzane.

- Rozumiem, co pan ma na myśli - odparł Hardie w zamyśleniu. - Nie mogę panu tego wyjaśnić. Crang ostatnio zdominował Thorsona, a ja w wielu sprawach błądzę po omacku. Obawiam się, że jestem odsunięty od decydowania - dodał smutno.

A więc dlatego tu się znalazł, dlatego oferował mu informacje jak równy równemu. Gosseyn nagle wyobraził sobie z całą wyrazistością, jak to będzie, gdy Ziemianie zaczyna zdawać sobie sprawę, że są tylko pionkami.

Zanim jednak zdołał przemówić, Hardie odezwał się szorstko:

- Niczego nie żałuję, jeśli o tym pan myśli. Maszyna odmówiła mi prawa do dalszego awansu, a ja odmówiłem przyjęcia jakichkolwiek ograniczeń.

- Dlaczego panu odmówiła?

- Ponieważ ujrzała we mnie potencjalnego dyktatora, przynajmniej tak twierdzi. Ta cholerna kupa złomu została stworzona, aby usuwać ludzi takich jak ja w momencie, gdy obawa przed taką ewentualnością jeszcze nie była bezpodstawna.

- A więc postępował pan tak, aby udowodnić, że ma rację?

- Pojawiła się taka możliwość, więc z niej skorzystałem. W podobnych okolicznościach zrobiłbym to samo jeszcze raz. W hierarchii galaktycznej znalazłoby się dla mnie miejsce. Teraz, w czasie kryzysu, Thorson po prostu zabezpiecza sobie tyły. - Ponury wyraz zniknął z jego twarzy. Uśmiechnął się. - Odeszliśmy od tematu i...

Przerwano mu. Drzwi otwarły się i człowiek w mundurze wszedł szybko, zamykając je za sobą.

- Sir - zwrócił się do Hardiego. - Pan Thorson właśnie *tu* idzie. Otrzymałem sygnał.

Prezydent Hardie wstał. Wydawał się rozczarowany, ale spokojny.

- Cóż, musimy kończyć rozmowę. Myślę jednak, że dowiedziałem się tego, co chciałem. Próbowałem wyrobić sobie o panu jakieś zdanie. Teraz już wiem, że nie jest pan ostatnim Gosseynem. Do widzenia i proszę pamiętać, co powiedziałem. Na razie musi pan iść na kompromis i pozostać przy życiu.

Razem ze strażnikiem zniknęli za tymi samymi drzwiami, przez które piętnaście minut wcześniej wyszła Patricia. Od ich wyjścia minęło tylko kilka sekund, kiedy rozległo się pukanie do drugich drzwi i stanął w nich Thorson.

XIII

Potężny mężczyzna zatrzymał się w progu. Wyglądał tak, jak go pamiętał Gosseyn, silny, o nalanej twarzy i orlim nosie. Pozycja Thorsona od samego początku była jasna - człowiek, którego bali się wszyscy, agent Enro. A teraz jego mroczne oczy obserwowały Gosseyna.

- Jeszcze nie ubrany! - rzekł ostro.

Podejrzliwym spojrzeniem omiótł pokój. W tym nastroju ukazał się nagle oczom Gosseyna w całkiem innym świetle. Przybył z gwiazd do obcego układu. Tu, na Ziemi, otoczony przez nieznanych sobie ludzi, musiał działać pod dyktando odległej władzy i usiłował wykonywać jej instrukcje. To musiał być ogromny stres. Ani przez chwilę nie mógł być pewien lojalności ludzi, z którymi przyszło mu współpracować.

Teraz wciągnął nosem powietrze.

- Używasz ciekawych perfum-zauważył.

- Nie zauważyłem - odparł Gosseyn. Teraz, gdy zwrócono mu na to uwagę, on także wyczuwał lekki zapach. Ciekaw był, czy to perfumy Patricii. Będzie musiała bardziej pilnować takich drobiazgów. Spokojnie zmierzył Thorsona wzrokiem. ,

- Czego chcesz?

Thorson nie miał zamiaru wchodzić do pokoju, ale nie zamknął drzwi. Przyglądał się Gosseynowi w zamyśleniu.

- Chciałem na ciebie popatrzeć - rzekł. - Tylko popatrzeć. -Wzruszył ramionami. - Cóż, to chyba wszystko.

Odwrócił się i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim. Gosseyn mrugnął oczami. Sprężył się już do słownej potyczki i teraz czuł się zawiedziony. Ubierając się dalej, zastanawiał się nad zachowaniem mężczyzny. Zapomniał jednak o tym, kiedy na zegarze w sypialni zauważył, że nadszedł niemal czas powrotu Cranga. W chwilę później usłyszał, że drzwi otwarły się znowu.

- Zaraz idę - zawołał.

Nie usłyszał ani odpowiedzi, ani żadnego innego dźwięku. W drzwiach zamajaczył jakiś cień. Gosseyn poderwał głowę. Do sypialni

wszedł John Prescott.

- Mam tylko minutę-oznajmił.

Pomimo zaskoczenia, Gosseyn westchnął. Niezmienny pośpiech jego gości stawał się męczący. Nie powiedział jednak nic, po prostu wstał i spojrzał pytająco na przybysza.

- Zaciekawiłem pana-powiedział Prescott

Gosseyn skinął głową. Miał niemal zupełną pustkę w głowie. W milczeniu wysłuchał pospiesznych wyjaśnień. Było tu wszystko, czego się spodziewał: agent galaktyczny; tajny zwolennik nie-A.

- Naturalnie - ciągnął Prescott - nie powiedziałbym panu tego, gdybym nie musiał. Rozpoznałem pana ze zdjęcia, kiedy zaatakował mnie pan tamtego popołudnia. Szczerze mówiąc, doniosłem o pana obecności na Wenus, biorąc za pewnik, że i tak pan umknie. Zaskoczył mnie pan, pojawiając się w drzewnym domu Cranga.

Urwał, aby zaczerpnąć tchu. Gosseyn poczuł rozczarowanie. Jego jedyny atut wobec grupy, to, co wiedział o Prescotcie, przepadł Teraz, z perspektywy, wydało mu się śmieszne, że kiedykolwiek na mego liczył. A jednak tak było. Pozostało tylko jedno pytanie: jaki był cel tej nocnej spowiedzi?

- Chodzi o Amelię- niespokojnie mówił Prescott.- Nie jest niczemu winna. Poddałem się tej farsie, udawałem, że byłem więźniem wraz z nią, wierząc, że przetrzymają ją jedynie do czasu ataku na Wenus. Ale kilka minut temu Crang powiedział mi, że, Iks" i Thorson mają w stosunku do niej i do pana jakieś plany.

Zamilkł. Palcami, które leciutko drżały, wyjął z kieszeni małe metalowe pudełko, otworzył je i przeszedł kilka kroków, aby podać je Gosseynowi. Gosseyn ciekawie zajrzał do środka i zobaczył dwanaście białych pigułek.

- Proszę wziąć jedną-polecił Prescott. Gosseyn podejrzewał, co się teraz stanie, ale posłusznie sięgnął do pudełka i wziął pigułkę.

- Proszę ją połknąć.

Potrząsnął głową. Był już znużony.

- Nie zażywam nieznanych lekarstw.

- Przysięgam, że to dla pańskiego bezpieczeństwa. To antidotum.

- Nie połknąłem żadnej trucizny - odparł Gosseyn cierpliwie. Prescott z trzaskiem zamknął pudełko. Wsunął je do kieszeni, cofnął się i jednocześnie drugą ręką wyjął blaster.

- Gosseyn - oznajmił spokojnie. - Jestem zdesperowany. Połkniesz tę pigułkę, albo cię spalę.

Zagrożenie wydawało się jednak mało realne. Gosseyn spojrzał na pigułkę, potem na Prescotta.

- Zauważyłem w sąsiednim pokoju wykrywacz kłamstw - powiedział. - To bardzo szybko załatwi sprawę.

- Ta pigułka jest antidotum, zabezpieczeniem dla Gosseyna na wypadek, gdybym podjął pewne kroki. Czy możesz to sprawdzić? -polecił Prescott maszynie.

- To prawda.-Odpowiedź aparatu była natychmiastowa. Gosseyn połknął pigułkę, stał przez chwilę, czekając na skutki. Kiedy jednak nic się nie stało, rzekł:

- Mam nadzieję, że z pana żoną wszystko się ułoży.

- Dziękuję-odparł krótko Prescott. Szybko wyszedł przez drzwi prowadzące na główny korytarz.

Gosseyn skończył ubierać się i usiadł, czekając na Cranga. Czuł się bardziej zdenerwowany niż chciałby przyznać. Ludzie, którzy do niego przychodzili, byli bardzo przejęci własnymi sprawami, ale mieli jedną, wspólną cechę: wyraźnie przeczuwali nadchodzący kryzys.

Wenus zostanie zaatakowana, nie było tylko jasne, przez kogo. Jakaś wielka galaktyczna siła militarna? Bardzo łatwo było to sobie wyobrazić - tak właśnie to się stanie. W taki właśnie sposób pokonane zostają rasy przywiązane do jednego słońca i jednej planety. Tajemniczy agenci, nic nie znaczące działania, infiltracja, aż wreszcie atak znikąd, nie do odparcia. Mgliste aluzje do tajemniczej ligi galaktycznych władców, sprzeciwiających się atakowi, wydawały się bez znaczenia w porównaniu z obecnością Thorsona i podjętymi już działaniami. Morderstwo. Zdrada. Przejęcie władzy na Ziemi.

- I ja mam to wszystko powstrzymać?- głośno odezwał się Gosseyn.

Roześmiał się. Czuł się ośmieszony. Na szczęście jego własne problemy stopniowo same się rozwiązywały. Osobiście jednym z najniebezpieczniejszych okresów był dla niego ten, kiedy częściowo akceptował propagandę, jaka ożyła wraz z nim samym w ciele drugiego Gosseyna. Przynajmniej z tym jego wrodzona logika powoli się rozprawiała. Jego umysł powoli dochodził do równowagi.

Pukanie do drzwi wyrwało go z nieprzyjemnej zadumy. Z ulgą stwierdził, że to tylko Crang.

- Grotów? - zapytał. Gosseyn potwierdził.

- Więc proszę za mną. ,

Zeszli po długich schodach. Wąski korytarz doprowadził ich do zamkniętych drzwi. Crang przekręcił klucz i otworzył je. Przez szparę Gosseyn dostrzegł marmurową posadzkę i jakieś maszyny.

- Musisz wejść tam sam i obejrzeć ciało.

- Ciało?- zainteresował się Gosseyn. Dopiero po chwili zrozumiał. Ciało!

Zapomniał o Crangu. Wszedł. Teraz, kiedy mógł rozejrzeć się po pokoju, dostrzegł jeszcze więcej maszyn, jakieś stoły, szafki ścienne pełne butelek i zlewek, a w jednym kącie podłużny kształt leżący na stole, okryty białym prześcieradłem. Gosseyn patrzył na niego i czuł, że zaczynają go opuszczać resztki spokoju. Przez wiele dni słyszał, jak mówią o tym jego drugim ciele. Nawet, jeśli wyobraźnia podsuwała mu obrazy, które go poruszyły, teraz czuł różnicę.

Istniała różnica pomiędzy myślą a wydarzeniem, miedzy słowami a rzeczywistością, śmiercią a życiem. Różnica ta była tak potężna, że wszystkie jego organy doznały głębokiej przemiany metabolicznej, a nerwy, które nie zdołały przyswoić nowych reakcji, zaczęły przyjmować bodźce w zawrotnym tempie.

Jednak świadomość własnego ciała powróciła prawie natychmiast. Poczuł nacisk podłogi na własne stopy, powietrze w pomieszczeniu - zimne i suche jak popiół - przenikające do jego płuc i ust Oczy zaszły mu mgłą. Powróciło poczucie własnego człowieczeństwa, choć nie czuł się normalnie. Pozwolił, by jego myśl podążyła do tego nieruchomego, martwego kształtu.

Nie uświadamiał sobie, że wykonał jakikolwiek ruch, a jednak podszedł do ciała, końcami palców podniósł płachtę i ściągnął ją na podłogę.

XIV

Spodziewał się ujrzeć zwęglonego trupa. Zwłoki, rozpostarte sztywno na marmurowym blacie, miejscami były rzeczywiście strasznie okaleczone, ale dotyczyło to tylko tułowia, a nie twarzy. Ludziom, którzy do niego strzelali, musiano rozkazać, by nie uszkodzili mu mózgu. Kule z pistoletu maszynowego niemal przepołowiły ciało. Pierś i brzuch stanowiły masę zmiażdżonego mięsa i kości, a każdy strzęp skóry, każdy centymetr kwadratowy ciała powyżej kolan został potwornie spalony. Twarz jednak była nietknięta.

W ciągu tych kilku chwil przed śmiercią musiała wyrażać spokojne opanowanie, nieskażone lękiem i cierpieniem nie do zniesienia. Na policzkach zachował się nawet cień rumieńca, a gdyby nie zwęglone ciało, mógłby pomyśleć, że to on sam śpi tutaj, tak żywe wydało mu się to oblicze. Bez wątpienia podjęto wszelkie kroki, aby ustrzec mózg przed rozkładem. Po chwili spostrzegł, że górna część czaszki właściwie nie stanowiła już całości z resztą. Była tam, ale została równo odcięta i tylko przyłożona na dawne miejsce. Gosseyn nie miał ochoty sprawdzać, czy mózg wciąż jest w środku.

Cichy dźwięk za jego plecami kazał mu się wyprostować. Nie odwrócił się natychmiast, ale jego umysł oderwał się od zwłok, aby dokładniej rozpoznać otoczenie. Identyfikacja usłyszanego dźwięku zajęła mu kilkanaście sekund. Gumowe koła na marmurze. ‚Iks". Rozejrzał się z zimną determinacją człowieka, który jest już gotów na wszystko.

Obrzucił twardym spojrzeniem na pół plastikowego potwora, a potem przeniósł uwagę na ludzi, którzy towarzyszyli „Iksowi". Obojętnie popatrzył wprost w oczy przystojnego Hardiego. Przesunął wzrok, aby pochwycić cyniczny uśmiech wielkoluda Thorsona, aż wreszcie dotarł do Patricii, która przyglądała mu się jasnymi oczami chłodno i z zainteresowaniem, częściowo ukryta za plecami mężczyzn.

- No cóż - to był beznamiętny, basowy głos „Iksa". - Gosseyn, sądzę, że nie ma pan pojęcia, jak powstrzymać nas przed sprawieniem, aby dołączył pan do swego poprzedniego ciała na tym stole.

Nie było to zbyt błyskotliwe stwierdzenie, ale zawierało ważne ostrzeżenie dla człowieka, który nie wierzy, że cała kwintesencja jego osobowości odżyje w trzecim ciele, o ile drugie ulegnie zniszczeniu. „Iks" machał plastikowym ramieniem, co sugerowało zniecierpliwienie. Potwierdziły to jego następne słowa:

- Dość już tych głupstw. Przyprowadzić tę Prescott, a jego przy-trzymać.

Czterej mężczyźni unieruchomili Gosseyna, podczas gdy trzech ogromnych strażników przyprowadziło kobietę. Wyglądała tak, jakby stoczyła bitwę. Miała potargane włosy i zaczerwienioną twarz. Oddychała ciężko. Ręce związano jej za plecami, a w usta zapewne włożono przezroczysty plastikowy knebel, bo kiedy zobaczyła Gosseyna, jej wargi zaczęły drgać w bezowocnym wysiłku. Wreszcie poddała się ze wzruszeniem ramion. Uśmiechnęła się smutno, ale nadal zachowała dumną postawę. „Iks" zwrócił się do Gosseyna, spoglądając na niego spod kopuły, która okrywała jego głowę.

- Gosseyn, postawiłeś nas przed dylematem. Jesteśmy gotowi do działań na skałę nie widzianą od czasów trzeciej wojny światowej. Przydzielono nam dziewięć tysięcy statków, czterdzieści milionów ludzi, gigantyczne fabryki amunicji, ale to tylko ułamek mocy największego imperium, jakie kiedykolwiek istniało. Gosseyn, my nie możemy przegrać. Jednak - mówił - mimo wszystko próbujemy się zabezpieczyć. Chcielibyśmy zaprosić ciebie, nieznany czynnik, abyś dołączył do nas jako jeden z najwyższych przywódców Układu Słonecznego - wzruszył ramionami. - Ale sam rozumiesz, że trudno nawet rozpocząć rozmowę na temat takich stosunków, jeśli nie zechcesz pogodzić się z rzeczywistością, jaką niesie ze sobą taka pozycja. Musimy zabijać, Gosseyn. Musimy być bezlitośni. Nic nie przekonuje ludzi tak, jak zabijanie.

Gosseyn pomyślał przez chwilę, że „Iks" chce zabić Amelię Prescott. Poczuł, jak nogi uginają się pod nim. I nagle dotarło do niego, że nie o to chodzi.

- Zabijać? - zapytał tępo. - Kogo zabijać?

- Około dwudziestu milionów Wenusjan - odparł „Iks". Kiedy tak

siedział w fotelu na kółkach, wyglądał jak koszmarny plastikowy chrząszcz. - Jak pewnie wiesz - ciągnął - o różnicy miedzy pozbawieniem życia dwudziestu ludzkich układów nerwowych, a dwudziestu milionów, stanowi jedynie efekt, jaki to wydarzenie wywrze na pozostałych. Dobra propaganda powinna dać sobie z tym radę.

Gosseyn poczuł się tak, jakby stał na dnie studni i zapadał się coraz niżej i niżej. Z głębi tej studni słyszał swój własny, głuchy głos:

- A co z pozostałymi dwustu dwudziestoma milionami mieszkańców Wenus?

- Terror-odrzekł „Iks" tym swoim basem o brzmieniu nuty g.- Bezlitosny terror wobec wszelkiego oporu. Historia uczy, że nigdy nie było trudności z kontrolowaniem mas, którym odebrano przywódców. To tak, jakby pozbawiono je głowy. A głowa Wenus składa się z bardzo licznych elementów, stąd konieczność tak wielu egzekucji - niecierpliwym gestem machnął plastikowym ramieniem. - Eto rzeczy, Gosseyn - napomniał ostro. - Decyduj się. Pozwolimy ci dokonać tylu reorganizacji, ile chcesz, ale musimy przygotować do nich grunt. No i co, dobijemy targu?

Pytanie zaskoczyło Gosseyna. Nie zdał sobie sprawy z tego, że przedstawiony argument powinien go przekonać. Był to przypadek stosowania różnych poziomów abstrakcji w najlepszym sensie nie-A. Ci ludzie już dawno przyzwyczaili się do pomysłu masowych egzekucji. On - nie. I tej przepaści nie można było zasypać, ponieważ każda ze stron uważała punkt widzenia drugiej strony za nielogiczny. Poczuł, jak decyzja, że musi się temu sprzeciwić, powoli ogarnia jego układ nerwowy, całe ciało, aż przeistoczyła się w ostateczną, kompletną, absolutną pewność.

Przemówił spokojnym, ale dźwięcznym głosem;

- Nie, panie „Iks". Nie będzie targu. I obyście wszyscy smażyli się we wczesnochrześcijańskim piekle za samą myśl o takiej masakrze.

- Thorson - rozkazał „Iks" beznamiętnie. - Zabij ją!

- Co? - zdumiał się Gosseyn i ruszył do przodu.

Ciągnął swoich czterech strażników przez kilka metrów, zanim go wreszcie zatrzymali. Kiedy znowu przejrzał na oczy, Amelia Prescott wciąż się uśmiechała. Nie walczyła, gdy Thorson wbił w jej ramię, tuż nad

łokciem, igłę strzykawki. Padła jak kłoda. Olbrzym pochwycił ją bez trudu.

- Widzisz, Gosseyn - odezwał się Iks". - Mamy jedną przewagę nad nie-arystotelesowcami. Nimi miotają skrupuły. My tylko chcemy zwyciężyć. Ten mały incydent miał jedynie...

Urwał. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie zaskoczenia. Kiedy padł bezwładnie na podłogę, twardy plastik nogi, ramienia i boku wydał głuchy dźwięk w zetknięciu z marmurem. Za jego plecami Hardie, z wyrazem zaskoczenia na klasycznej twarzy, osunął się najpierw na kolana, a potem na bok. Strażnicy także padali, bezradnie szarpiąc za broń, by już po chwili pogrążyć się w nieświadomości.

Thorson opuścił ciało Amelii Prescott na podłogę i sam upadł obok. Obok nich z łoskotem wylądowała na podłodze Patricia Hardie. Wszyscy wrogowie Gosseyna leżeli wokół niego i wyglądali na martwych.

Było to zupełnie niezrozumiałe.

XV

Uczucie paraliżu nagle opuściło Gosseyna. Rzucił się do najbliższego strażnika i wyrwał mu broń. Wstał i, ściskając pistolet w ręku, czyhał na najmniejszy ruch pośród leżących. Nie doczekał się. Wszyscy leżeli nieruchomo.

Zaczął pospiesznie rozbrajać strażników. Niezależnie od tego, komu zawdzięczał tę szansę, nie miał ani chwili do stracenia. Kiedy skończył, wyprostował się i jeszcze raz objął wzrokiem dziwną scenę. Strażników było dziewięciu. Leżeli tam, gdzie upadli, ich ciała tworzyły niezwykły wzór, jak kręgle, które przewrócono jednym uderzeniem. Gosseyn podświadomie zauważył, że pośród obecnych nie było Eldreda Cranga. Szybko omiótł wzrokiem pozostałe ciała, dwóch kobiet i trzech mężczyzn. Prawie obojętnie pomyślał: Nie korzystam z tego tak, jak powinienem. Muszę stąd uciekać. Ktoś może nadejść.

Nie poruszył się jednak. W jego umyśle pojawiła się inna, natrętna myśl: czy oni naprawdę nie żyją? Rzucił się na kolana obok „Iksa" i położył rękę na plastikowej klatce, podtrzymującej środkową część jego ciała. Poczuł jej bezcielesną gładkość i nagłym szarpnięciem cofnął dłoń. Trudno było myśleć o tej hybrydzie w kategoriach istoty ludzkiej. Zmusił się, aby zbliżyć twarz do jego twarzy i posłuchać. Powolne, rytmicznie pulsujące ciepło owionęło jego ucho. Gosseyn wyprostował się. „Iks" żyje. Więc i pozostali także nie są martwi.

Właśnie miał wstać, kiedy usłyszał dźwięk, dochodzący od strony drzwi i znieruchomiał. Rozpłaszczył się na podłodze z wycelowanym pistoletem. Leżał ze zmrużonymi oczami, przeklinając się za zwłokę. Mógł być już daleko stąd.

Drzwi otwarły się i do pokoju wszedł John Prescott. / Gosseyn wstał, drżąc od spóźnionego szoku. Prescott uśmiechnął się nerwowo.

- I co, nie cieszysz się, że wziąłeś to antidotum? - zapytał. -Wsypałem proszek drae do klimatyzatora i jesteś jedynym, który... -urwał nagle. - Co się stało? Spóźniłem się?

Szybko zbadał żonę. Spojrzenie Gosseyna przypadkiem spoczęło na

nieruchomym ciele Amelii Prescott leżącym obok olbrzyma Thorsona. Wspomnienia powróciły falą.

- Słuchaj, Prescott - odezwał się ponuro. - Zanim wszyscy pozostali ulegli działaniu proszku, wstrzyknęli coś twojej żonie. To miało ją zabić. Lepiej sprawdź.

Teraz, kiedy przyczyna dziwnej utraty przytomności została wyjaśniona, był już czas na analizę sytuacji. Jeśli środek usypiający wpuszczono do klimatyzacji, taki sam obraz nieruchomych ciał będzie się powtarzał w każdym pomieszczeniu. W tej chwili jedyne niebezpieczeństwo mogli stanowić przybysze z zewnątrz. Gosseyn przyglądał się, jak Wenusjanin przez chwilę nasłuchiwał bicia serca żony, po czym wyjął z kieszeni jakąś buteleczkę. W jej koreczku tkwiła mała strzykawka. Prescott wbił igłę w udo kobiety i spojrzał na Gosseyna.

- To fluorescyna - wyjaśnił. - Jeśli żyje, za jakąś minutę jej usta pozielenieją.

Po dwóch minutach usta Amelii pozostały blade i martwe. Mężczyzna wstał i z zainteresowaniem rozejrzał się wokoło. Co najdziwniejsze, Gosseyn ani przez chwilę nie przeczuwał tego, co miało nastąpić. Przyglądał się, jak Wenusjanin sztywno podchodzi do sterty broni i wybiera dwa pistolety. Troska i uwaga, z jaką je oglądał, przyćmiły wszelkie inne wrażenia.

Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, aby temu zapobiec. Prescott podszedł do „Iksa" i wpakował mu kulę w prawe oko. Krew rozbryznęła się po twarzy leżącego jak mały, ale gwałtowny pożar, Prescott obrócił się na pięcie. Przycisnął lufę do czoła Hardiego i wypalił znowu. Potem, nisko pochylony, podbiegł do strażników, strzelając jednocześnie z obu pistoletów. Przystanął dopiero, kiedy znalazł się obok Thorsona. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Tu dopadł go oszołomiony Gosseyn. Wyrwał mu pistolety z rąk.

- Ty cholerny szaleńcze - wrzasnął. - Wiesz, co zrobiłeś?

Godzinę później porzucili skradziony samochód w centrum spowitego mgłą miasta. Noc otaczała ich jak całun szaroczarnego dymu. Z sieci ulicznych głośników rozległ się ryk:

- Uwaga! Ogłaszamy ważny komunikat z pałacu prezydenckiego.

Za chwilę włączył się drugi głos, poważniejszy:

- Z przykrością obwieszczam, że prezydent Michael Hardie został dziś wieczorem zamordowany przez człowieka znanego jako Gilbert Gosseyn, agenta Maszyny Igrzysk. Dopiero teraz ujawnia się cały ogrom spisku przeciwko mieszkańcom Ziemi. Gosseyn, któremu w ucieczce pomogli tak zwani wenusjańscy detektywi, jest dziś obiektem największego polowania na człowieka w nowoczesnej historii. Nakazuje się, aby wszyscy miłujący prawo obywatele pozostali w domach. Ci, którzy znajdą się na ulicy, będą mogli mieć pretensje tylko do siebie, jeśli zostaną potraktowani brutalnie. Pozostańcie w domach.

Słysząc wzmiankę o Maszynie, Gosseyn nagle zrozumiał wszystkie następstwa, jakie pociągnęły za sobą pochopne morderstwa. Nazwali go agentem, próbowali wmieszać w sprawę wenusjańskich detektywów -były to pierwsze jawne ataki na nie-A, jakie zdarzyło mu się usłyszeć. Było to ni mniej) ni więcej, tylko wypowiedzenie wojny.

Stali nieruchomo, ukryci we mgle. Była tak gęsta, że Gosseyn widział jedynie cień odległego o pół metra Prescotta. Radar mógł oczywiście przeniknąć mgłę tak, jakby jej nigdy nie było, ale do tego niezbędne były zarówno przyrządy, jak i pojazdy, które mogłyby go tu przywieźć. Reflektor radarowy także odnalazłby ich natychmiast, ale najpierw musieliby go naprowadzić. W takiej mgle, w taką noc, zgubę mógłby mu przynieść wyłącznie pech, ale przy odrobinie szczęścia nic mu nie groziło. Po raz pierwszy, odkąd porwał go prąd wydarzeń, był wolny i mógł robić to, co chce. Był wolny, ale oczywiście tylko do pewnych granic. Obejrzał się na Prescotta, który wciąż stanowił nieznany czynnik. Wyrzuty i oskarżenia z powodu tego, co się stało, nic by nie dały. Nie wiedział jednak, co zrobić z tym człowiekiem w mrocznej, miazmatycznej ciemności. Prescott pomógł mu uciec. Miał wiele informacji, które mogły okazać się cenne. Ale nie teraz, nie dziś. Teraz miał inne, pilniejsze cele. Jednak na dłuższą metę Prescott mógł się okazać bardzo przydamy.

Jeśli się uda, powinien zachować towarzystwo tego świeżo na- wróconego wyznawcy nie-A. Gosseyn szybko wyjaśnił, co powinni teraz

zrobić.

- Najpierw pójdę do psychiatry... Nie może to być żaden z tych, z którymi kontaktowałem się wcześniej... Muszę się dowiedzieć, co w moim mózgu tak bardzo wszystkich przeraziło. To najważniejsze.

- Ale on będzie pod ochroną grupy samoobrony - przypomniał mu Prescott.

Gosseyn w ciemności uśmiechnął się pobłażliwie. Fizycznie i psychicznie, czuł się dobrze, miał świadomość, że góruje nad swym otoczeniem.

- Posłuchaj - odrzekł. - Jestem w tym kotle już od jakiegoś czasu. Najpierw słuchałem ślepo rozkazów innych, jak ogłupiałe dziecko. Opowiedziałem ci na przykład, jak pozwoliłem Maszynie, by mnie przekonała, że powinienem znów dać się złapać.

- Tak, opowiadałeś mi o tym.

- Od jakiegoś czasu próbuję dowiedzieć się, skąd pochodzi ta łatwość, z jaką poddaję się radom innych - ciągnął Gosseyn. - Doszedłem do wniosku, że gdzieś, na dnie mojego umysłu, znajduje się pragnienie, aby uciec od tego wszystkiego i pozwolić, by kto inny przejął cały ciężar, a przynajmniej jego część. Tak bardzo nie chciałem się przyznać, że tkwię w tej sprawie po uszy, że czym prędzej pozwoliłem się zabić. Szczerze mówiąc - dodał - bardzo liczę, że proszek drąc zdezorganizuje wszelkie grupowe systemy ochrony, które mogły powstać do tej pory. Najpierw jednak chcę kupić mapę miasta i znaleźć adres domowy doktora Laurena Kaira. Jeśli będzie nieosiągalny, zgodzę się na każdego innego, z wyjątkiem doktora Davida Lestera Enrighta, z którym już się kiedyś umawiałem.

- Wrócę za dziesięć minut - mruknął Prescott.

- O, nie, nie wrócisz - odrzekł Gosseyn bez cienia urazy. Jednak miej na względzie, że obaj ugrzęźliśmy w tym - wyjaśnił łagodnie - i jeden pilnuje drugiego. Wejdę do sklepu i poszukam Adresu doktora Kaira, a ty przez ten czas kupisz mapę.

Dom doktora Kaira lśnił białawą plamą w świetle narożnej latarni i dwóch mdłych lamp, rzucających bladą poświatę i wskazujących prawdopodobnie, że rodzina jest w domu. Jak widma przemknęli ponad

ogrodzeniem. Zatrzymali się w cieniu zaroili i Prescott szepnął:

- Jesteś pewien, że doktor Kair jest człowiekiem, o którego ci chodzi?

- Tak - odparł Gosseyn. Miał zamiar na *tym* zakończyć temat, ale uznał, że autor *Egotystów na nie-Arystotelesowskiej Wenus* zasługuje na coś więcej. - Napisał kilka książek.

Był to bardzo arystotelesowski sposób przedstawienia sprawy, ale teraz myślał o czym innym. Dom doktora Kaira, a także on sam, przedstawiali sobą problem jedyny w swoim rodzaju. Rezydencja była tak chroniona przed intruzami przez system grupowy, że nawet najzręczniejsze bandy, działające w okresie bezpolicyjnym, nie odważyły się go zaatakować. Musieli więc wejść w sposób dość jawny i niezbyt natrętny, i mieć ustaloną drogę ucieczki, gdyby zadziałał system zabezpieczeń.

- Czy ten proszek drae działa na mózg? -zapytał.

- Natychmiast. Działa na nerwy w górnej części nosa i tedy przechodzi bezpośrednio do mózgu. *Zazwyczaj* wystarczy jeden wdech.

Gosseyn skinął głową i znów skupił uwagę na domu. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, wkrótce wielki semantyk, specjalista od ludzkiego mózgu, będzie badał, oglądał i diagnozował jego mózg. Jego własny mózg, który wciągnął „Iksa" i Hardiego w wir wydarzeń, by wreszcie sprowadzić na nich śmierć. Nie było na świecie ważniejszej rzeczy niż odpowiedzi na pytania dotyczące jego mózgu.

Gosseyn szeptem wyjaśnił swój plan. Prescott podejdzie do drzwi i przedstawi się jako Wenusjanin. Oczywiście zanim doktor Kair go wpuści, uruchomi alarm grupowy, zawiadamiając sąsiadów. To jednak nie było najważniejsze. Proszek drae zaradzi nieprzewidzianym okolicznościom.

- Ile proszku trzeba użyć? - zapytał Gosseyn.

- Szczyptę, jedną kapsułkę. Do systemu klimatyzacyjnego w pałacu wpuściłem osiem kapsułek, około łyżeczki. To silny środek, ale antidotum, które zażyliśmy, będzie chronić nas jeszcze przez jakiś czas. Lepiej już zadzwonię - dodał.

Mgła weszła wraz z nimi przez drzwi, które, zgodnie z umową, pozostawili uchylone. Dzięki temu czuli bliskość nocy, a co za tym idzie, bezpieczeństwa. Dla Gosseyna, który wolał podejmować teraz wszelkie

środki ostrożności, te uchylone drzwi stanowiły o jego spokoju lub niepokoju.

Doktor Kair był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną około pięćdziesiątki, o gładkiej twarzy i mocno obwisłych policzkach. Kiedy Gosseyn wszedł, doktor spojrzał na niego parą najbardziej przenikliwych szarych oczu, jakie zdarzyło mu się widzieć. Gosseyn zniósł to spokojnie. Wiedział, że nie należy przyspieszać tego pierwszego etapu budowania zaufania. Zmarnowane teraz minuty zaowocują później zaoszczędzeniem całych godzin.

Psychiatra nie tracił czasu. Skoro tylko Gosseyn wyjaśnił, o co mu chodzi, natychmiast wyszedł do gabinetu i zaraz wrócił, niosąc niewielki wykrywacz kłamstw.

- Panie Gosseyn - rzekł. - Ani Wenusjanie, ani żaden szanujący się nie-A nie uwierzy nawet przez chwilę w zdumiewające komunikaty prasowe i radiowe o śmierci prezydenta Hardiego, wydane dziś wieczorem przez biuro informacyjne rządu. W życiu nie słyszałem, ani nie widziałem niczego równie dokładnie obliczonego na wzburzenie emocji ignorantów i całej masy niedouczonych głupków. Nie pamiętam takiej próby odwołania się do psychiki tłumów od czasów ciemnoty i prymitywizmu. Ostatecznym dowodem ich złośliwości jest oskarżenie rzucone na Wenusjan i Maszynę. Na pewno istnieje jakiś motyw, ukryty za tymi komunikatami, i choćby tylko dlatego ma pan prawo do publicznego przesłuchania przed zgromadzeniem sprawiedliwych. Panie Gosseyn - przerwał i zapytał: - czy jest pan przygotowany, aby odpowiadać przed wykrywaczem?

- Oczywiście, sir - odparł Gosseyn. - Jestem gotów na wszystko, byleby nie stracić przytomności. Jestem pewien, że rozumie pan, dlaczego.

Doktor rozumiał. We wszystkich testach, jakie teraz nastąpiły, Gosseyn miał zawsze wolne zarówno ręce, jak i umysł. We wszystkich testach! Było ich tuziny, setki. Laboratorium doktora, zlokalizowane obok korytarza, znajdowało się w położeniu idealnym do badań wymagających maszyn. Z dwoma wyjątkami, wszystkie przyrządy można było przesunąć do fotela, z którego Gosseyn przez uchylone drzwi widział również nie domknięte drzwi wejściowe.

Niektóre maszyny gapiły się na niego elektronicznymi oczami, które grzały mu skórę i oślepiały wzrok. Inne były błyszczące jak rozgrzany metal, ale zimne i nieczułe. Jeszcze inne nie miały zewnętrznych świateł, ale brzęczały i szumiały, pulsując mocą, badając Gosseyna nieludzkimi zmysłami. Badanie za badaniem, Gosseyn opowiadał swoją historię.

Przerwano mu tylko trzy razy. Dwukrotnie, kiedy musiał pozostać w bezruchu, podczas gdy ultraczułe promienie badały komórki jego dodatkowego mózgu, trzeci raz, gdy doktor Kair wykrzyknął:

- Więc to nie pan zabił tych wszystkich ludzi?! Prescott usłyszał pytanie i podniósł głowę.

- Nie. To ja. - Zaśmiał się ponuro. - Jak pan pewnie wywnioskował z tego, co powiedział Gosseyn, to ja musiałem wybrać pomiędzy nie-A a moim stanowiskiem. Jeśli postawią mnie przed sądem, będę się powoływał na czasową niezdolność do kontrolowania swoich czynów.

Doktor Kair spojrzał na niego poważnie.

- Dotąd jeszcze nigdy żadnemu nie-A nie udało się powołać na czasową niezdolność do kontrolowania swoich czynów - powiedział. - Musi pan wymyślić lepszą historyjkę.

Historyjkę! pomyślał Gosseyn i zwrócił wzrok na Prescotta... po raz pierwszy patrząc na niego naprawdę.

Oczy mężczyzny zwęziły się leciutko, prawie niedostrzegalnie. Jego ręka niedbałym ruchem przesunęła się w stronę prawej kieszeni płaszcza. Musiał to być nieświadomy gest Prescott nie mógł naprawdę spodziewać się, że mu się uda. Gosseyn pokonał go bez trudu.

W chwilę potem, kiedy go rozbroili, Gosseyn oznajmił spokojnie:

- Sądzę, ze dom jest otoczony.

XVI

Układ nerwowy człowieka jest skomplikowany
w sposób wprost niewyobrażalny. Szacuje się, że w mózgu
ludzkim znajduje się około dwunastu miliardów komórek
nerwowych, czy też neuronów, a ponad połowa
z nich znajduje się w korze mózgowej. Dla ułatwienia
weźmy tylko milion komórek nerwowych kory połączonych
jedynie w grupy po dwie. Liczba wszystkich możliwych
połączeń międzyneuronowych przedstawiałoby się
jako dziesięć do potęgi dwa miliony, siedemset osiemdziesiąt trzy tysiące.
Dla porównania prawdopodobnie wszystkie gwiazdy wszechświata
nie zawierają więcej atomów niż dziesięć do sześćdziesiątej szóstej potęgi.
Alfred Korzybski

Blask, który padał przez częściowo uchylone drzwi zewnętrzne, był dla nich tymczasową tarczą. Jak długo drzwi pozostaną w tej pozycji, strażnicy czuwający na zewnątrz będą widzieć jedynie zamglony klin światła i wszystko wyda im się normalne. Oczywiście, nawet ich cierpliwość i łatwowierność może się w końcu wyczerpać. Związali Prescottowi ręce i nogi i zakneblowali mu usta w takim pośpiechu, aż trochę go poturbowali. Potem omówili swoje położenie.

- Nie wyszedł na zewnątrz, ale jakoś musiał nawiązać kontakt - zauważył Gosseyn.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli sobie tym teraz zawracać głowę - odparł doktor Kair.

- Dlaczego?

Twarz lekarza była spokojna, wzrok poważny.

- Najważniejsze jest to, co odkryłem w związku z panem - powiedział, i kontynuował niecierpliwie: - Gosseyn, pan chyba nie rozumie, że jest w tym wszystkim najważniejszy. Po prostu nic innego nie liczy się aż tak, a my musimy wziąć na siebie całe związane z tym ryzyko.

Gosseyn potrzebował czasu, żeby to naprawdę zaakceptować, żeby zgromadzić siłę potrzebną do koncentracji, zamknąć niebezpieczeństwo zewnętrzne w oddzielnym zakamarku umysłu i pozostawić je tam.

Potrzebował czasu, aby stwierdzić, że może słuchać najważniejszych informacji dotyczących jego osobistego wszechświata, a jednocześnie wykonywać niezbędne działania.

- To, co pan ma w głowie - zaczął psychiatra - nie jest dodatkowym mózgiem w *tym* sensie, że ma pan dodatkowy potencjał inteligencji. To nie jest możliwe. Mózg ludzki, który stworzył Maszynę Igrzysk, nie ma sobie równego w całym wszechświecie nawet teoretycznie. Ludzie myślą czasem, że elektroniczny mózg Maszyny przewyższa umysł ludzki. Podziwiają to, że Maszyna może rozmawiać jednocześnie z dwudziestoma pięcioma tysiącami osób, ale w istocie jest to możliwe tylko dlatego, że połączono dwadzieścia pięć tysięcy mózgów elektronicznych w skomplikowany system przeznaczony specjalnie do tego celu. Poza tym są to tylko zupełnie rutynowe operacje.

Nie oznacza to, że Maszyna nie może myśleć w sposób twórczy. Zbudowano ją nad kopalnią najrozmaitszych rud metali, którą zawiaduje. Posiada laboratoria, gdzie roboty pracują pod jej kierunkiem. Potrafi produkować narzędzia i wykonuje własny serwis i naprawy. Dysponuje niewyczerpanym źródłem energii atomowej. Krótko mówiąc, Maszyna jest samowystarczalna i bardzo inteligentna, ale posiada ograniczenia. Ograniczenia te zostały wprowadzone od samego początku. Składają się na nie trzy szeroko rozumiane dyrektywy.

Winna ona prowadzić igrzyska w uczci wy sposób, w ramach praw ustanowionych dawno temu przez Instytut Semantyki Ogólnej. Musi chronić rozwój nie-A w najszerszym sensie tego słowa. Może zabijać istoty ludzkie tylko wówczas, jeśli zaatakują ją w sposób bezpośredni.

Gosseyn przeszukiwał Prescotta. Jego czujnym palcom nie umknął żaden szczegół odzieży więźnia. Kieszenie zawierały pistolet i dwa miotacze, zapasową amunicję, pudełko kapsułek z proszkiem drae, paczkę pigułek z antidotum i notes. Nie ograniczył się do kieszeni, lecz sprawdził również samą tkaninę, plastik z gatunku tych, które wkłada się kilka razy i wyrzuca.

Dopiero na bocznej powierzchni obcasa prawego buta znalazł to, czego szukał. Było to elektroniczne urządzenie naprowadzające, wykonane

z tego samego plastiku, co podeszwa, różniące się jedynie wzorkiem przewodów wydrukowanych z fotograficznie zmniejszonego szablonu. Na jego widok Gosseyn odetchnął z ulgą. Prawdopodobnie takie samo urządzenie pierwszego dnia pomogło Patricii Hardie rzucić się w jego ramiona, udając, że szuka pomocy. Wówczas nie miał czasu sprawdzić, jak go zlokalizowano. Dobrze, że teraz się tego dowiedział. Wyjaśnienia uspokajały umysł, odciążały układ nerwowy od setek drobnych stresów i uwalniały ciało z więzi negatywnych podniet, kierując je ku bardziej pożytecznym czynnościom. Nagle łatwiej mu było słuchać psychologa.

Doktor także łączył konwersację z pracą rąk. Pakował do skórzanej teczki wyniki badania Gosseyna. Powędrowały do niej zdjęcia i notatki. Otwierał maszyny i wyjmował szpule z nagraniami, ekrany, rolki filmu, wstęgi papieru i zapisy dokonane przez czujniki światła i dźwięku. Przy każdym przedmiocie dawał krótkie wyjaśnienie:

- To dowód, że nowy mózg nie jest materią korową... a to... to... i to... że nie są to komórki wzgórzowe... pamięciowe... kojarzeniowe. .. Tu mamy kilka głównych kanałów, poprzez które jest on podłączony do reszty mózgu... nie ma śladu, aby jakieś impulsy były przesyłane z lub do nowej szarej materii.

Wreszcie podniósł wzrok.

- Gosseyn, dowody wskazują, że to, co pan ma, nie przypomina mózgu, lecz raczej wielkie systemy sterujące pracą splotu słonecznego i kręgosłupa. Tyle tylko, że jest to najbardziej zwarty zespół układów sterujących, jaki zdarzyło mi się oglądać. Liczba komórek równa jest jednej trzeciej liczby komórek pańskiego własnego mózgu. Ma pan w głowie dość aparatury kontrolnej, aby kierować operacjami atomowymi i elektronowymi w mikrokosmosie, a w makrokosmosie nie ma nawet dość obiektów, aby zaangażować pełny potencjał mocy sterującej automatycznych przełączników i przekaźników, które nosi pan w mózgu.

Gosseyn nie chciał mu przerywać, ale nie mógł się powstrzymać.

- Czy istnieje jakakolwiek możliwość - zapytał - abym mógł zintegrować się z tym mózgiem w ciągu najbliższej godziny? W odpowiedzi lekarz tylko poważnie potrząsnął głową.

- Ani za godzinę, ani za dzień, ani za tydzień. Słyszał pan kiedyś o George'u, chłopcu, który wychował się wśród zwierząt?

George, dwuletnie dziecko, oddaliło się od farmy rodziców w dzikie tereny na wzgórzach, które leżały poza nią. Jakimś sposobem zawędrował do legowiska zdziczałej suki, która właśnie się oszczeniła. Większość małych zdechła, a nieszczęsna suka, pełna pokarmu i poskromiona przez jakieś resztki ludzkiej tresury, pozwoliła dziecku się najeść.

Później zdobywała dla niego pożywienie, ale dziecko miało chyba niezły apetyt, bo kiedy chłopak w wieku lat jedenastu został złapany, okazało się, że jego dieta obejmuje mrówki, robaki, chrząszcze, słowem, wszystko co żywe i się rusza. Było to ponure, wściekłe zwierzę, dzikie jak sfora psów, których był przywódcą. Jego wcześniejszą historię poskładano z obserwacji jego zwyczajów i zachowania. Porozumiewał się za pomocą pomruków, burknięć, skomlenia, a także całkiem przyzwoitego warczenia. Socjologowie i psychologowie zorientowali się, jakie możliwości stanowi dla nich ten chłopak, ale ponieśli sromotną klęskę, próbując nauczyć go czegokolwiek. Dopiero w pięć lat po schwytaniu potrafił ustawiać klocki z literami, by przeliterować swoje imię i nazwy kilku przedmiotów. Nadał wyglądał jak zwierzę. Oczy szybko zapalały mu się nienawiścią. Często i z wielką zręcznością opadał na czworaki, a jego wiedza o lesie pozostała zdumiewająca. Ślady pozostawione przez zwierzęta wiele godzin wcześniej wprowadzały go w stan takiego podniecenia, że skakał i piszczał. Trzymano go w wyściełanej celi. Prawie nie przypominał ludzkiej istoty.

Umarł w wieku dwudziestu trzech lat jako zwierzę, chłopiec-pies. Sekcja zwłok wykazała, że jego kora mózgowa nie rozwinęła się w pełni, ale miała wystarczające rozmiary, aby można było przypuszczać, że w innych warunkach mogłaby funkcjonować.

Gdyby wówczas wiedziano o ludzkim mózgu to, co wiemy teraz, przywrócono by George'owi człowieczeństwo - kończył doktor Kair. - Myślę jednak, że zgodzi się pan ze mną, iż pana przypadek jest bardzo podobny, zjedna różnicą- pan od początku jest istotą ludzką.

Gosseyn milczał. Problem jego dodatkowego mózgu został po raz pierwszy wyjaśniony w jedyny możliwy i racjonalny sposób -poprzez

analizę i porównanie. Do tej chwili miał o nim mgliste i wyidealizowane wyobrażenie, niepokojące o tyle, że nowy mózg nie wykazywał żadnej aktywności ani reakcji. Zawsze jednak we mgle wyobrażeń błyszczał promyk nadziei. Dała mu ona dość arogancji i siły, aby przetrwał najtrudniejsze chwile w ciągu swej krótkiej kariery zbawcy ludzkości. I gdzieś pod skórą, a może w całym układzie nerwowym, czuł dumę, że jest czymś więcej niż tylko człowiekiem. To, rzecz jasna, nie ulegnie zmianie. Rzeczą ludzką jest pysznić się atrybutami umysłu lub ciała, które otrzymało się przez przypadek. Reszta jednak, dalszy rozwój, jeśli nastąpi, będzie wymagał więcej czasu.

- Jeśli jest pan rzeczywiście mutantem - ciągnął psychiatra - człowiekiem, który nastąpi po takim człowieku, jaki żyje obecnie, i jeśli stanę przed wyborem, czy ocalić pana, czy pozwolić, aby armia galaktyczna napadła na spokojną cywilizację, może być pan pewien, że to pana wybiorę. A oni -uśmiechnął się ponuro -będą mieli okazję sprawdzić, czy nie-A naprawdę da się zniszczyć już przy pierwszych trudnościach.

- Ale Wenusjanie nie wiedzą. - Gosseyn odzyskał głos. - Nawet nie podejrzewają...

- I to bardzo wyraźnie wskazuje, jaki ma być nasz następny ruch - odrzekł doktor Kair. - Nasza przyszłość zależy od tego, czy uda nam się uciec z tego domu przed świtem, czy nie. A to z kolei -podniósł się ze zdumiewająco młodzieńczą zwinnością- prowadzi nas znowu do naszego przyjaciela na kozetce.

XVII

Nasze procesy nerwowe stanowią naśladownictwo
procesów zachodzących u zwierząt... U człowieka takie
nerwowe reakcje prowadzą do patologicznych stanów
ogólnego zdziecinnienia, infantylnego zachowania prywatnego
i publicznego, które często uniemożliwiają przeżycie.
A im bardziej rozwinięta technicznie jest rasa lub naród,
tym okrutniejsza, drapieżna, bezlitosna i wyrachowana
staje się jego organizacja społeczna... a wszystko dlatego, że
wciąż myślimy jak zwierzęta i nie nauczyliśmy się
myśleć spójnie jak przystało istotom ludzkim.
Alfred Korzybski

John Prescott, agent galaktyczny, leżał na kozetce, wodząc za nimi wzrokiem. W ostrym świetle jego jasne włosy wydawały się dziwnie białe. W zmarszczkach wokół jego ust czaił się cień szyderczego uśmiechu, widoczny mimo knebla.

- Wie pan co-rzekł Gosseyn z odrazą.-Tu się dzieje coś okropnego. Ten człowiek pozwolił, aby jego żona została zamordowana przez czysty przypadek, tylko po to, by przekonać mnie o swojej *bona fides.* Dałem się nabrać, ponieważ kiedyś był on wyznawcą filozofii nie-A. Uznałem także za pewnik, że zabił Hardiego i „Iksa" przez czysty przypadek. Teraz jednak przypominam sobie, że przed zabiciem Thorsona zatrzymał się i pozwolił mi się rozbroić. Innymi słowy, zabił dwóch Ziemian, którzy służyli jako parawan dla władz imperium galaktycznego. Dzięki temu na czele rządu ziemskiego pozostali wyłącznie ludzie z Galaktyki.

- Chwileczkę - mruknął. - Coś mi przyszło do głowy. Igrzyska. Czy tegoroczne igrzyska nie były przygotowane po to, aby wyłonić następcę prezydenta Hardiego? - otworzył oczy. - Kto prowadzi w grach?

Kair wzruszył ramionami.

- Jakiś Thorson - zatrzymał się nagle i zamrugał. - Nie skojarzyłem tego nazwiska, kiedy je pan wymienił. Za to teraz ma pan swoją odpowiedź.

Gosseyn milczał, bo zmroziła go pewna myśl. I niewiele miała

wspólnego z faktem, że Jim Thorson, osobisty przedstawiciel imperatora galaktycznego, będzie prezydentem Ziemi. Myślał o Maszynie, która przeżyła już swój okres użyteczności. Teraz, kiedy okazała się wrażliwa na manipulację, nigdy więcej nie będzie można jej zaufać.

Trudno wyobrazić sobie Ziemię bez Maszyny Igrzysk.

Za jego plecami doktor Kair odezwał się łagodnie:

- Teraz to już nieważne. Mamy swój własny kłopot Z tego, co widzę, jeden z nas musi udawać Prescotta i wyjść na dwór, aby ocenić sytuację.

Gosseyn głęboko, powoli zaczerpnął tchu i znów był sobą.

- A co z pańską żoną?- zapytał szybko.-Czy ona tu jest? Chciałem zapytać już wcześniej. A dzieci? Ma pan dzieci?

- Troje, ale nie tu. Dzieci urodzone na Wenus nie mogą odwiedzić Ziemi, dopóki nie skończą osiemnastu lat W tej chwili moja żona jest wraz z nimi w Nowym Chicago, na Wenus.

Uśmiechnęli się do siebie. Kair wyglądał na szczęśliwego i miał ku temu wszelkie powody. Obaj mężczyźni byli sam na sam ze swoim problemem. Jeden, lekarz, u progu wielkiego odkrycia w swej dziedzinie, a drugi - cóż, drugi jeszcze musi się sprawdzić.

Zdecydowali bez zbędnych kłótni, że to Kair wyjdzie aa dwór, aby skontaktować się z agentami gangu. Jego jasne włosy i budowa sprawiały, że z daleka mógł ujść za Prescotta. W ciemności powinno wystarczyć. Buty Prescotta, choć odrobinę za długie i o poi numeru za wąskie, jakoś pasowały na Kaira, Wydawało się rozsądne, by miał na sobie buty z układem naprowadzającym. Udawanie głosu Prescotta było stosunkowo proste. Jak wszyscy wyszkoleni mówcy i wszyscy Wenusjanie, psychiatra posiadał pełną kontrolę nad komorami rezonansowymi swego ciała i głowy. Mając świeżo w pamięci głos Prescotta, a obok siebie Gosseyna, który sprawdzał subtelności tonacji, udało mu się przygotować imitację w ciągu trzech minut, włącznie z łatwym do zidentyfikowania szeptem.

- A teraz - rzekł Gosseyn stalowym głosem - dowiemy się od tego pana, jak się umawiał ze swymi przyjaciółmi na zewnątrz.

Pochylił się i wyjął knebel. Wstręt, jaki odczuwał, musiał przebijać przez całe jego zachowanie, a może Prescott uświadomił sobie, co sam by

zrobił w podobnych okolicznościach, aby uzyskać niezbędne informacje. Dość, że przemówił bez dodatkowej zachęty:

- Nie mam nic przeciwko temu, aby wam powiedzieć, że przed domem na zewnątrz czeka tuzin ludzi. Mają polecenie, aby was śledzić, a nie aresztować. Mniej więcej o tej porze miałem wyjść i powiedzieć, że wszystko w porządku. Jedynym hasłem jest słowo „Wenus".

Gosseyn skinął psychiatrze głową.

- W porządku, doktorze - rzekł. - Proszę iść. Jeśli pan nie wróci za pięć minut, jakoś zapanuję nad moim mazgajowatym charakterem i wpakuję panu Prescottowi kulkę w łeb.

Lekarz roześmiał się niewesoło.

- Może nawet lepiej byłoby, żebym pozostał na zewnątrz przez sześć lub siedem minut.

Jego śmiech ucichł za drzwiami. Skrzydło przesunęło się lekko, kiedy przeciskał się przez szparę. A potem zniknął we mgle i ciemności.

Gosseyn spojrzał na zegarek.

- Jest teraz dziesięć po czwartej - powiedział i wyjął pistolet.

Cienka strużka potu zaczęła spływać po policzku Prescotta. To podsunęło Gosseynowi pewien pomysł. Jeszcze raz spojrzał na zegarek. Sekundnik, który był przedtem na dziesiątce, teraz minął czterdzieści pięć. Upłynęło trzydzieści pięć sekund.

- Jedna minuta- oznajmił Gosseyn.

Czas fizjologiczny stanowi strumień nieodwracalnych zmian w tkance i komórkach. Jednak subiektywny upływ czasu zależy od wrażliwości człowieka i od okoliczności. Zmienia się w warunkach stresu. Poczucie upływu czasu jest tak nieodłącznie związane z człowiekiem i jego chwilowymi emocjami, jak życie z układem nerwowym. Sekundnik kierował się powoli w stronę dziesiątki, kończąc pierwszy obieg. Od wyjścia doktora upłynęła w rzeczywistości jedna minuta.

- Dwie minuty - rzekł Gosseyn bezlitośnie. Prescott odezwał się chrapliwym, niskim głosem:

- O ile Kair nie jest idiotą, wróci w ciągu pięciu minut, ale ten człowiek na zewnątrz to gadatliwy kretyn. Weź to pod uwagę i nie reaguj

pochopnie.

Zanim minęło półtorej minuty, Prescott był skąpany we własnym pocie.

- Trzy minuty-oznajmił Gosseyn.

- Powiedziałem wam prawdę - zawołał Prescott. - Dlaczego miałbym kłamać? Nie uciekniecie przed naszą siatką. Zostaniecie wolni tydzień, dwa, może trzy? Czy to ma jakieś znaczenie? Po tym, co powiedział Kair, wiem, że właściwie nie masz szans, aby uzyskać kontrolę nad tą dodatkową częścią mózgu. Tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć.

Było to ciekawe doświadczenie, słuchać paplania tego człowieka i wyobrażać sobie doktora Kaira we mgle nocy przed świtem.

- Cztery minuty - oznajmił Gosseyn.

Był zaniepokojony. Jeżeli Prescott ma się poddać, powinno się to stać teraz, natychmiast. Niecierpliwie pochylił się nad kozetką. Na końcu języka miał kolejne pytania.

- Jeszcze jeden powód, dla którego powiedziałem prawdę-bełkotał Prescott. - Nie jestem przekonany, czy nawet supermen poradziłby sobie z międzyplanetarnymi operacjami, które właśnie się rozpoczynają. W twoim przypadku organizacja przesadziła z ostrożnością.

Zegarek Gosseyna pokazywał dwanaście i pół minuty po czwartej. Zgodnie z przyspieszonym poczuciem czasu narzuconym układowi nerwowemu Prescotta, okres nieobecności Kaira dobiegł końca. Gosseynowi wydało się, że to za szybko. Skracając czas do połowy nie dał Prescottowi okazji, aby się naprawdę przeraził. Teraz było już za późno, aby przywrócić mu właściwe poczucie czasu. Jeśli ten człowiek ma się złamać, niech to się stanie teraz.

- Pięć minut dobiegło końca-oznajmił zdecydowanie. Podniósł broń. Twarz Prescotta miała dziwny, śmiertelnie blady odcień. Gosseyn dodał ostro: - Dam ci jeszcze jedną minutę. Jeśli wtedy nie zaczniesz mówić, albo Kair nie wróci, już po tobie. Chciałbym wiedzieć, skąd „Iks" lub gang wzięli przyrząd, za pomocą którego uszkodzili Maszynę Igrzysk? I gdzie on teraz jest?

Mówiąc to spojrzał na zegarek, by zaznaczyć, że czas upływa. Nagle

wytrzeszczył oczy, zaskoczony tym, co ujrzał, i na chwilę żar pomniał o swojej grze z Prescottem. Było czternaście minut po czwartej. Minęły już cztery minuty! Doznał uczucia pustki, zachwiania, pierwszego wrażenia, że Kaira nie ma już bardzo długo. Jednak widząc szarą twarz Prescotta trochę się uspokoił.

- Deformator znajduje się w apartamencie Patricii Hardie. Wbudowaliśmy go tak, aby wyglądał jak kawałek ściany.

Jeniec wyglądał tak, jakby miał zemdleć, ale jego historia brzmiała prawdziwie. „Deformator" -już sama nazwa mówiła wszystko -musiał być zlokalizowany w pobliżu Maszyny, a już na pewno postarali się, żeby go ukryć. Dlaczegóż by nie w pokoju Patricii Hardie? Gosseyn powstrzymał się od uruchomienia wykrywacza kłamstw. Powstrzymał się, bo nareszcie miał Prescotta w garści, a wprowadzenie maszyny mogło okazać się fatalne w skutkach. Nie mógł jednak pohamować się, by nie spojrzeć na zegarek. Była czwarta piętnaście. Spojrzał na drzwi. Upływ czasu zaczynał uprawdopodabniać jego blef. Nagle zrozumiał, pod jaką presją znalazł się Prescott. Z trudem zmusił się, aby przenieść na niego uwagę.

- Skąd macie deformator? - zapytał.

- Thorson go przywiózł. Jest stosowany nielegalnie, ponieważ Liga pozwoliła używać go tylko w środkach transportu...

Hałas przy drzwiach sprawił, że Prescott przerwał. Odetchnął z krzywym uśmiechem, gdy do pokoju bez tchu wpadł doktor Kair.

- Nie ma czasu do stracenia - oznajmił. - Zaczyna świtać, mgła też się podnosi. Powiedziałem im, że zaraz ruszamy. Chodźmy.

Chwycił skórzaną walizeczkę, zawierającą informacje na temat mózgu Gosseyna. Gosseyn zatrzymał go tylko na chwilę, aby zakneblować Prescotta:

- Ale dokąd jedziemy?- spytał.

Kair miał radosną minę chłopca, który wyrusza na spotkanie z przygodą.

- Jak to? Lecimy moim prywatnym roboplanem, oczywiście. Będziemy się zachowywać tak, jakby nikt nas nie śledził. A dokąd?... Cóż, chyba pan nie chce, abym wspomniał o tym w obecności pana Prescotta?

Zwłaszcza że zamierzam wyrzucić jego buty wraz z urządzeniem naprowadzającym, zanim jeszcze opuścimy miasto.

W ciągu pięciu minut znaleźli się w powietrzu. Gosseyn wyjrzał w kłębiącą się mgłę i poczuł, jak ogarnia go podniecenie.

Naprawdę zdobili uciec.

XVIII

Gosseyn rozsiadł się wygodnie na fotelu w roboplanie i spojrzał na doktora Kaira. Psychiatra miał otwarte oczy, ale wydawał się bardzo senny.

- Doktorze- zagadnął.-Jaka jest Wenus... to znaczy, jej miasta?

- O, bardzo podobne do miast ziemskich, ale przy stosowane do łagodnego klimatu. Ponieważ pułap chmur jest wysoki, nigdy nie jest za ciepło. I nigdy nie pada deszcz, tylko w górach. Ale co noc, na ogromnych, zielonych równinach opada obfita rosa. Obfita, to znaczy, że wystarczy, aby nawodnić tę wspaniałą roślinność. Ó to panu chodziło?

- Miałem na myśli naukę - Gosseyn zmarszczył czoło. - Czy nauka jest inna? Lepiej rozwinięta?

- Wcale nie. Wszystko, co kiedykolwiek odkryto na Wenus, jest natychmiast wprowadzane na Ziemi. A badania ziemskie są w niektórych przypadkach bardziej zaawansowane, niż na Wenus. Zresztą, dlaczegóż by nie? Tu jest więcej ludzi, specjalizacja pozwała dokonywać odkryć nawet przeciętnym, nawet głupcom.

- Rozumiem. Proszę mi zatem powiedzieć, wykorzystując swoją wiedzę na temat nauki ziemskiej i wenusjańskiej, jak można wytłumaczyć, że dwa ciała mają tę samą osobowość?

- Miałem zamiar pomyśleć o tym rano - mruknął doktor Kair zmęczonym głosem.

- Niech pan pomyśli teraz - upierał się Gosseyn. - Czy nauka znana w naszym Układzie Słonecznym dostarcza jakiegoś wyjaśnienia?

- O ile wiem, to nie - psychiatra zasępił się. - Trafił pan w sedno całej sprawy. Kto mógłby wymyślić tak absolutnie radykalny proces? Domyślam się, że tutejsi biolodzy, szkoleni w semantyce, podjęli jakieś ważne eksperymenty biologiczne... ale dwa ciała i nowy mózg?

- Proszę zauważyć, że obie strony czymś dysponują - rzekł cicho Gosseyn. - Cud mojej niezwykłej nieśmiertelności zdarzył się dzięki komuś, kto znajduje się po stronie przeciwnej niż właściciel deformatora. A jednak, doktorze, moja strona... nasza strona boi się, Musi się bać. Gdyby miała wystarczająco dużo siły, nie grałaby w chowanego.

- Hmm, w tym coś rzeczywiście jest...

- Doktorze, jeśli byłby pan istotą ludzką dość silną, by samodzielnie podejmować decyzje, dotyczące całej planety, co by pan zrobił, odkrywając, że imperium galaktyczne organizuje się i przygotowuje do przejęcia Układu Słonecznego?

- Poruszyłbym ludzi. Siła nie-A nie została jeszcze przetestowana w bitwie, ale mam wrażenie, że sprawi się nieźle.

Zanim Gosseyn odezwał się znowu, upłynęło kilkanaście minut.

Dokąd my właściwie lecimy?

Doktor Kair po raz pierwszy podniósł na niego wzrok.

- Na odludnym brzegu Jeziora Górnego w Kanadzie znajduje się niewielka chatka. Mieszkałem tam przez kilka miesięcy jakieś trzy lata temu. Wydawała się tak idealnym miejscem do pracy i rozmyślań, że ją kupiłem. A potem jakoś nigdy tam nie wróciłem-uśmiechnął się smutno. - Jestem prawie pewien, że tam przez jakiś czas będziemy bezpieczni.

- Aha- mruknął Gosseyn.

Siedział przez chwilę, próbując obliczyć, jak długo już lecą. Doszedł do wniosku, że upłynęło około pół godziny. Właściwie nieźle. Człowiek, który w ciągu pół godziny zorientował się, że kusząco prosta droga nie jest dla niego, potrafiłby już całkiem dobrze panować nad swoim otoczeniem. Leżenie plackiem na piaszczystej plaży, leniwe ćwiczenie umysłu pod kierunkiem światowej sławy naukowca, to rzeczywiście bardzo kuszące rozwiązanie. W tym obrazie dostrzegał tylko jedną, jedyną skazę, która wszakże była na tyle wielka, że przesłaniała całą resztę. Ten obraz nie miał prawa istnieć.

Wyobraził sobie kryjówkę doktora Kaira. Niedaleko na pewno będzie jakieś miasteczko, może klika farm i chat rybackich. Trzy lata temu, z czystym sumieniem, zajęty własnymi sprawami, psychiatra z pewnością nawet sobie nie uświadamiał ich istnienia wokół siebie. Nadrabiał zaległości w lekturze, spacerował po pustych plażach, zatopiony w medytacjach, a jeśli nawet spotkał po drodze któregoś z mieszkańców, pewnie nawet go nie zauważył. To nie oznacza, że sam pozostał nie zauważony. A jeśli teraz, tuż po zamordowania prezydenta Hardiego, do

chaty przyjadą dwaj mężczyźni, cóż, ich szansę na to, aby umknąć uwadze sąsiadów są praktycznie żadne. Gosseyn westchnął. Nie dla niego łatwe życie na łące nad jeziorem, podczas gdy zamieszkałe światy Układu Słonecznego zadrżą pod uderzeniem wrogich armii. Kątem oka spojrzał na lekarza. Potargana głowa Kaira opadła na oparcie fotela, powieki były przymknięte. Jego pierś rytmicznie wznosiła się i opadała.

- Doktorze! - zawołał cicho.

Śpiący ani drgnął.

Gosseyn odczekał jeszcze chwilę, a potem przesunął się w stronę urządzeń sterujących. Ustawił je tak, aby zatoczyli szeroki krąg i zawrócili w kierunku, z którego przybyli. Wrócił na siedzenie, wyr jął notes i napisał:

Drogi Doktorze!

Przepraszam, że tak pana zostawiam, ale gdyby się pan obudził, pewnie tylko posprzeczalibyśmy się. Chętnie poddałbym się treningowi umysłu, ale mam teraz pilniejsze rzeczy do zrobienia. Proszę czytać ogłoszenia osobiste w wieczornej gazecie, szukając ogłoszenia podpisanego „ Goić ". Jeśli konieczna będzie odpowiedz, proszę ją podpisać „Nieostrożny ".

Wetknął list za tablicę rozdzielczą i zapiął spadochron antygrawitacyjny. W dwadzieścia minut później przez mgłę przebiło się atomowe światło Maszyny. I jeszcze raz Gosseyn ustawił ster na szerokie półkole, aby statek powrócił na kurs początkowy.

Odczekał, aż gorejąca latarnia Maszyny Igrzysk zabłyśnie pod nim jak rozszalały pożar i trochę się oddali. Tuż pod sobą ujrzał słaby zarys rezydencji prezydenckiej. Gdy roboplan znalazł się nad samym pałacem, Gosseyn otworzył drzwi wyjściowe, wyskoczył i zaczął spadać w mglistą ciemność.

XIX

Leibnitz formułował postulat ciągłości, nieskończenie
bliskiego działania, jako zasadę ogólną, i z tej to przyczyny
nie był w stanie pogodzić się. z prawem powszechnego
ciążenia Newtona, które zakłada dziabnie z pewnej odległości.
H.W.

Spadochron antygrawitacyjny był w całości produktem filozofii nie-A. Jego wynalazca usiadł przy stole i starannie, z pełną ś wiadomością, określił zasady matematyczne, które zostaną zastosowane, a następnie nadzorował produkcję pierwszych płyt Spadochron działał zgodnie z prawem przyciągania mówiącym, że każde dwa obiekty przyciągają się do siebie, przy czym większej szybkości nabiera mniejszy obiekt. Jedynie zewnętrzna siła jest w stanie zmienić kierunki ruchu, te zaś zewnętrzne siły mają własne cechy, do których należy wielkość i kierunek. Oczywiście, wciąż jeszcze istnieli arystotelejczycy, którzy mieli mgliste pomysły, dotyczące „spadania" przedmiotów w górę, i bełkotali semantyczne bzdury, twierdząc, że nie ma rzeczy niemożliwych. Fizyka nie-Newtonowska, fizyka świata rzeczywistego, uznawała przymus dążenia ku sobie dwóch ciał za niezmiennie zjawisko przyrodnicze. Uważano jednak, że można zmodyfikować strukturę atomową obiektu, aby ten spadek spowolnić.

Spadochron antygrawitacyjny przypominał metalową uprząż, wyściełaną w miejscach, gdzie wywierała największy nacisk na ciało. Miał również silniczki, ale służyły one tylko do manewrów bocznych w czasie spadania. Najwolniejsze tempo spadania, jakie udało się na nim osiągnąć, wynosiło około dziewięciu kilometrów na godzinę. Oznaczało to, że sprawność urządzenia wynosi nieco więcej niż dziewięćdziesiąt procent. Urządzenie to, obok silnika elektrycznego, turbiny parowej, napędu atomowego dla statków kosmicznych oraz pompy ssącej, ubiegało się o tytuł „maszyny doskonałej".

Przyciskając właściwe guziki, Gosseyn bez trudu wylądował na balkonie wiodącym do apartamentów Patricii. Wolałby wprawdzie najpierw

złożyć wizytę Maszynie Igrzysk, ale o tym nie mogło być mowy. Maszyna będzie strzeżona równie mocno, jak w dawnych czasach strzeżone były klejnoty koronne. Nikomu za to nie przyjdzie do głowy, aby Gosseyn mógł wrócić do pałacu - a przynajmniej miał taką nadzieję.

Ugięciem kolan zamortyzował upadek i zerwał się na palce, jak bokser. Spadochron zapinał się na suwak - jedno pociągnięcie i pozbył się go. Szybko opuścił spadochron na podłogę i już był przy drzwiach balkonowych, które otwarły się z wysokim, ostrym trzaskiem.

Gosseyn nie przejmował się hałasem. Jego plan opierał się na prędkości i na tym, że bardzo dokładnie pamiętał położenie łóżka Patricii. Nie był jeszcze pewien, jak ją potraktuje. Dziewczyna mogła uwierzyć, że rzeczywiście zabił jej ojca. Teraz, już na miejscu, kiedy nie mógł dłużej odkładać decyzji, musiał wziąć pod uwagę również i tę możliwość.

Przycisnął ją do materaca i zakrył jej usta dłonią. Związał ją, zakneblował i dopiero wtedy cofnął się, aby zapalić światło.

- Przepraszam, jeśli byłem brutalny-mruknął.

Rzeczywiście, było mu przykro, ale nie chciał również jej rozzłościć. Kiedy tylko znajdzie i unieszkodliwi deformator, zamierzał poprosić Patricię o pomoc w ucieczce. Zauważył, że jej wzrok skierowany był na punkt znajdujący się za jego plecami. Obrócił się na pięcie.

- Nie próbowałbym żadnych sztuczek - odezwał się od drzwi Eldred Crang. Jego orzechowe oczy błyszczały odbitym światłem. Stał swobodnie, w otoczeniu dwóch ludzi uzbrojonych w miotacze. Gosseyn podniósł ręce do góry.

- Gosseyn, jak mogłeś być taki głupi i myśleć, że samolot może dziś przelecieć niepostrzeżenie bezpośrednio nad pałacem - kontynuował Crang. - Mam dla ciebie niespodziankę: Prescott został niedawno uwolniony i właśnie zadzwonił. Na podstawie jego raportu przekonałem Thorsona, że poradzę sobie z tobą własnymi metodami.

Gosseyn czekał, ale czuł, że powraca mu nadzieja. Crang, tajny nie-A, przekonał Thorsona. Sądził z początku, że pozycja Cranga jest zbyt niepewna, by mógł mu wyświadczyć choćby najdrobniejszą przysługę, a jednak się odważył.

- Niedawno doszliśmy do wniosku, że ktokolwiek cię do nas przysłał, nie przejmował się tym, czy zginiesz, czy nie. Właściwie jesteśmy pewni, że po odkryciu dodatkowego mózgu i tak miałeś zginąć. Natychmiast wprowadzono cię na scenę po raz drugi, tym razem na Wenus, abyś wypełnił drugie, ograniczone zadanie. I znowu osoba, która się za tobą kryje, wcale nie troszczyła się o twoje bezpieczeństwo. Wniosek nasuwa się sam. Gdzieś musi istnieć trzecie ciało Gosseyna, które ożyje natychmiast, gdy tylko drugie zostanie usunięte z drogi. Uśmiechnął się. Oczy błyszczały mu jak pochodnie.

- Ten człowiek, który się za tobą ukrywa, Gosseyn, ma teraz poważny problem. W żadnym wypadku nie odważy się na to, aby po świecie kręciły się dwa żyjące ciała. Po pierwsze, byłoby to zbyt skomplikowane, po drugie, istnieje niebezpieczeństwo, że każde ciało zacznie produkować własne duplikaty, równie silne i egoistyczne. Wiesz, do czego to może doprowadzić.

Thorson żądał, abyśmy cię uwięzili, ale ja uważam, że śmierć i wiezienie to tylko dwie strony jednego medalu. Każde z nich może być sygnałem dla pojawienia się Gosseyna ni. A tego byśmy nie chcieli. A jeśli my cię nie zabijemy, nie uczyni tego nikt inny, z wyjątkiem ciebie samego lub innego agenta naszego niewidzialnego szachisty. Dlatego też postanowiliśmy cię uwolnić bez żadnych dodatkowych warunków, wierząc, że sam potrafisz o siebie zadbać.

Tego się nie spodziewał. Nie miał pojęcia, na co może liczyć, ale nie na wolność. Usiłował określić ograniczenia, jakim podlegał Crang, a nawet zastanawiał się, dlaczego Crang, stronnik nie-A, miałby sprzeciwiać się pojawieniu Gosseyna III. Wyrok, z jego punktu widzenia bardzo korzystny, ale zastanawiający w ustach Cranga, był kompletnym zaskoczeniem.

- Jak to przeprowadzicie?- zapytał.

- Oskarżenia ciążące na tobie zostały wycofane-odrzekł Crang. Powiadomiono o tym wszystkie posterunki policji. Od tej chwili jesteś wolny. Nic, co wymyślisz *tym* swoim niedorozwiniętym mózgiem, nie może nam przeszkodzić. Już jest za późno, byś zdołał pokrzyżować nasze plany. Możesz mówić, co chcesz i komu chcesz.

Odwrócił się. W jego zachowaniu nie wyczuwało się specjalnej życzliwości.

- Straże - rozkazał. - Zaprowadźcie tego człowieka do jego apartamentów, dopilnujcie, aby dostał śniadanie, i znajdźcie dla mego odpowiednie ubranie. Może zostać w pałacu do dziewiątej, ale jeśli zechce wyjść wcześniej, nie przeszkadzajcie mu.

Gosseyn pozwolił, aby go wyprowadzono. Nie miał odwagi odezwać się do Patricii, ani podziękować Crangowi z obawy, że Thorson mógłby podsłuchiwać. Kiedy wkrótce po dziewiątej wychodził na ulicę, ranek nad miastem Maszyny był już jasny, choć wciąż jeszcze mglisty.

XX

W stosunkach międzyludzkich postawy otwarte są ważniejsze od zahamowań, ponieważ, jak to już zostało powiedziane, zahamowania jako takie nie ulegają przekazaniu. Oczywiście istnienie hamującej korelacji nerwowej jest faktem doskonale znanym, ale w tego rodzaju zjawiskach efekt zahamowania prawdopodobnie nie jest wynikiem przekazania zmiany powodującej zahamowanie, lecz raczej przekazaniem postawy otwartej, mechanizm zaś ostatecznego efektu zahamowania jest niejasny.
C.M.C.

Na ulicy Gosseyn powiedział do siebie szeptem: - Ktoś na pewno będzie mnie śledził. Thorson nie pozwoli mi tak po prostu odejść w siną dal.

Był jedyną osobą, która na przystanku wsiadła do autobusu. Przyglądał się, jak szary bruk ucieka spod pojazdu. O dwie przecznice dalej dostrzegł granatowe lub czarne coupe - nie był pewien koloru. Westchnął, kiedy pojazd skręcił w boczną ulicę i zniknął- Z odległego krańca ulicy za pałacem nadjechał bardzo szybki samochód i wyminął autobus, który zatrzymał się, aby wpuścić jakąś kobietę. Nie zawróciła uwagi na Gosseyna, on jednak nie spuszczał z niej podejrzliwego spojrzenia, dopóki nie wysiadła kilkaset metrów dalej.

Może wiedzą, gdzie się wybieram, domyślił się. Najpierw hotel, potem Maszyna Igrzysk.

W hotelu, gdzie kiedyś zostawił swoje rzeczy wraz z około dwustu dolarami w banknotach, recepcjonista podał mu pióro.

- Proszę tu podpisać.

Na to nie wpadł. Wziął pióro z wizją więziennej celi przed oczami. Podpisał z zawijasem i uśmiechnął się do siebie. Zauważył, że stał się osobą niemal całkowicie pozbawioną nerwów.

- Zna pan drogę do sali depozytów - powiedział recepcjonista i znikł na zapleczu.

Gosseyn znał drogę.

Nawet podpis ten sam, pomyślał. Podobieństwo jak między dwoma automatami tej samej serii. Lepiej, aby wyjaśnienie tej identyczności było wiarygodne.

Spędził dziesięć minut grzebiąc wśród walizek. Interesowały go trzy ubrania. Pamiętał, że ustawił termostat jednego z nich na dziewiętnaście stopni Celsjusza, podczas gdy normalna temperatura dla niego wynosiła dwadzieścia dwa. I tak, jak pamiętał, dwa wskaźniki pokazywały dwadzieścia dwa, a jeden dziewiętnaście. Zdjął ubranie, które dano mu w pałacu, i włożył jedno ze swoich własnych. Pasowało idealnie. Gosseyn westchnął. Mimo wszystko, trudno było mu zaakceptować tę identyczność z nieboszczykiem.

Pieniądze znalazł tam, gdzie je schował, między kartkami jednej z książek Odliczył siedemdziesiąt pięć dolarów w banknotach po pięć i dziesięć, włożył walizki z powrotem do schowka i oddał klucze w recepcji. Gdy znalazł się na ulicy, głos dochodzący z automatycznego podajnika gazet przypomniał mu wczorajsze komunikaty i o-skarżenia. Jak należało się spodziewać, zabójstwo prezydenta oznajmiono ogromnymi nagłówkami, ale już dalsze informacje były niemal całkiem nieczytelne:

„Gosseyn oczyszczony z zarzutów... Prowadzi się drobiazgowe śledztwo... Urzędnicy administracyjni przyznają, że tuż po morderstwie ogłoszono wiele nieprawdziwych komunikatów... Jim Thorson, wiodący kandydat na prezydenta w igrzyskach, żąda sprawiedliwego, zgodnego z prawem procesu..."

Oznaczało to, że zemsta zostaje odroczona. Sprytne posunięcie - łatwo być sprytnym, gdy ma się do dyspozycji nieograniczone siły. Zasiano ziarno nieufności w stosunku do Wenus i Maszyny. W odpowiednim czasie ktoś sprawi, że ziarno wykiełkuje.

Na drugiej szpalcie pierwszej stronie znajdowała się wzmianka, która zainteresowała Gosseyna:

BRAK INFORMACJI Z WENUS

Służby łączności donoszą, że dziś rano nie udało się połączyć z Wenus...

Informacja zmartwiła Gosseyna. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że obawy, które czaiły się gdzieś w najdalszych zakamarkach jego umysłu od chwili opuszczenia pałacu, stały się rzeczywistością. Znowu znalazł siew otchłani niewiedzy, wraz z pięcioma miliardami innych ludzi, którzy wiedzieli tylko tyle, ile im powiedziano. Znów w ciemności. Co gorsza, on, stworzony do niebezpiecznych działań, które teraz, z perspektywy czasu na kilometr traciły melodramatem, nagle został od tych niebezpiecznych działań odsunięty. Trudno teraz uwierzyć, że dokonał rajdu na pałac prezydenta Hardiego tej samej nocy, kiedy ten został zamordowany. Był to czyn szaleńca, z pewnością niewykonalny dla zwyczajnego, miłującego prawo obywatela, jakim jest Gilbert Gosseyn, Na pewno pilnują go i nie pozwolą mu skontaktować się z Maszyną,

Ale nikt go nie zatrzymał. Szeroka aleja, prowadząca do Maszyny, była niemal zupełnie pusta, W dwudziestym dziewiątym dniu igrzysk nie było w tym nic dziwnego. Odrzucono już ponad dziewięćdziesiąt procent zawodników i ich nieobecność dała się zauważyć.

Gosseyn znalazł się w kabinie podobnego typu, jak te, których używano w pierwszym dniu igrzysk. Wziął elektrody, niezbędne do nawiązania kontaktu, i czekał. Po krótkiej chwili z głośnika zamontowanego w ścianie naprzeciw niego odezwał się głos:

- Co za zamieszanie, prawda? Jakie masz plany?

Pytanie zaskoczyło Gosseyna. Przyszedł po radę, może nawet -choć sam wstydził się do tego przyznać - po instrukcje. Jego własne przemyślenia dotyczące przyszłości były na tyle niejasne, że trudno byłoby je nazwać planami.

- Wytrącono mnie z równowagi - wyznał. - Najpierw żyłem w niebezpieczeństwie, lęku przed śmiercią, poczuciu nieuniknionej konieczności. Nagle zdjęto mi z ramion całe to brzemię. Znów jestem zwykłym człowiekiem. Trzeba gdzieś mieszkać, zarabiać, myśleć o tych wszystkich cholernych szczegółach ubogiego życia. Mam tylko jeden plan: muszę się porozumieć z profesorami z Instytutu Semantyki i nawiązać kontakt z doktorem Kairem. Trzeba, jakoś ostrzec Wenusjan o grożącym im

niebezpieczeństwie.

- Wenusjanie już wiedzą - odrzekła Maszyna. - Szesnaście godzin temu zostali zaatakowani przez pięć tysięcy statków i dwadzieścia pięć milionów żołnierzy. Są...

- Co?! - wykrzyknął Gosseyn.

- W tej chwili największe miasta Wenus znajdują się w rękach okupanta. Pierwsza faza wojny już się skończyła.

Gosseyn wypuścił elektrodę z bezwładnych palców. Poczuł rozpacz, która zupełnie zatarła w nim szacunek, jaki do tej pory żywił dla Maszyny.

- A ty ich nie ostrzegłaś! - ryknął. - Jesteś niewiarygodnym potworem!

- Sądzę, że słyszałeś o deformatorze - odparła chłodno Maszyna. - Nie mogę wypowiadać się publicznie, dopóki ten przyrząd jest we mnie wycelowany.

Gosseyn już otwierał usta, by wygłosić kolejną tyradę, ale teraz zamknął je i milczał.

- Układ mózgów elektronicznych jest bardzo ciekawą, ale ograniczoną strukturą - ciągnęła Maszyna. - Działa na zasadzie przerywanego przepływu prądu. W procesie *tym* brak prądu w odpowiednio dobranych ułamkowych okresach i w odpowiednich obwodach jest równie ważny, jak jego obecność w innych. Deformator likwiduje przerwy w przepływie prądu. Kiedy jest wycelowany w jakąkolwiek część mojego mózgu, dana funkcja, do której jest dostrojony, zostaje całkowicie zakłócona. W ogniwach fotoelektrycznych, trio-dach, wzmacniaczach i każdej części mojej konstrukcji przepływ energii staje się jednostajny, co powoduje, że informacje nie są przenoszone. Pod takim właśnie wpływem znajduje się przez cały czas mój system komunikacji publicznej.

- Ale do mnie możesz mówić. Robisz to przecież!

- Mogę rozmawiać z jedną osobą na raz-odparła Maszyna. -Mogę rozmawiać na raz nawet z trzema lub czterema osobami, jeśli odpowiednio skoncentruję wszystkie siły. Powiedzmy, że to zrobię. Powiedzmy, że kilkadziesiąt osób zacznie rozpowiadać, że Maszyna oskarża rząd o nieuczciwość. Zanim ktokolwiek naprawdę w to uwierzy, gang się o tym

dowie, i wyceluje we mnie kolejny deformator. Nie, przyjacielu, świat jest zbyt wielki, a gang może wypuścić w ciągu godziny więcej pogłosek niż ja rozpowszechnię w ciągu roku. Musi to być albo transmisja publiczna o zasięgu ogólnoświatowym, albo nie będzie to miało żadnego znaczenia.

- No to co mamy robić? - bezradnie zapytał Gosseyn.

- Ja nie zrobię nic.

Akcent na słowo „ ja" nie umknął uwadze Gosseyna.

- Czy to znaczy, że ja coś mogę zrobić?

- Wszystko zależy od tego, jak dobrze rozumiesz to, co powiedział ci dzisiaj Crang - wyjaśniła Maszyna.

Gosseyn wrócił myślą do słów, które usłyszał od Cranga. Nonsensowne wyjaśnienia, dlaczego go nie zabiją i co...

- Czekaj - odezwał się na głos. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że mam się zabić!

- Zastrzeliłabym cię w tej samej chwili, kiedy tu wszedłeś, gdybym miała taką możliwość - odrzekła Maszyna. - Ale mogę zabijać istoty ludzkie tylko w akcie samoobrony. Jest to stałe ograniczenie, które wbudowano we mnie już na samym początku.

Gosseyn nigdy nie brał pod uwagę niebezpieczeństwa ze strony Maszyny.

- Nie rozumiem - wykrztusił. - Co się dzieje? Głos Maszyny zdawał się dochodzić z bardzo daleka:

- Wykonałeś swoje zadanie -powiedziała. - Osiągnąłeś cel. Teraz musisz ustąpić miejsca trzeciemu, najpotężniejszemu Gosseynowi. Możliwe - ciągnął zimny głos - że z czasem nauczyłbyś się integrować dodatkowy mózg z *tym* ciałem. Niestety, nie mamy czasu. Dlatego też musisz zrobić miejsce dla Gosseyna III, którego mózg będzie zintegrowany z ciałem od chwili, kiedy rozpocznie świadome życie.

- Ależ to idiotyczne - nerwowo zaprotestował Gosseyn. - Nie mogę popełnić samobójstwa. - Opanował się z trudem. - Dlaczego ten... ten trzeci Gosseyn nie może ożyć, jeśli ja nie umrę?

- Nie wiem zbyt wiele na temat samego procesu - odparła Maszyna. - Odkąd widziałam Cię po raz ostami, powiedziano ml, że śmierć jednego

ciała odbierana jest przez czujnik elektroniczny, który budzi do życia kolejne ciało. Część mechaniczna zagadnienia wydaje się bardzo proste, ale część biologiczna jest dość skomplikowana.

- Kto ci to powiedział? - zapytał, zmrożony. Nastąpiła przerwa, po czym otwarła się niewielka szczelina t wysunął się z niej list.

- Otrzymałam instrukcje pocztą-rzeczowo odpowiedziała Maszyna. - Dostarczono mi twoje drugie ciało wraz z listem.

Gosseyn wziął do ręki list i rozwinął. Na białej kartce papieru napisano na maszynie kilka stów:

Przekazać ciało Gosseyna II na Wenus i polecić jednemu z agentów roboplanów, aby złożył je w lesie niedaleko domu Prescotta. Kiedy opuści ten dom, zabrać go i umieścić niedaleko domu drzewnego Cranga z instrukcją, aby się poddał. Podać mu informację na temat Wenus i powziąć niezbędne środki ostrożności.

- Nikt nigdy nie kontroluje moich przesyłek na Wenus, więc nie było przeszkód - odezwała się Maszyna.

Gosseyn jeszcze raz przeczytał ust, czując, że kręci mu się w głowie.

- I to wszystko, co wiesz? - wykrztusił w końcu.

Maszyna jakby się zawahała.

- Od tego czasu dostałam jeszcze jedną wiadomość, że wkrótce zostanie mi dostarczone ciało Gosseyna III. ,

Gosseyn pobladł.

- Kłamiesz - rzekł chrapliwie. - Mówisz to, aby pchnąć mnie do samobójstwa.

Zamilkł. Mówił o tym tak, jakby była to kwestia do przedysku-towania. W rzeczywistości nie chodziło o to, że nie popełni samobójstwa z tego lub z innego powodu. Po prostu nie ma zamiaru się zabić - tylko tyle. Bez słowa odwrócił się i wyszedł z kabiny -jak najdalej od Maszyny.

Przez cały dzień czuł, jak zdumienie i rozpacz walczą w nim o lepsze. Wieczorem gorączkowy niepokój ucichł nieco i Gosseyn poczuł, że jest zmęczony i nieszczęśliwy, lecz także bardziej skłonny do przemyśleń.

Maszyna nawet nie zasugerowała, aby próbował zdobyć deformator. Może dlatego, że nie sądziła, by mu się udało.

Jedząc kolację wyobrażał sobie, jak można by to osiągnąć. Zadzwonić do Patricii, umówić się z nią na spotkanie w jej mieszkaniu. Na pewno zdoła ją przekonać, by w wolnej chwili spotkała się z nim jutro, w tajemnicy przed innymi. Trzeba tylko spróbować.

Zadzwonił do niej zaraz po posiłku. Kiedy się przedstawił, nastąpiła krótka przerwa, po czym na ekranie pojawiła się twarz Patricii. Na jego widok rozjaśniła się, ale powiedziała szybko:

- Mogę rozmawiać nie dłużej niż minutę. Gdzie się spotkamy? Zmarszczyła brwi, kiedy jej powiedział. Już miała potrząsnąć głową, ale zamyśliła się na chwilę.

- \\Vdaje mi się to bardzo ryzykowne-stwierdziła wreszcie. -Jeśli jednak chcesz zaryzykować, ja też się zgadzam. Jutro o pierwszej. Najważniejsze, żebyś nie wpadł na Prescotta, Thorsona albo Cranga.

Gosseyn poważnie zapewnił ją, że będzie ostrożny, pożegnał się i przerwał połączenie. Spotkania z Prescottem jednak nie dało się uniknąć.

XXI

Pewien stawny fizyk ery wiktoriańskiej powiedział:
„Następne pokolenia fizyków nie mają do roboty nic
więcej, poza mierzeniem dalszych miejsc po przecinku".
W następnym pokoleniu... Planck opracował teorię
kwantową, która doprowadziła Bohra do badań nad budową atomu...
Obliczenia Einsteina zostały udowodnione poprzez
wyjątkowo delikatny pomiar kolejnych liczb po przecinku.
Wygląda na to, że kolejne pytania dotyczyć będą
kolejnych miejsc po przecinku. Tak mało wiemy o grawitacji,
równie niewiele o zjawiskach dotyczących pola magnetycznego... Wcześniej
czy później ktoś trafi na kolejne miejsca po przecinku i problem zostanie
rozwiązany.
J.W.C Jr.

Gosseyn znalazł się przy głównym wejścia do pałacu kilka minut przed pierwszą, Nie był sam. Przez bramę wchodziły i wychodziły grupki kobiet i mężczyzn. Ich obecność otaczała go jakby mgłą i chroniła przed bezpośrednią obserwacją. Oczywiście, musiał podać swoje nazwisko oficerowi straży przy wejściu. Zajrzał przez szklane okienko.

- Nazywam się Gosseyn - powiedział do siedzącego tam pulchnego osobnika. - Jestem umówiony z panną Patricią Hardie o pierwszej.

Strażnik przesunął palec wzdłuż listy nazwisk i nacisnął przycisk. Z drzwi obok okienka wyskoczył młody człowiek i wziął od Gosseyna neseser, po czym zaprowadził go do windy. Drzwi windy właśnie się otwierały. Wyszło z niej troje ludzi, a jednym z nich był Prescott. Z zaskoczeniem zmierzył Gosseyna wzrokiem i spochmurniał.

- Co cię tu sprowadza? - rzucił.

Gosseyn zaczerpnął tchu. Pozostała mu tylko jedna możliwość: wyciągnąć jak najwięcej z tego fantastycznego pecha. Miał pewien plan na wypadek takiego spotkania, ale poczuł, że serce łomocze mu jak bęben, kiedy wypowiadał wcześniej przygotowane słowa:

- Mam spotkanie z Crangiem.

- Niemożliwe. Przed chwilą się z nim rozstałem. Nie mówił nic o

spotkaniu z tobą. ,

Gosseyn przypomniał sobie, że Prescott nie wie, iż Crang jest zwolennikiem nie-A. Pod każdym względem był to szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Pewnie nie spodziewał się mnie tak wcześnie - wyjaśnił. -Ale może i ty wiesz, co mam mu do powiedzenia.

Prescott przystanął. Czujnie, podejrzliwie i chłodno wysłuchał relacji Gosseyna na temat jego rozmowy z Maszyną i jej propozycji, aby Gosseyn popełnił samobójstwo, umożliwiając ożycie trzeciego ciała. Gosseyn przemilczał wszystko, co Maszyna powiedziała mu na temat ataku na Wenus, i zakończył ponuro:

- Muszę zobaczyć to trzecie ciało. Jestem nie-A akurat na tyle, aby nie wierzyć w trzeci egzemplarz nawet po tym, jak widziałem drugi. Wyobraź sobie, że ktoś chce od osoby o mojej psychice, aby strzeliła sobie w łeb - zadrżał mimo woli. - Szukam jakichś śladów. Byłem już gotów przyjść, aby porozmawiać z Thorsonem. I jakoś -spojrzał twardo na Prescotta - nawet nie pomyślałem o tobie.

Prescott nie zareagował na wzmiankę o zeszłej nocy. Odwrócił się, chcąc odejść, ale zatrzymał się i jeszcze raz spojrzał na Gosseyna. W dalszym ciągu był chłodny i nieprzyjazny, ale w oczach czaiła mu się ciekawość.

- Jak się zapewne domyślasz, szukamy innych twoich ciał -mruknął.

Pierwszym odruchem Gosseyna była chęć ucieczki. Poczuł chłód.

- Gdzie szukaliście? Prescott zaśmiał się chrapliwie.

- Najpierw mieliśmy bardzo zabawne pomysły. Przeszukiwaliśmy z powietrza jaskinie za pomocą aparatów ultradźwiękowych, sprawdziliśmy wszystkie co odludniejsze miejsca. Teraz jednak trochę zmądrzeliśmy.

- Co masz na myśli?

- Problem jest bardzo skomplikowany z powodu pewnego prawa przyrody, o którym zapewne nigdy nie słyszałeś - wyjaśnił Prescott, marszcząc brwi. - Prawo to brzmi następująco:, Jeżeli dwie fale energetyczne zostaną dostrojone z dokładnością do dwudziestego miejsca po przecinku, większa wypełni szczelinę przestrzeni między nimi tak, jakby

tej szczeliny w ogóle nie było, choć samo połączenie odbywa się ze skończoną prędkością".

- Zupełnie jakbym siedział na tureckim kazaniu - powiedział Gosseyn.

Prescott roześmiał się, tym razem głośniej.

- Pomyśl o tym tak - rzekł. - Jak wyjaśnisz fakt, że zachowałeś w pamięci tak szczegółową wiedzę o tym, co robił i myślał Gosseyn I? Musieliście zostać dostrojeni do siebie, w istocie jest to bowiem jedyna pewna metoda przekazywania myśli - możesz to robić tylko sam ze sobą. W każdym razie to nie miało znaczenia, gdzie byliście. Jego myśli, gdyby żył, byłyby silniejsze, i pojawiałyby się za każdym razem, gdy znaleźlibyście się w odpowiedniej odległości. Nie podejmuję się określić, w jakiej.

- Szukając twoich ciał - podjął po chwili milczenia - sprawdzaliśmy nawet meteoryty aż do pierścieni Saturna, w mylnym, jak się okazało, przekonaniu, że niektóre z nich można było wydrążyć i wyposażyć w inkubatory z Gilbertem Gosseynem w różnych stadiach wzrostu. To powinno udowodnić ci, jak poważnie...

W tym momencie wpadł mu w słowo mężczyzna w mundurze.

- Panie Prescott, samochód czeka. Statek na Wenus odlatuje za pół godziny.

- Już idę, panie generale.

Odwrócił się i ruszył za oficerem. Nagle przystanął i zawrócił.

- Właściwie byliśmy bardzo ciekawi tego Gosseyna Iii. Skoro już i tak myślałeś o tym, nie zdradzę tajemnicy, kiedy powiem, że zamierzamy go zabić, a wówczas nie będzie powodu, żeby nie zabić ciebie. Poza tym, uważam, że ta seria Gilbertów Gosseynów kiedyś wreszcie musi się skończyć. - Okręcił się na pięcie i odszedł, nie oglądając się za siebie. U stóp schodów czekał na niego samochód. Gosseyn widział, jak Prescott wsiada do niego. Za chwilę zacznie rozpamiętywać spotkanie. A potem zadzwoni do Cranga, który podejmie odpowiednie kroki.

Z trudem zachował spokój w windzie. Pierwotny plan, aby porwać nie uszkodzony deformator został obrócony wniwecz tym jednym spotkaniem. Nie tracił jednak czasu, gdy Patricia Hardie wpuściła go do apartamentu.

Gosseyn wyciągnął z nesesera sznur, zanim jeszcze skończyła mamrotać na temat niebezpieczeństwa, na jakie się naraził przychodząc do pałacu.

Zdumiała się, kiedy zaczął ją wiązać. Pod obszernym rękawem sukni miała niewielki automat i próbowała go dosięgnąć. Gosseyn zabrał go i schował do kieszeni. Zaniósł ją do sypialni, związaną i zakneblowaną. Położył ją na łóżku, mrucząc:

- Przykro mi. To tylko dla twojego dobra, gdyby ktoś nam przerwał... i

Nie było mu przykro, po prostu się spieszył. Zawrócił do salonu po neseser. Rzucił na łóżko, obok dziewczyny, przyniesione ze sobą narzędzia. Wyjął piłę atomową i podbiegł do ściany, która, jak uznał poprzedniej nocy, była jedynym możliwym miejscem, gdzie można było ukryć deformator.

Deformator musi być wycelowany w Maszynę Igrzysk, znajdującą się w odległości sześciuset metrów. Niezależnie od kształtu, nie może być zbyt mały. Nawet reflektor musi być dość mocny i duży, aby jego promień sięgnął sześciuset metrów i pozostał jasny. Gosseyn ustawił piłę tak, aby przecięła zbrojenie, znajdujące się pod rynkiem. Wyciął dwumetrowy kwadrat i oderwał go od ściany. Sypiąc wokół drobnym pyłem, odstawił go i oparł o ścianę alkowy. Kiedy wrócił, ujrzał deformator w całej okazałości. Miał około metra osiemdziesiąt na metr dwadzieścia i poi metra grubości. Był mniejszy niż Gosseyn oczekiwał, nie miał też żadnych widocznych połączeń. Gosseyn chwycił go i delikatnie pociągnął. Urządzenie zostało mu w rękach. Było lekkie, ważyło około dwudziestu pięciu kilogramów. Położył je na dywanie obok łóżka. Przez chwilę przyglądał się masie szklistych, wystających rurek. Był to prawdopodobnie jakiś rodzaj urządzenia elektronicznego, jedno z wielu, jakie opracowano odmieniając w nieskończoność ten sam wynalazek sprzed setek lat Chwycił piłę atomową i obrócił się w stronę deformatora, zamierzając pociąć go na kawałki. Pochylił się nad nim i nagłe znieruchomiał, zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek. Była za dwadzieścia pięć druga.

Gorączkowy pośpiech znikł. Statek Prescotta odleciał na Wenus i nic się nie stało. Podszedł do francuskiego okna i wyjrzał na zewnątrz. Ogromna połać trawnika, rozpościerająca się w kierunku Maszyny, gdzieniegdzie przetykana kępami krzewów, była teraz zupełnie pusta. Tu i

ówdzie przy klombach pracowali ogrodnicy. Dalej widać było Maszynę, ogromny, lśniący kształt zwieńczony latarnią o jasności kwadryliona świec. Dostarczenie tam deformatora nie powinno zająć wiele czasu.

Zdecydowanym ruchem wziął do ręki telefon, znajdujący się u wezgłowia łoża Patricii.

- Proszę przysłać mi tu głównego cieślę - rozkazał, gdy z głośnika odezwał się dziewczęcy głos.

- Połączę pana z superintendentem pałacowych warsztatów - zaproponowała operatorka.

W chwilę potem odezwał się burkliwy głos. Gosseyn wyjaśnił, czego potrzebuje, i rozłączył się. Aż drżał z podniecenia.

To się musi udać, myślał w napięciu. Takie rzeczy zawsze się udają, jeśli ma się dość odwagi.

Szybko przeniósł deformator do salonu i zamknął drzwi sypialni. Chwilę później rozległo się stukanie do drzwi wejściowych. Gosseyn otworzył je i do pokoju weszło pięciu ludzi. Trzech z nich niosło stosy desek. Cała trójka natychmiast zabrała się do roboty i opakowała deformator. Mieli ciche piłki, automatyczne wkrętaki do śrub. W ciągu siedmiu minut, jakie upłynęły na zegarku Gosseyna, praca została skończona. Dwaj pozostali, którzy do tej pory nie robili nic, teraz wzięli skrzynię.

- Dostarczymy ją w ciągu pięciu minut, proszę pana - powiedział jeden z nich.

Gosseyn zamknął za nimi drzwi i przekręcił zamek. Zawrócił do sypialni. Nie spojrzał na dziewczynę, lecz od razu podbiegł do okna. W ciągu dwóch minut wózek z wąską skrzynią pojawił się aa ścieżce przed pałacem. Skierował się wprost do Maszyny i po chwili zniknął za załomem metalu. Po kolejnej chwili pojawił się znów, tym razem pusty.

Gosseyn bez słowa podszedł do Patricii, rozwiązał ją i zdjął knebel. Czuł niejasne niezadowolenie i niewytłumaczalną frustrację.

XXII

Quisnam igitur sanus? (Więc kto jest zdrów na umyśle?).

Horacy: Satyry, U; około 25 r. p.n.e.

Patricia Hardie usiadła na łóżku, rozcierając ramiona, aby przywrócić krążenie krwi. W milczeniu przyglądała się Gosseynowi. Po jej ustach błąkał się blady uśmiech. Ten uśmiech trochę go zastanawiał. Spojrzał uważniej i stwierdził, że był cyniczny, porozumiewawczy.

- A więc nie udało ci się-powiedziała. Wytrzeszczył oczy.

- Miałeś nadzieję, że cię zabiją, kiedy przyjdziesz dziś do pałacu? - ciągnęła. - Mam rację?

Otworzył usta, żeby powiedzieć „Nie bądź głupia!". Ale nie powiedział tego. Przypominał sobie ucisk w żołądku, z jakim zbliżał się do pałacu, powodzenie, z jakim osiągnął cel, i uczucie rozczarowania. Doprawdy, ludzie potrafią się oszukiwać. Znów usłyszał głos dziewczyny, tym razem bardziej kąśliwy:

- Jest tylko jeden powód, dla którego przyszedłeś po deformator. Wiesz, że musisz umrzeć i pozwolić, aby pojawił się Gosseyn Ul. Miałeś nadzieję, że gdy tu przyjdziesz, zostaniesz zabity.

Teraz widział to zupełnie wyraźnie. Żaden zdrowy na umyśle człowiek nie popełni samobójstwa, nie pozwoli też zabić się bez walki. A zatem jego podświadomość poszukała innego wyjścia. Czy wierzę w Gosseyna III? - zastanawiał się. Tak, wierzę. Był zdumiony. Przecież ciągle powtarzał sobie, że to niemożliwe. Czy mogę popełnić samobójstwo? Nie teraz! Musi być jakiś sposób. Jest jakiś sposób.

Gosseyn bez słowa odwrócił się plecami do Patricii i ruszył w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz? - zawołała w ślad za nim.

- Wracam do hotelu. Możesz mnie tam znaleźć w każdej chwili. Przy drzwiach zatrzymał się na chwilę. Przypomniał sobie, że i ona także ma kłopoty.

- Lepiej zawołaj murarzy, żeby naprawili ścianę. A co jeszcze

mogłabyś zrobić? Myślę, że znasz swoją sytuację lepiej ode mnie, więc zostawiam to twojemu uznaniu. Żegnaj i życzę szczęścia.

Zamknął drzwi za sobą i wyszedł na bulwar. W centrum miasta zatrzymał się w drogerii i poprosił o fiolkę środka hipnotycznego.

- Już zaczynasz się uczyć do następnych igrzysk? - zaśmiał się drogista.

- Coś w tym stylu-uciął Gosseyn. Następnie udał się do firmy fonograficznej.

- Chciałbym wypożyczyć jedną z waszych maszyn na tydzień, do powtarzania nagrań.

- Czy potrzebuje pan przystawki do rejestrowania?

-Tak.

- Cztery dolary i pięćdziesiąt centów. W hotelu, gdzie przechowywał swoje rzeczy, wyjął ze schowka resztę pieniędzy i wrócił do recepcji.

- W pierwszym dniu igrzysk zostałem wyrzucony z hotelu z powodu nieporozumienia dotyczącego mojej tożsamości - rzekł. - Czy teraz wynajmie mi pan pokój na tydzień?

Recepcjonista nie zawahał się. Hotel musiał być prawie pusty po wielkim odpływie gości, którym nie udało się wygrać igrzysk. Zanim upłynęły dwie minuty, boy prowadził Gosseyna do przestronnego pokoju.

Gosseyn zamknął drzwi, dokonał zaplanowanego wcześniej nagrania i ustawił odtwarzacz na odtwarzanie ciągłe. Następnie połknął narkotyk i położył się na łóżku. W ciągu dwudziestu czterech godzin lekarstwo przestanie działać, pomyślał. A wtedy... Położył m stoliku obok łóżka lśniący mały automat, który zabrał Patricii Hardie.

A potem przyszedł - nie, nie sen. Zamroczenie, ciężkie zmęczenie, poprzez które przenikały wrażenia, dźwięki. Jeden dźwięk, ciągły, żałosny głos. Jego własny głos, który nagrał wcześniej: „Jestem nikim. Nie jestem nic wart Wszyscy mnie nienawidzą. Po co mam żyć? Nigdy nic ze mnie nie będzie. Nie znajdę dziewczyny, która chciałaby mnie poślubić. Jestem zrujnowany... bez nadziei... bez pieniędzy... zabić się... Wszyscy mnie nienawidzą... nienawidzą... nienawidzą...".

Miliony nie zintegrowanych ludzi myślą w ten sposób i nawet nie

przyjdzie im do głowy, by się zabić. Istotnym czynnikiem był tu ciągły nacisk i straszne rozchwianie emocjonalne, ogarniające ludzi spadających z wyżyn integracji w przepaść rozpaczy.

„Po co mam żyć? Po co... bez nadziei... zabić się,.."

W ciągu pierwszej godziny pojawiały się jeszcze natrętne własne myśli: To głupota! Mój mózg jest zbyt stabilny, aby dać się zasugerować... „bez nadziei...Wszyscy mnie nienawidzą---Nie jestem wart..."

Pod koniec drugiej godziny pojawił się grzmiący pomruk. Trwał i trwał, chwilami wznosząc się *crescenda* i nakładając na płaczliwy głos obok łóżka. Jego gwałtowny upór wdarł się wreszcie do świadomości Gosseyna, a za nim przyszło mgliste rozpoznanie: Armaty! Ogień artyleryjski! Czyżby zaatakowali i Ziemię?

Uświadomił sobie własną zgrozą. Nie pamiętał, żeby wstawał, a jednak był na nogach. Ależ jest zmęczony! „Nie jestem wart... zrujnowany. .. bez nadziei... zabić się..."

Znużony, powlókł się do okna. Wyjrzał, aby rzucić okiem na sąsiedni budynek, ale tu grzmot dział był jeszcze głośniejszy i jeszcze bardziej natrętny. Dochodził od strony Maszyny! Przez krótką chwilę potworny strach rozproszył mgłę spowijającą jego umysł. Atakowali Maszynę!

„Jestem nikim... Zabić się... Wszyscy mnie nienawidzą... Po co mam żyć..."

Kiedy dostarczył Maszynie deformator, musiała zacząć rozpowszechniać informację na temat ataku na Wenus! A gang usiłował ją zniszczyć!

Rozpowszechniać! Radio hotelowe! Dowlec się do niego... jakiż jest zmęczony! „Zabić się... Bez nadziei..." Wreszcie dosięgnął radia, włączył je...

- Rozbite... morderstwo... niewiarygodnie... zbrodnicze...

Słowa te zaskoczyły Gosseyna nawet poprzez ogarniające go otępienie. I nagle ze zrozumieniem zmarszczył brwi. Rozpętała się również wojna propagandowa. Jakąkolwiek stację ustawił, wszystkie grzmiały groźbami i oskarżeniami. Maszyna! Ta cholerna Maszyna! Mechaniczny potwór, zdradziecka, nieludzka! Wenusjańscy spiskowcy, którzy poszczuli

na ludzkość zbrodniczych obcych... Szaleńcy... mordercy... masakra...

I odgłos dział, stłumiony, nieprzerwany grzmot, niezmienne tło dla kłamliwych głosów. Gosseyn zaczaj drzemać. Lepiej iść do łóżka. Zmęczony. Jest taki zmęczony.

- Gosseyn!

Wszystkie inne głosy zostały zagłuszone. Radioodbiornik przemawiał wprost do niego.

- Gosseyn, tu mówi Maszyna. Nie zabijaj się! „Zabić się. Jestem nikim. Wszyscy mnie nienawidzą. Po co mam żyć?"

- Gosseyn, nie zabijaj się. Twoje trzecie ciało zostało zniszczone przez gang. Gosseyn, nie wytrzymam już dłużej. W ciągu pierwszej półgodziny strzelano do mnie normalnymi nabojami, ale teraz od czasu do czasu używają torped atomowych. Mam stalowy korpus zewnętrzny grubości trzydziestu metrów, ale przebito go już pięć razy torpedami, które wystrzelono z kierunku Wenus.

Gosseyn, nie możesz się zabić! Twoje trzecie ciało zniszczono. Musisz nauczyć się używać swego dodatkowego mózgu. Nie mogę ci w tym pomóc, ponieważ...

Trach!

Nastąpiła chwila przerwy, po czym:

- Proszę państwa, Maszyna Igrzysk została właśnie zniszczona bezpośrednim uderzeniem. Jej złośliwy, zdradziecki atak na pałac został...

Klik!

Już od kilku minut miał zamiar wyłączyć radio. Tylko mu przeszkadzało. Mówiło coś o... czymśtam... czym?

Znów leżał na łóżku i rozmyślał nad tym czymś. Coś o,., o... jest taki zmęczony... „Zabić się,.. Wszyscy mnie nienawidzą... jestem zrujnowany.... Po co mam żyć? Zabiję się..."

XXIII

Pierwszym świadomym wysiłkiem Gosseyna była próba poruszenia rękami. Nie mógł. Wydawało mu się, że na nich leży. Dziwna pozycja, pomyślał. Ogarnęło go lekkie rozdrażnienie, a po nim przeświadczenie, że będzie teraz musiał jeszcze bardziej rozbudzić się z hipnotycznego snu, aby się uwolnić.

Już miał to uczynić, kiedy przypomniał sobie, po co się znalazł w tym hotelowym pokoju. Z przymkniętymi oczami czekał, aż wzbierze w nim pragnienie śmierci. Jego napięty umysł podpowiadał mu, że najprostszym sposobem będzie chwycić leżący obok automat i palnąć sobie w łeb jednym prostym ruchem. Jednak impuls samobójczy nie przyszedł. Zamiast niego, gdzieś z głębi umysłu wychynęła radosna ufność, wszechogarniające poczucie zwycięstwa, pewność, że nikt nie jest w stanie go powstrzymać- Próbował otworzyć oczy, ale nie mógł. To środek hipnotyczny, pomyślał z przerażeniem. Działa jak lekarstwo na sen. Leżał tak jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, dlaczego czuje się tak radośnie, choć wciąż jest pod wpływem narkotyku. A potem pojawiło się nieprzyjemne wspomnienie - pamięć głośnych dźwięków i ciszy. Chyba wstał wtedy z łóżka. Czy to właśnie wtedy wyłączył odtwarzacz?

- Jestem pewna, że teraz sobie poradzisz - usłyszał kobiecy głos. - Narkotyk nie jest bardzo mocny.

Nieoczekiwane słowa poskutkowały. Gosseyn otworzył oczy. Jednocześnie dotarły do niego dwie rzeczy: po pierwsze, nie mógł ruszać rękami, ale nie dlatego, że na nich leżał, lecz dlatego, iż były skute kajdankami. A obok, na fotelu stojącym przy łóżku, siedziała Patricia Hardie i paliła papierosa. Gosseyn, który już prawie usiadł, opadł z powrotem na poduszki. Dziewczyna zaciągnęła się papierosem. Odezwała się po chwili, kiedy leniwa smuga dymu powędrowała już ku sufitowi.

- Skułam cię, ponieważ jesteś raczej władczym facetem, który bardzo chce się wszystkiego dowiedzieć - rzekła i roześmiała się.

Był to spokojny, swobodny, cudownie melodyjny śmiech. Zaskoczył Gosseyna, który ze zdumieniem stwierdził, że Patricia wygląda jakoś

inaczej. Znikła afektacja, ten nieodłączny atrybut neurotyzmu. Jej ładna twarz była delikatnie, subtelnie odmieniona. Jej uroda, wybitna, choć do tej pory nie rzucająca się w oczy, nabrała teraz nowej siły. Osobowość błyszczała jak płomień. Zawsze była chłodna, pewna siebie, ale teraz, w obliczu nowej dojrzałości, cechy te lśniły jeszcze wspanialej. Ładniutka, uparta dziewczyna jakimś niepojętym sposobem zmieniła się teraz w piękną, promieniejącą życiem kobietę.

- Chyba muszą przejść do sedna sprawy- mówiła.- Zaryzykowałam przyjście tutaj, ponieważ to, że wysłałeś deformator Maszynie, okazało się brzemienne w skutki. I coś *z tym* trzeba zrobić, jeszcze dziś.

Gosseyn z ogromną ulgą powitał przerwę, która nastąpiła po tych słowach. Jego umysł wciąż analizował słowa, które wypowiedziała wcześniej. „Chcesz się wszystkiego dowiedzieć".

To prawda, ale jaka była w tym wszystkim jej rola? Zdał sobie sprawę, że nie widzi żadnej przyczyny, usprawiedliwiającej jej obecność tutaj. Patricia Hardie powiedziała mu o wielu sprawach, ale nigdy nie odniósł wrażenia, ze i ona mogłaby odgrywać jakąś ważniejszą rolę w tym dramacie nie-A przeciw reszcie wszechświata. Obserwowała go uważnie, gdy zaczął zadawać pytania, wreszcie westchnęła:

- Nie powiem ci nic. Im więcej wiesz, tym bardziej jesteś niebezpieczny dla reszty. Poza tym nie mamy czasu.

- A, nie mamy czasu!- wykrzyknął Gosseyn z rozpaczą.-Obawiam się, że musimy go znaleźć. Pomyślmy... - ciągnął. - Zacznijmy od tego, co ma z tym wspólnego rodzina Hardie.

Młoda kobieta usiadła z przymkniętymi oczami. Nie otwierając ich, zaczęła mówić:

- Powiem ci tylko, że deformator wciąż znajduje się w posiadaniu Maszyny Igrzysk. A my musimy go odzyskać. To jedno z niewielu urządzeń galaktycznych, do jakiego mamy dostęp. Potrzebujemy go jako dowodu.

- Moja opinia na temat ludzi, którzy pozwalają na zajęcie dwóch planet bez jednego choćby ogólnego ostrzeżenia, jest tak marna, że trudno mi to nawet wyrazić...- Przerwał i zapytał nagle: - Jaki dowód? Na co?

Wydawało się, że tego nie usłyszała.

- Nie możesz nas sądzić zbyt surowo - odrzekła cicho. - Nie mogliśmy powstrzymać ataku, a ostrzeżenie tylko by go przyspieszyło. A poza tym, kogo tu ostrzegać? Wenus nie ma rządu, jej zaś organizacje śledcze, rządowe i sprawiedliwości są opanowane przez gang. Ostrzeżenie musiałoby mieć charakter ogólnoplanetarny, a my z Eldredem łamaliśmy sobie głowy, jak tego dokonać. Jedynym rozwiązaniem jest zbudowanie lepszej Maszyny, kiedy już to wszystko się skończy. Wiesz, to dałoby się zrobić. W Instytucie Semantyki wyprodukowano lampy do nowych, znacznie ulepszonych wykrywaczy kłamstw, które potrafią od jednego spojrzenia na ciało i umysł człowieka stwierdzić, jaki stopień szkolenia nie-A otrzymał. To wyeliminuje wątpliwej skuteczności igrzyska. Są także inne usprawnienia, które ustrzegłyby Maszynę przed tym typem zakłóceń, jakiemu została poddana.

Przerwała na chwilę, po czym ciągnęła dalej:

- Później, kiedy już odzyskasz deformator, powiem ci znacznie więcej. Teraz jednak słuchaj! W tym hotelu jest pewien młody człowiek, który ci pomoże. Nie jest moim agentem, ale dowiesz się o nim wszystkiego, kiedy przeczytasz list, który ci zostawię. To on, a nie ja, uratował cię po hipnozie. Pamiętaj, wprawdzie ja byłam tutaj na czas, aby uchronić cię od najgorszych skutków, ale on zrobił coś, czego ja nie zrobiłabym nigdy. Dzięki niemu, nikt inny nie wiedział, że jesteś w tym hotelu.

- I jeszcze jedno, Gilbercie Gosseyn. - Pochyliła się nad nim, a jej oczy miały delikatną, błękitną barwę. - Nie bądź zbyt niecierpliwy. Przyznaję, że zostałeś brutalnie wykorzystany, ale tylko dlatego, że działałeś jawnie. Pojawiłeś się w momencie największego kryzysu. Thorson był zdumiony, ale chyba nie miał zamiaru cię zabić. To był tylko wypadek. A potem pojawiłeś się w drugim ciele, najpierw w szpitalu Prescotta, a potem w drzewnym domu Eldreda Cranga. Oba te miejsca były kluczowe, jeśli chodzi o imperium galaktyczne.

Nie możesz sobie wyobrazić, jaki to był dla nas szok. Thorson zrobił się bardzo ostrożny. Po odkryciu natury twojego niewyszkolonego mózgu,

pozwolił się przekonać, aby cię uwolnić. Była to zasługa Eldreda, ale nie wiedzieliśmy, że Thorson zgodził się na to tylko dlatego, że jego ludzie byli już na tropie twojego trzeciego ciała. Wciąż nie wiemy, gdzie je znaleziono. Dla ciebie teraz najważniejsze jest, że trzecie ciało zostało zniszczone i że znów jesteś poszukiwany.

- Teraz, kiedy moje trzecie ciało... co? - zapytał Gosseyn.

- Czy to znaczy, że nie wiedziałeś?- szepnęła bez tchu.- Nie miałeś pojęcia, co się dzieje? - Szybko się opanowała. - Nie mam czasu ci tłumaczyć. Przeczytaj sobie - wstała. - Pamiętaj, zabierz deformator do młodzieńca, który mieszka na dole. Spotkamy się tam jutro.

Gorączkowo grzebiąc w torebce, znalazła wreszcie klucz i rzuciła na łóżko.

- To od kajdanków - wyjaśniła. - Do zobaczenia, i życzę ci szczęścia.

Drzwi zamknęły się za nią.

Gosseyn zdjął kajdanki, usiadł wygodnie na skraju łóżka, myśląc: „Co ona miała na myśli?". Przypomniał sobie, że wspomniała o jakimś liście. Ogarnął pomieszczenie zdumionym wzrokiem, aż dostrzegł biurko stojące po prawej stronie łóżka, za jego plecami. Leżała na nim gazeta, a obok niej arkusz białego papieru. Gosseyn przeskoczył przez łóżko, aby go dosięgnąć.

Szanowny panie Gosseyn - czytał w zamyślenia - *Kiedy usłyszałem wiadomości, wiedziałem, że będą Pana szukać. Natychmiast zniszczyłem kartę, na której odnotowana została Pańska obecność w hotelu i zamieniłem ją na inną, według której w pokoju 974 mieszka człowiek o pierwszym nazwisku, jakie przyszło mi na myśl-John Wentworth.*

Potem, gdy skończyłem służbę, wszedłem do Pańskiego pokoju, używając wytrycha i znalazłem Pana na łóżku z włączonym nagraniem. Wyłączyłem je i zastąpiłem innym, własnym, które miale zneutralizować nastrajające działanie poprzedniego nagrania.

To nagranie także wyłączyłem, kiedy przyszedłem po rac ostatni zajrzeć do Pana, ponieważ wiem, że nadmiar optymizmu może zawrócić komuś w głowie. Mam nadzieję, że udało mi się utrzymać równowagę,

gdyż czekająca Pana walka będzie wymagała od Pana pełni władz umysłowych.

Pisze to człowiek, który zamierzał spróbować szczęścia w igrzyskach w przyszłym roku, a teraz oddaje się całkowicie do Pańskiej dyspozycji i ośmiela się podpisać

z najlepszymi życzeniami
Dan Lyttle

PS. Przyjdę do Pana znowu po dyżurze, o północy. Na rasie proszę przeczytać poranną gazetę. Zrozumie Pan, o czym mówię.

Gosseyn sięgnął po gazetę i rozłożył ją na łóżku. Od razu skoczyły mu do oczu dziesięciocentymetrowe litery nagłówka: „Maszyna Igrzysk zniszczona".

Drżąc z podniecenia, czytał, przeskakując wzrokiem od akapitu do akapitu.

... *Wystrzelone w kierunku pałacu i... jednocześnie ogłoszony alarm o tajemniczym ataku na... Wenus. (Żaden atak... nie nastąpił. Patrz raport Centrali Radiowej, strona 3). Władze zdecydowały... bezsensowne... wkrótce po zamordowaniu prezydenta Hardiego... dowody łączące Maszynę... należycie zniszczone...*

Przez godzinę... Maszyna nadawała... niezrozumiały komunikat skierowany do Gilberta Gosseyna, którego zdjęcie zamieszczamy poniżej na... tej stronie... niedawno oczyszczony z zarzutów... zostanie zatrzymany w celu udzielenia dalszych wyjaśnień. Aresztować natychmiast...

W miarę czytania Gosseyn przypominał sobie, sekunda po sekundzie, co Maszyna mówiła przez radio. Teraz, z trudem przełykając ślinę, oglądał swoje zdjęcie. Ukazywało ono jedynie twarz, i była to rzeczywiście jego twarz, ale coś z nią było nie w porządku. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, co to takiego. Zrobili zdjęcie martwego ciała Gilberta

Gosseyna I.

Ogarnęło go ponure rozbawienie. Odłożył gazetę i, zataczając się, podszedł do fotela. Omal nie popełnił samobójstwa. Był tak blisko odebrania sobie życia, że czuł się tak, jakby zrobił to naprawdę, a teraz zmartwychwstał. Co miała na myśli Maszyna, nakazując mu popełnić samobójstwo, a następnie odwołując rozkaz, ponieważ „trzecie ciało zostało zniszczone"? Przecież ciało Gilberta Gosseyna III musiało być najbardziej strzeżoną i chronioną przed odkryciem materią organiczną na świecie! W końcu gniew go opuścił. Trzeźwo analizował sytuację.

„Najpierw muszę odzyskać deformator - pomyślał. - A potem nauczę się korzystać z mojego dodatkowego mózgu".

A czy to drugie w ogóle jest możliwe? Czy może dokonać tego sam - on, który tyle razy myślał o tym i myślał, nie powodując najmniejszej nawet reakcji tej szczególnej cząstki umysłu? Zmusił się do ironicznego uśmiechu. Nie będę się teraz zagłębiał w takie rozważania, zdecydował. Musi przedtem zrobić kilka innych rzeczy. Odłączył ekran wideofonu - na dyżurze mógł być teraz ktoś inny -i wezwał recepcję. Odezwał się sympatyczny głos.

- Mówi John Wentworth - przedstawił się Gosseyn. Po drogiej stronie zapadła cisza.

- Tak jest, proszę pana. Czy wszystko w porządku? Mówi Dań Lyttle. Zaraz przyjdę.

Gosseyn czekał niecierpliwie. Pamiętał rejestrującego go recepcjonistę jako smukłego, wysokiego chłopaka o miłej twarzy i ciemnych włosach. Lyttle był cokolwiek szczuplejszy niż go pamiętał Gosseyn i za delikatny jak na trudne zadanie, wyznaczone mu przez Patricię Hardie. Wykazywał jednak pewne cechy szkolenia nie-A, zwłaszcza stanowczy wyraz twarzy i sposób, w jaki się trzymał.

- Muszę się spieszyć - oznajmił. Gosseyn zmarszczył czoło.

- Obawiam się, że przyszedł czas na szczególne ryzyko-mruknął. - Myślę, że postarają się, aby zniszczona Maszyna szybko zniknęła z powierzchni Ziemi. Gdybym chciał bardzo szybko się jej pozbyć, ogłosiłbym, że każdy może brać, co chce, byle wziął to natychmiast

Stwierdził nagle, że Dań Lyttle gapi się na niego wytrzeszczonymi oczami.

- Ależ oni właśnie tak zrobili - szepnął bez tchu. - Skierowali na nią mnóstwo reflektorów i podobno jednej ósmej Maszyny już nie ma, i... co się stało?

Gosseyna ogarnęło przerażenie. Maszyny już nie ma, a to, co sobą reprezentowała, znikało z godziny na godzinę. Jak katedry i świątynie z dawnych czasów, stanowiła produkt twórczego impulsu, pragnienia doskonałości, które, choć nieśmiertelne, nigdy się nie powtórzy w taki sam sposób. Jednym ciosem zniszczono wiele stuleci niezastąpionych wspomnień. Z wielkim wysiłkiem usunął z umysłu przywołane obrazy i uczucia.

- Nie ma czasu - rzekł szybko. - Jeśli deformator wciąż jeszcze jest w Maszynie, musimy go zabrać. Trzeba natychmiast iść po niego.

- Muszę tu zostać do pomocy - powiedział Lyttle. - Kazano nam pozostać na naszych stanowiskach, a wszystkie hotele są objęte obserwacją.

- A twój robokar... o ile go masz?

- Jest zaparkowany na dachu, ale błagam, niech pan tam po mego nie idzie - szepnął Lyttle gwałtownie. - Zostanie pan natychmiast aresztowany.

Gosseyn zawahał się. Uświadomił sobie nagle, że teraz tak łatwo z niego nie zrezygnują. Wreszcie niechętnie skinął głową, przyznając się do porażki.

- Lepiej wracaj do pracy - rzekł cicho. - Mamy pięć godzin czekania.

Lyttle ulotnił się równie cicho, jak się zjawił.

XXIV

Po wyjściu Lyttle'a, Gosseyn zamówił kolację do pokoju. Czekając na jej dostarczenie, zaplanował sobie cały wieczór. Najpierw załatwił pewien telefon.

- Proszę o połączenie wizualne z najbliższą biblioteką- rzekł do mikrofonu. - Podaję numer...

Wyjaśnił swoje wymagania dyżurnemu robotowi bibliotecznemu. W ciągu minuty na podłączonym znów ekranie pojawił się, obraz. Gosseyn zabrał się za potrawy, które mu przyniesiono, a jednocześnie słuchał i patrzył. Wiedział, czego chce - potrzebował podpowiedzi, jak rozpocząć trening swojego dodatkowego mózgu. Nie był pewien, czy to pragnienie miało coś wspólnego z tematem, jaki wybrał mu bibliotekarz. Zmusił się do cierpliwości. Kiedy glos zaczął wyjaśniać negatywne i pozytywne bodźce nerwowe, jakim podlegają najprostsze formy morskiego życia, Gosseyn wygodnie rozsiadł się w fotelu. Miał przed sobą cały wieczór.

Zdanie po zdaniu docierało do niego, przenikało go, kiedy przetwarzał je w głowie, a potem odpływało w niebyt, kiedy je odrzucał. Głos objaśniał rozwój układu nerwowego stworzeń żyjących *m. Ziemi,* obrazy na wideo zmieniały się, ukazując coraz bardzie} skomplikowane połączenia nerwowe, aż do momentu osiągnięcia stosunkowo wysokiego stopnia rozwoju w postaci dość złożonych form życiowych, zdolnych do nauki poprzez doświadczenie. Robak dwieście razy natykał się na prąd elektryczny, zanim wreszcie się odwrócił, ale w drugiej serii prób zawrócił już po sześćdziesięciu udarach. Szczupak oddzielony od[1] płotki niewidzialnym ekranem omal się nie zabił, próbując dosięgnąć ofiary, a kiedy wreszcie przekonał się, że nie da rady tego uczynić, usunięcie ekranu nie zmieniło sytuacji -szczupak ignorował płotkę jako coś nieosiągalnego. Świnia zwariowała, kiedy postawiono ją na skomplikowanej ścieżce wiodącej do karmy.

Każde z tych doświadczeń pokazano na ekranie. Robak, potem szczupak wściekle atakujący ekran, dziko kwicząca świnia, wreszcie kot, pies, kojot i małpa poddawane kolejnym eksperymentom. Wciąż jednak nie

zostało powiedziane nic, co mogłoby pomóc Gosseynowi. Żadnej sugestii, żadnego porównania, które miałoby coś wspólnego z *tym,* czego potrzebował.

- A teraz - odezwał się głos - zanim przejdziemy do mózgu ludzkiego, należy odnotować, iż w przypadku wszystkich tych zwierząt zauważyć się dało jedno, niezmiennie powtarzające się ograniczenie. Wszystkie one bez wyjątku ustalały swój sposób zachowania na podstawie niewystarczających danych. Szczupak, nawet po usunięciu ekranu, w dalszym ciągu oceniał swoje otoczenie na podstawie bólu, odczuwanego przy zderzeniu z ekranem, kiedy jeszcze się tam znajdował. Kojot nie potrafił odróżnić człowieka *z* karabinem od człowieka z kamerą.

W każdym z tych przypadków obiekty eksperymentów postrzegały nie istniejące podobieństwa. W zamierzchłych czasach umysł ludzki zaczynał mgliście rozumieć, że człowiek jest czymś więcej niż zwierzę, lecz historia ta rozgrywała się na tle zachowań zwierzęcych, zakorzenionych w wąskim, zwierzęcym wzorcu. Z drugiej strony, historia nie-A jest historią walki człowieka o wyszkolenie swego mózgu tak, aby rozróżniał pozornie podobne obiekty-zdarzenia w czasoprzestrzeni. Ciekawe, iż eksperymenty naukowe tego okresu oświecenia wykazują zwiększającą się skłonność do dalszego wprowadzania podobieństw w metodzie, czasie i strukturze stosowanych materiałów. Doprawdy, można właściwie powiedzieć, że nauka dąży do narzucenia podobieństwa, ponieważ tylko wówczas...

Gosseyn słuchał niecierpliwie, czekając, aż rozpocznie się omawianie ludzkiego mózgu. I nagle, ni stąd, ni zowąd, pomyślał: Co to było? Co to było?

Musiał przytrzymać się fotela, odprężyć, przypomnieć. Dopiero wtedy, nie wcześniej, pozwolił sobie wstać i ruszył wokół pokoju, aż płonąc podnieceniem w obliczu ogromnego odkrycia, jakiego dokonał. Wymuszenie większego podobieństwa. A cóż by innego? A metoda wymuszenia musiała przechodzić przez pamięć.

Doskonała pamięć jest w istocie odtworzeniem w umyśle wydarzenia dokładnie tak, jak zostało ono uprzednio zarejestrowane. Czyli mózg może powtarzać tylko swoje własne spostrzeżenia. Tego, czego nie zdołał

zapamiętać, nie zdoła także upodobnić. Zastosowanie ma zatem zasada abstrakcji semantyki ogólnej. Abstrakcja percepcji.

W zasadzie chodzi więc o większą świadomość tego, co tworzy tożsamość danej osoby: pamięć zmagazynowana w mózgu i całym jego ciele. Im bardziej dąży się ku pamięci doskonałej, tym wyraźniejszą indywidualnością się stanie.

.. .Cóż jeszcze? Nie ma żadnej innej możliwości, która oferowałaby tak logiczną ciągłość rozwoju idei nie-A. Kiedy jednak już to osiągnie, co z tego będzie miał?

Nagle uświadomił sobie gdzieś w oddali tykanie zegara. Spojrzał i westchnął z podnieceniem, zdając sobie sprawę, że oto nadszedł czas działania.

Północ.

XXV

Setki stojących aut, poruszających się sylwetek, snopy światła, odległy blask, zamęt Po zaparkowaniu samochodu kilkaset metrów od centralnego światła, Gosseyn i Lyttle stanęli w prawie kilometrowej kolejce. Wreszcie doszli do miejsca, gdzie tłoczyła się gromada gapiów. I tutaj zaczynała się najtrudniejsza część zadania. Nawet nie-A nie byłoby łatwo uznać, że każdy człowiek w tej żywej barierze o szerokości pięciuset metrów jest oddzielną istotą, obdarzoną własną osobowością i wolą.

Tłum na zmianę kołysał się lub stał nieruchomo. Rządziły nim irracjonalne impulsy, każdy stanowił jakby małą kulkę śniegu, staczającą się z góry i dającą początek lawinie. Rozlegały się okrzyki gniecionych ludzi, wrzaski, gdy jakiś nieszczęśnik tracił oparcie dla stóp i upadał. Tłum był jak bezduszna kobieta - wspinał się na palce, obserwując bezmyślnie tych, którzy paśli się na zniszczonym symbolu zdrowego rozsądku świata.

W górze krążył rój roboplanów, ciężkich od łupów. Ale nie to było najgorsze. Gdyby używano jedynie roboplanów, niebezpieczeństwo byłoby minimalne. Wykorzystywano jednak również ciężarówki - całe rzędy ciężarówek o oślepiających światłach, prowadzonych z oszałamiającą prędkością wprost na skraj tłumów, które w każdej chwili groziły wylaniem się na drogi. Przerażony, wstrząśnięty motłoch zwijał się i cofał.

Gosseyn i Lyttle powoli przedzierali się przez ścieżkę wiodącą ku maszynie. Musieli uważać na przerwy w sznurach ciężarówek, na luki w masie istot ludzkich, ku którym mogliby biec w desperackiej nadziei, że przestrzeń się nie wypełni, zanim do niej dotrą. Mimo to Gosseyn nie był zaskoczony, że mogą posuwać się do przodu. Istniało jakieś niezwykłe prawo psychologiczne, które chroniło ludzi posiadających cel przed tymi, którzy takiego celu nie mieli. Należało jedynie pamiętać, aby nie wywołać złości tłumu. Raz, kiedy zostali zahamowani przez nie kończący się sznur rozpędzonych samochodów ciężarowych, Gosseyn krzyknął:

- To jest droga prowadząca do miasta! Na wzgórzach po drugiej stronie pewnie ich w ogóle nie będzie! Odchodząc stąd wyjdziemy,

przepchniemy się na wzgórza i obejdziemy ten tłum, żeby się dostać do twojego samochodu.

Dotarli do stalowej siatki, którą ustawił przedsiębiorczy personel prowadzący rozbiórkę, by stawić czoło naciskowi tłumu. Była to wystarczająca ochrona, a pojedynczy odważni, którzy wspinali się na nią, szybko się cofali na widok groźnej broni strażników stojących w grupkach po drugiej stronie ogrodzenia, jak żołnierze w imieniu prawa strzegący własności przed wandalami.

- Trzymaj się blisko drogi! - krzyknął Gosseyn. - Będą się bali strzelać do ciężarówek!

Gdy tylko wyrwali się na otwartą przestrzeń, strażnicy ruszyli ku nim, krzycząc coś, co zginęło w ogólnym rozgardiaszu. Pulsujące światło rzucało karykaturalne cienie na ich wykrzywione twarze. Padli jak mechaniczne manekiny, kiedy Gosseyn ich zastrzelił. Zaskoczony własną reakcją, pobiegł za Lyttle'em. On, który tyle razy wzdragał się przed zabijaniem, teraz nie miał litości. Strażnicy byli dla niego symbolami zniszczenia. Przyjmując nieludzkie cechy, stawali się barbarzyńskimi istotami, które należy zniszczyć jak atakujące zwierzęta i natychmiast o nich zapomnieć. Zapomniał. Przed nim znajdowały się szczątki Maszyny Igrzysk.

Przez wiele godzin Gosseyn wiązał swoje nadzieje z pewnym prawem logiki. Prawem, które głosiło, że budowana przez lata konstrukcja nie może być rozebrana w ciągu dwudziestu czterech godzin. A teraz okazało się, że może się tak zdarzyć. Torpedy zniszczyły korpus Maszyny. Zewnętrzny pierścień pomieszczeń dla graczy był już tylko kręgiem zapadniętych jam, jakby zapadł się pod wpływem fantastycznego ciśnienia powietrza. I wszędzie w lśniących, wyszczerbionych teraz ścianach ziały ogromne dziury. Czarne, wystrzępione otwory obnażały rozdarte masy przewodów i przyrządów błyszczących w migotliwym świetle - zewnętrzną część układu nerwowego martwej Maszyny.

Stojąc tam, Gosseyn po raz pierwszy pomyślał o Maszynie jak o wysoko rozwiniętym organizmie, który żył i został zabity. Czymże jest inteligentne życie, jeśli nie świadomością, jaką posiada układ nerwowy obdarzony pamięcią? W całej znanej człowiekowi historii, nie było drugiego

organizmu o takim doświadczeniu i pamięci, tak ogromnej wiedzy o istotach ludzkich, jak Maszyna Igrzysk. Gdzieś, w zakamarkach umysłu usłyszał nagle głos Dana Lyttle:

- Chodź! Nie możemy czekać!

Gosseyn zrozumiał, że Lyttle ma rację, i ruszył. Jednak szło tylko jego ciało. Umysł i oczy skierowane były na Maszynę. Z bliska rozmiar szkód spowodowanych grabieżą był bardziej widoczny. Całe sekcje zostały rozprute, były rozpruwane lub czekały na rozprucie. Ludzie, obładowani aparatami, płytami metalu i przyrządami, roili się w ciemnym korytarzu. Ich widok zaskoczył Gosseyna; po raz kolejny zdał sobie sprawę, że jest świadkiem zmierzchu epoki.

Lyttle pociągnął go za ramię. Ruch ten zgalwanizował Gosseyna tak, jak nie dokonałyby tego żadne słowa. Pobiegł naprzód, unikając świateł samochodów i samolotów,! blasku latarń, które zwisały z każdego występu dość mocnego, by utrzymać reflektor z atomowym zasilaniem.

- Dookoła i na tył - polecił Gosseyn i pobiegł przodem pod zwisający płat metalu, pod którym przedtem zniknął wózek wiozący deformator. W miarę jak posuwali się naprzód, hałas się zmniejszał. Nie było tu też tylu ciężarówek, roboplanów i ludzi, chociaż i tak panował tu ogromny ruch. Syk palników, brzęk spadającego metalu, zamieszanie - wszystko było takie same jak na zewnątrz, lecz w mniejszym natężeniu. Na każdą setkę ludzi i samochodów przed Maszyną, tu był ich tuzin. Pracowali jednak równie zawzięcie, równie ciężko, widocznie wiedząc, że zagarnięcie ich łatwych łupów przez tłum jest tylko kwestią czasu. A jednak hałas był tu mniejszy. Gosseyn i Lyttle dotarli do załomu korytarza, za którym zniknął deformator, i zobaczyli zaledwie kilkanaście ciężarówek podstawionych pod platformę załadowczą. W ścianie ogromnego, podobnego do magazynu pomieszczenia wycięto drzwi i teraz ludzie wynosili z jego mrocznego wnętrza skrzynie, maszyny, kawałki metalu i przyrządy.

Magazyn był prawie pusty. Skrzynia zawierająca deformator stała w pewnym oddaleniu, jakby czekając na nich. Wypisano na niej wielkimi literami adres przeznaczenia:

WYDZIAŁ BADAWCZY

INSTYTUT SEMANTYKI

PLAC KORZYBSKIEGO

MIASTO

Ten adres w umyśle Gosseyna dał początek całemu łańcuchowi skojarzeń. Zgodnie z prawem Maszyna należała do Instytutu. Skoro wiedziała aż tyle, może ludzie z Instytutu wiedzieli jeszcze więcej. Warto było sprawdzić tę hipotezę, i to jak najszybciej.

Wyszli na dwór. Panowała tu ciemność. W miarę, jak oddalali się od magazynu, hałas cichł, a światła znikały za szczytem wysokiego wzgórza. Dotarli do samochodu i wkrótce znaleźli się na podjeździe schludnego domku Dana. Gosseyn mniej lub bardziej świadomie spodziewał się, że będzie tu na niego czekała Patricia Hardie, ale rozczarował się.

Wyjmując deformator ze skrzyni odczuł podniecenie, które do pewnego stopnia stłumiło zawód, spowodowany nieobecnością Patricii. Położyli deformator na podłodze i usiedli, wpatrując się w niego. Jasny, podobny do stali, ale obcy metal - niszczyciel światów! Dzięki niemu agend imperium galaktycznego dotarli do najwyższych stanowisk na Ziemi i długo, och, o wiele za długo pozostawali tam niewykryci. A teraz, kiedy udało mu się zdobyć deformator, dzień ten okazał się jednym z końcowych etapów kryzysu nie-A.

Uwolniona Maszyna Igrzysk zaczęła rozpowszechniać prawdę o wojnie na Wenus, sprowadzając ją tym samym na Ziemię. Siły najeźdźców i nie-A wkroczyły do akcji, lub wkrótce miały to uczynić. Gosseyn poczuł, że ogarnia go rozpacz. Logika podpowiadała, że walka już jest przegrana. Kątem oka zobaczył, że Lyttle jest zmęczony. Głowa młodzieńca zaczynała opadać, ale kiedy pochwycił spojrzenie przyglądającego mu się Gosseyna, uśmiechnął się blado.

- Byłem wczoraj taki zdenerwowany - wyznał - że nie zmrużyłem oka. Chciałem kupić sobie pigułki pobudzające, ale zapomniałem.

- Więc połóż się i prześpij, jeśli możesz - odrzekł Gosseyn.

- Przespać to, co ma pan zamiar zrobić? Nigdy w życiu! Gosseyn

uśmiechnął się. Wyjaśnił, że zamierza dokładnie obejrzeć deformator.

- Po pierwsze, chcę zlokalizować jego źródło zasilania. Dzięki temu uzyskamy możliwość włączania go i wyłączania. Będę potrzebował rożnych przyrządów, a samo badanie także zajmie trochę czasu. Pokaż mi, gdzie trzymasz przyrządy, na których uczyłeś się fizyki nie-A, a potem możesz spokojnie iść spać.

Po chwili był już sam. Nie spieszył się. Od samego początku działał z oszałamiającą szybkością i do niczego nie doszedł. Świat nie-A, który chciał ocalić, walił się, nie, legł w gruzach wokół niego.

Czego jednak spodziewał się po tym badaniu? Jakiejś wskazówki. Jakiegoś klucza, który pozwoliłby mu posługiwać się przyrządem. Patricia mówiła, że jego stosowanie jest zakazane, prawdopodobnie przez mało ważną organizację zwaną Ligą Galaktyczną, ale wspomniała, że wolno go było wykorzystywać w transporcie. Co to mogło znaczyć? Instrumentami należącymi do Lyttle'a zaczął regulować przyrząd, od czasu do czasu zaglądając przez wziernik. I nagle zobaczył wnętrze deformatora.

Pierwszą obserwację upraszczał fakt, że nie mógł zajrzeć do lamp. Pomijając ich skomplikowaną budowę, problem rozszyfrowania organizacji schematu deformatora sprowadzał się do prześledzenia systemu połączeń. Nie musiał wgłębiać się zbyt daleko, gdyż zasilanie było włączone. Od początku przyjął za pewnik, że Maszyna wyłączy przyrząd. Potrzebował aż dziesięciu minut, żeby się przekonać, że nie ma sposobu, by wyłączyć zasilanie. Deformator działał, i tak musiało pozostać. Maszyna Igrzysk zastosowała oczywiście próbniki energii, które mogły doprowadzić do zwarcia w układzie nawet przez metalową powłokę, ale on, Gilbert Gosseyn, nie miał takiej możliwości i tym samym utknął w martwym punkcie. Ponieważ jednak obiecał Lyttle'owi, że nie zrobi niczego sam, postanowił się przespać. Być może Patricia tu przyjdzie zanim się obudzi.

Nie przyjechała. Dom był pusty. Było wpół do piątej po południu i Gosseyn był całkiem sam, jeśli nie liczyć deformatora. Na stole kuchennym leżał Ust od Dana, który pisał, że poszedł do pracy, ale zostawia Gosseynowi samochód. Ust kończył się słowami: ... *których radio określa „morderczym elementem " zaczynają sabotować „pokojową produkcję " i*

muszą zostać „ bezlitośnie " zniszczeni przez siły „prawa i porządku".

Lodówka jest pełna. Wrócą o wpół do pierwszej.
Dan Lyttle.

Po posiłku Gosseyn przeszedł do salonu i znów wpatrzył się w deformator. Był zdenerwowany. Siedzę tu, myślał, w domu, gdzie mogą mnie pojmać. W mieście są co najmniej dwie osoby, które wiedzą, gdzie się ukryłem.

Nie znaczyło to, że nie ufa Patricii i Lyttle'owi. Po rozważeniu minionych wydarzeń uznał, że oboje są po jego stronie. Niepokoiło go jednak to, że jego życie zależy od działań innych ludzi. I nie była to wyłącznie kwestia zaufania. Przypuśćmy jednak, że coś pójdzie nie tak, jak trzeba. Załóżmy, że teraz, w tej samej minucie, ktoś wydobywa z Patricii informacje o miejscu jego pobytu i o deformatorze.

Mógł wyjść dopiero po zapadnięciu zmroku. Pozostawał jedynie deformator. Niezdecydowanie przyklęknął obok niego i, ostrożnie wyciągając rękę, dotknął najbliższej lampy. Sam nie więdnął, czego się spodziewać. Był jednak przygotowany na szok. Lampa była ciepła w dotyku. Gosseyn przez moment gładził ją czubkami palców, rozgoryczony i zirytowany własną ostrożnością. Jeśli będę musiał szybko uciekać, pomyślał, po prostu złapię garść lamp i zabiorę ze sobą.

Wstał. Daję Patricii czas do zmroku, postanowił. Zawahał się, znów marszcząc brwi. Może lepiej wyjąć te lampy już teraz. Może nie będzie to takie łatwe.

Usiadł i znów badał deformator skanerem, kiedy zadzwonił telefon. To był Lyttle. Głos drżał mu z podniecenia.

- Dzwonię z automatu. Właśnie widziałem najnowsze gazety. Piszą, że Patricia Hardie została aresztowana półtorej godziny temu za... niech pan słucha, to potworne... za zamordowanie własnego ojca. Panie Wentworth - głos Lyttle'a zabrzmiał dziwnie nieśmiało - ile czasu trzeba, aby zmusić nie-A do mówienia?

- To zależy od odporności danej osoby - odparł Gosseyn. Był

lodowato spokojny, jego umysł przypominał stalowy pręt, który, uderzony z całej siły, wibruje w odpowiedzi na uderzenie. Thorson prowadził bezlitosną grę. Po chwili odzyskał głos. - Posłuchaj - kontynuował. - Musisz sam zdecydować, czy chcesz zostać w pracy aż do pomocy, czy nie. Jeśli znasz miejsce, gdzie możesz się ukryć, idź tam natychmiast. Jeśli chcesz tu wrócić, zrób to, ale ostrożnie. Nie wiem jeszcze, czy zostawię tu deformator. Wyjmę z niego kilka lamp i pójdę... nieważne, gdzie. Szukaj w gazecie ogłoszeń podpisanych „Nieostrożny" i „Gość". I dziękuję za wszystko, Dań. - Czekał przez chwilę, ale gdy nie usłyszał odpowiedzi, odłożył słuchawkę.

Ruszył do deformatora. Narożna lampa wystawała, podobnie jak inne, o jakieś trzy centymetry ponad powierzchnię metalu. Chwycił ją i pociągnął, powoli zwiększając siłę. Lampa nawet nie drgnęła. Wobec tego pchnął, zamiast ciągnąć. Prawdopodobnie lampa miała zacisk, który należało zwolnić. Lampa zaskoczyła z kliknięciem. Gosseyn poczuł, jak ogarnia go nagłe, gwałtowne napięcie. Pokój zafalował - jego zdumieniu towarzyszyła pełna świadomość, a odpowiedź, zrozumienie tego, co się dzieje, było równie oczywiste -zafalował, zawibrował i zaczął drgać każdą swoją cząsteczką. Drżał jak odbicie w kryształowo czystej tafli wody, do której z całej siły wrzucono kamień.

Zaczął odczuwać ból głowy. Macał palcami w poszukiwaniu lampy, ale nie był w stanie jej zobaczyć. Zamknął na chwilę oczy, niewiele to jednak pomogło. Lampa parzyła mu palce, kiedy próbował ją wyciągnąć do poprzedniego położenia. Musiał na chwilę stracić przytomność, ponieważ zachwiał się i upadł w przód, uderzając w deformator. Ogarnęło go dziwne uczucie lekkości.

Zaskoczony, otworzył oczy. Leżał na boku, w kompletnej ciemności, nozdrza wypełniał mu przepyszny zapach rosnących drzew. Był to znajomy, ciężki zapach, ale Gosseyn potrzebował dłuższej chwili, aby dokonać ogromnego przeskoku umysłowego niezbędnego, by objąć jego namacalność. Był to ten sam zapach, który otoczył go w czasie daremnej podróży w głąb drzewnego tunelu za domem Cranga na Wenus.

Chwiejnie stanął na nogi i omal nie upadł znowu, gdy potknął się o

coś metalicznego. Namacał jedną ścianę, łukiem zakrzywiającą się ku górze, potem drugą, taką samą. I już nie miał wątpliwości. Znajdował się w tunelu w korzeniach gigantycznego wenusjańskiego drzewa.

XXVI

Niemniej jednak wszechogarniający głód bezkrytycznego umysłu,
pożądającego czegoś, co w jego wyobrażeniu jest pewnością
bądź skończonością, sprawia, że umysł ten karmi się cieniami.
E.T.B.

Wybuch energii, który sprawił, że znalazł w sobie dość sił, aby sprawdzić, gdzie jest, teraz zanikł. Gosseyn ciężko usiadł aa ziemi. Nie było to działanie zgodne z jego wolą, ale ręce mu drżały, a kolana uginały się pod ciężarem ciała.

Zauważył już, że otacza go ciemność. Teraz jednak odczuł to z nową siłą. Ciemność! Bezcienista, nieustępliwa ciemność. Wciskała się w jego oczy i w mózg. Czuł nacisk ubrania aa ciele, drewnianą podłogę pod stopami. Ale w mroku te uczucia mogły być nierealnymi wrażeniami bezcielesnej istoty. W tak nieskończonej czerni substancja, obojętne, ludzka czy nieludzka, była określeniem bez znaczenia.

- Mogę wytrzymać dwa tygodnie beż jedzenia-rzekł do siebie Gosseyn - i trzy dni bez wody.

Stwierdził, że nie utracił nadziei aż do tego stopnia, mimo iż pamiętał o nie kończących się kilometrach mrocznych tuneli. Na pewno nie wycelowali lampy deformatora w przypadkowy punkt wenusjańskiego tunelu drzewnego. Musi on znajdować się w pobliżu czegoś szczególnego, łatwo dostępnego z miejsca, gdzie teraz się znajduje.

Już chciał znowu wstać, kiedy po raz pierwszy dotarł do niego ogrom tego,, co się stało. Kilka minut temu był na Ziemi. Teraz jest na Wenus.

Co takiego powiedział Prescott? , Jeśli dwie fale energetyczne zostaną dostrojone z dokładnością do dwudziestego miejsca po przecinku, większa wypełni szczelinę przestrzeni między nimi tak, jakby tej szczeliny w ogóle nie było, choć samo połączenie odbywa się ze skończoną prędkością".

Wspomniana prędkość skończona musiała jednak być nieskończona, gdy chodziło o odległości międzygwiezdne. Gosseyn poczuł się nieco lepiej. Deformator dostroił wysoko zorganizowany składnik energii jego

ciała do tego niewielkiego wycinka tunelu drzewnego i „większy" wypełnił przestrzeń do „mniejszego".

W końcu jestem na Wenus - tam, gdzie chciałem się znaleźć, pomyślał. To go podniosło na duchu. Pomimo wszystkich błędów ciągle jeszcze żył, wciąż szedł naprzód. Wiedział o wielu rzeczach, a to, czego nie wiedział, nagle wydało mu się w zasięgu ręki. Musiał tylko uważniej popatrzeć, dokonać jeszcze kilku abstrakcji od rzeczywistości, uściślić swoje obserwacje o kolejne miejsca dziesiętne, a wtedy zasłona uchyli się, ukazując tajemnicę zmysłom. Konsekwencje wypływające z tych rozważań były na tyle poważne, że uruchomiły w jego umyśle „pauzę" integracji. Poczuł się jeszcze spokojniejszy.

Przypomniał sobie kawałek metalu, o który się potknął, gdy przedtem próbował wstać. Nawet w ciemności odnalazł go w ciągu kilku sekund, lak, jak się właściwie spodziewał, był to deformator. Jego palce ostrożnie błąkały się wokół każdej z narożnych lamp. Czwarta lampa wciąż była wysunięta. Gosseyn zawahał się. Deformator został nastawiony przez ludzi, którzy mieli własne cele i udawali się w jakieś konkretne miejsce. Niektóre z lamp były przeznaczone do zakłócania pracy Maszyny Igrzysk, ale kilka z nich zapewne mogłoby go przenieść do innych części Układu Słonecznego, być może nawet do kluczowych ośrodków działalności gangu: wojskowej kwatery głównej, tajnej bazy galaktycznej, czy magazynu torped atomowych.

Zaskoczyła go ta gama możliwości. Nie mógł ich jednak teraz zbadać. Nie był to czas na podejmowanie ryzyka, ani na eksperymenty. Im szybciej się stąd wyniesie, tym lepiej.

Ochoczo chwycił deformator i ruszył w ciemność.

Pójdę tysiąc kroków w jednym kierunku, a potem zawrócę i pójdę tysiąc kroków w drugą stronę, zdecydował. Taki manewr powinien doprowadzić go do siedziby gangu. Deformator na pewno był ustawiony tak, by lądowało się w jej pobliżu.

Po przejściu trzystu kroków natrafił na zakręt, za którym ujrzał przebłysk światła. Minął jeszcze trzy zakręty, a mimo to nie zbliżył się do źródła tego światła, choć było jasne i dobrze widoczne. Gosseyn widział

jednak na tle jasnej plamy zarys krat. Odłożył deformator.

Ostrożnie posuwał się do przodu. W ostatnim momencie opadł na kolana. W chwilę potem spoglądał już przez pręty ogrodzenia. Poniżej znajdowała się metalowa przepaść. Metal lśnił blado w blasku dziesiątek atomowych lamp, jarzących się w równych odstępach na bezkresnych, zakrzywionych w dół ścianach. Rozpadlina miała trzy kilometry długości, półtora szerokości i około ośmiuset metrów głębokości. W jej odległym końcu, zajmując połowę wolnej przestrzeni, znajdował się statek. Statek, o jakim Ziemianie mogli marzyć jedynie w swych najśmielszych wyobrażeniach o podróży kosmicznej. Konstruktorzy statków kosmicznych, szczęśliwi po wielu tygodniach ślęczenia nad planami trzydziestometrowych statków, mogliby po powrocie do domu opowiadać swoim żonom: „A teraz przeskoczę pięćset lat, zatrudnię milion kreślarzy i zacznę rysować plany prawdziwego statku międzygwiezdnego o długości trzech kilometrów".

Statek miał niewiele mniej niż dwa kilometry długości. Jego najeżony bruzdami grzbiet wznosił się jak płetwa rekina prawie do poziomu krawędzi rozpadliny. Obok niego zmieściłby się jeszcze jeden, o podobnych rozmiarach, ale razem byłoby im zbyt ciasno na półtorakilometrowym dnie.

Odległość utrudniała obserwację szczegółów, ale i tak Gosseyn był w stanie dostrzec drobne figurki ludzi kręcące się po metalowej powierzchni pod brzuchem statku. Wydawało się, że wychodzą spod podłogi, gdyż co chwilę z długiego rzędu garbów wystających z dna rozpadliny wysypywały się duże grupy drobnych sylwetek -tak, jakby z pięter poniżej przyjeżdżały windy i pozbywały się ładunku.

Gosseyn ze zdumieniem stwierdził, że statek przygotowuje się do startu. Malutkie figurki w dole wspinały się po schodkach do jego wnętrza. Najpierw było ich około setki, potem tuzin, aż wreszcie żadnej. Przedtem słychać było stłumiony dźwięk rozmów, pulsowanie dźwięku. Teraz panowała cisza. Gosseyn czekał.

Na dworze zapewne zapadła już noc. Aby przemieścić taki statek, będą potrzebować ciemności. Za chwilę sufit zacznie się otwierać. Na górze pewnie jest polana, pod którą kryją się hangary. Trzeba będzie ją

jakoś podnieść lub przesunąć.

Nagle w rozpadlinie zapanował mrok. To także się zgadzało. Nie będą chcieli, żeby w ciemności widać było snop światła. Czułe detektory z pewnością patrolują niebo, pikując, by w tym momencie nie latały tu żadne roboplany ani inne statki.

Ale ożył nie sufit, lecz sam statek.

Zaczął się jarzyć. Blada, jednostajna poświata pokryła każdy metr kwadratowy jego powierzchni. Było to lekko zielone światło, tak blade, że blask ziemskiego Księżyca byłby przy nim jasny jak słońce. Blask zaczął migotać. Po chwili już raził w oczy.

Gosseyn przypomniał sobie, że deformator działał na niego w podobny sposób. Statek! - pomyślał. - Na pewno jest dostrojony do bazy planetarnej w innym układzie. Nie będzie żadnego otwierającego się sufitu. Napięcie umysłowe i ból oczu ustały równie szybko, jak się pojawiły. Zielona mgła drgnęła i zniknęła.

Ogromny statek zniknął także.

W dole zapłonęły cztery lampy. Były jasne jak miniaturowe słońca, ale ich biały ogień tylko częściowo radził sobie z ciemnością. Wokół nich i tuż obok wszystko było wyraźnie oświetlone, ale blask był coraz słabszy w miarę, jak rozprzestrzeniał się po hangarze. Setki metrów kwadratowych pośrodku i pomiędzy światłami pogrążone były w mroku.

Gosseyn podniósł deformator i ruszył wzdłuż bariery wokół krawędzi hangaru. Nie wiedział, czego szuka. Na pewno nie miał zamiaru schodzić w dół, ale gdzieś tu przecież musi być jakieś wyjście z korzeni. Schody, winda, cokolwiek.

Wyjście okazało się windą, a raczej rzędem szybów, z których dwa zawierały windy. Gosseyn na próbę dotknął zamka jednej z nich. Drzwi otwarły się bezszelestnie. Odważnie wkroczył do środka i przyjrzał się tablicy sterowniczej. Okazała się bardziej skomplikowana niż się spodziewał. Było tam kilka lampek, ale ani jednej dźwigni. Poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. To była winda-deformator. Nie jeździ jedynie w górę i w dół, lecz w każdym z -przeliczył lampki - dwunasta kierunków.

Jęknął w dudni i zaczął przyglądać się wszystkim lampkom po kolei,

szukając oznaczeń. Dopiero wtedy z ulgą spostrzegł, że każda z nich miała kształt strzałki. Były skierowane w różne strony, ale tylko jedna w górę. Gosseyn nie miał wątpliwości. Może dojedzie nią wprost w niewolę, ale było to ryzyko, które musiał podjąć. Bez wahania dotknął palcem lampki i przycisnął.

Tym razem usiłował zachować przytomność. Jednak martwota ogarniająca mózg dotknęła również jego zmysły. Kiedy znów mógł widzieć wyraźnie, ujrzał, że sceneria wokół windy zmieniła się.

Z absolutną pewnością wiedział, że znajduje się wewnątrz drzewa. Za przezroczystymi drzwiami windy widać było surowy, naturalny „pokój". Przez otwór powyżej wpadał strumień światła. Ściany były nierówne i szorstkie, w kątach panował mrok.

W jednym z takich ciemnych kątów Gosseyn ukrył deformator, po czym ostrożnie ruszył w kierunku otworu. Korytarz przed nim piał się stromo pod górę, zwężając się stopniowo. W połowie drogi zorientował się, że nie mógłby przeciągnąć tędy deformatora. Było to irytujące odkrycie, ale postanowił iść dalej. Najważniejsze jest skontaktowanie się z Wenusjanami. Później z ich pomocą będzie mógł wrócić i odzyskać deformator.

W końcowym odcinku korytarza musiał użyć raje i pełznąć w górę, czepiając się uschniętych gałęzi. Wychynął z otworu, mniej więcej dwa razy większego niż on sam, na dolnym konarze gigantycznego wenusjańskiego drzewa. Była to nierówna dziupla o naturalnym wyglądzie, prawdopodobnie jedna z wielu na tym pniu. Będzie musiał bardzo starannie ją oznaczyć.

Zauważył od razu, że po jednej stronie znajduje się rozległa polana - prawdopodobnie dach hangaru. W przeciwnym kierunku ciągnął się gęsty las. Gosseyn zapamiętał kilka znaków orientacyjnych, po czym ruszył wzdłuż konaru, na którym się znalazł. W odległości około siedemdziesięciu pięciu metrów od dziupli konar łączył się z innym równie masywnym konarem drugiego drzewa. Na ten widok przeszedł go radosny dreszcz. Bieganie po drzewach wywoływało przyjemność płynącą ze wzgórza mózgu i wenusjańska ludność ot pewno często oddawała się temu

sportowi dla czysto zwierzęcego zadowolenia. Pozostanie w górze przez jakieś osiem kilometrów, jeśli oczywiście las nie skończy się wcześniej, a potem...

Zdążył przebiec po gałęzi dwadzieścia pięć metrów, kiedy kora zapadła się pod nim. Spadł na jakąś podłogę, a długa klapa natychmiast zamknęła się nad jego głową. Znalazł się w ciemności. Gosseyn ledwie zauważył brak światła, ponieważ gdy tylko dotknął gładkiej podłogi, ta natychmiast przechyliła się w dół. Ostro, o pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt stopni. Gosseyn desperackim skokiem rzucił się w górę. Darł gładkie drewno paznokciami, de zmaz zsunął się w mrok. Znów ciężko uderzył w podłogę, zsunął się po następnej pochylni, tym razem niedaleko, o jakieś dziesięć metrów, i osiadł na dnie. Tylko jego desperacja nie miała dna. Znów go ujęli.

Nie miał jednak zamiaru się poddawać. Nawet zsuwając się w dół, próbował stanąć na nogi, obrócić się, zawrócić, zanim podłoga podniesie się z powrotem poza jego zasięg. Nie dał rady. Usłyszał trzask zamykanej zapadni w tym samym momencie, kiedy się obracał i już rzucał się w górę. To jednak nie zdołało go zatrzymać. Skoczył tak wysoko, jak pozwalały mu na to siły, i rozcapierzonymi palcami sięgnął w ciemność. Chwycił tylko powietrze. Tym razem był przygotowany na upadek, wylądował na stopach i utrzymał równowagę, wiedząc, że jeśli ma stąd uciec, musi znaleźć drogę w ciągu najbliższych minut. Mimo to zmusił się, aby przez chwilę stanąć nieruchomo, utrzymać korowo- wzgórzową przerwę nie-A, pomyśleć.

Do tej pory wszystko chyba działało automatycznie. Odcinek konara zapadł się, ponieważ stanął na nim całym ciężarem ciała. Podłoga przechyliła się z tego samego powodu. Przygnębiający był jedynie fakt, że takie pułapki istnieją. Pewnie włączył już wszystkie możliwe alarmy. Musi stąd uciec, zanim ktoś przyjdzie, teraz albo nigdy!

Opadł na kolana i szerokim gestem przeciągnął ręką po podłodze. Po prawej wymacał dywan. Przeczołgał się w tamtym kierunku i w ciągu kilku sekund natrafił na komodę, stół, fotel i łóżko. Sypialnia!

Pewnie gdzieś tutaj jest wyłącznik światła, może lampka nocna lub coś w *tym* rodzaju. W tym momencie szybki tok myśli ustąpił miejsca

działaniu. Wyłącznik na ścianie kliknął lekko pod naciskiem jego palców i oto, jakieś trzy minuty po pierwszym upadku, Gosseyn mógł obejrzeć swoje więzienie.

Nie wyglądało źle. Stało w nim podwójne łoże, częściowo ukryte w dużej, pomalowanej na koralowy róż alkowie, wychodzącej na przestronny salon, co najmniej równie luksusowo urządzony jak ten w domu Cranga. Meble lśniły głębokim blaskiem doskonale pielęgnowanego drewna. Na ścianach wisiały obrazy, ale Gosseyn nie zatrzymywał się, aby na nie spojrzeć, ponieważ wzrok jego natrafił na zamknięte drzwi. Od strony tych drzwi dobiegał dźwięk - odgłos klucza wkładanego do zamka.

Gosseyn cofnął się, wyciągnął broń. Drzwi otwarły się. Za nimi w powietrzu unosił się robokarabin.

- W porządku, Gosseyn - odezwał się głos Jima Thorsona. -Rzuć broń i pozwól się zrewidować.

Nie pozostało mu nic innego, jak spełnić to polecenie. W chwilę później, kiedy żołnierze weszli i odebrali mu broń, robokarabin cofnął się.

Wszedł Jim Thorson.

XXVII

Ambasador Ligi znajdował się na planecie łownej zwierzyny. Podszedł do okna ogromnego budynku i z wysokości dziesięciu kilometrów niepewnie spojrzał na dżunglę w dole.

Zdaje się, pomyślał, że będę musiał ruszyć na polowanie z tymi ... - przez chwilę szukał właściwego słowa, aż znalazł je i dokończył ponuro- ...ekstrawertykami, którzy zbudowali tak ogromne pałace myśliwskie

- Tędy, ekscelencjo - odezwał się głos za jego plecami. - Myśliwi wyruszą za godzinę. Enro Czerwony będzie z panem rozmawiał po drodze.

- Powiedz jego ekscelencji, ministrowi spraw zagranicznych Najwyższego Imperium, że dopiero przyjechałem - zaczął stanowczym głosem ambasador - i że...

Urwał, nie kończąc odmowy. Nikt, a zwłaszcza agenci Ligi, nie odmawiał panującemu wszechwładcy imperium sześćdziesięciu tysięcy układów słonecznych, tym bardziej, jeśli cel, w jakim przybył, wymagał znacznego taktu.

- ...że będę gotów na czas-dokończył cicho.

Polowanie było krwawą rozrywką. Dla każdego gatunku zwierzęcia przewidziano inny typ oręża. Nosicielami broni były bezszelestne maszyny, po jednej na każdego łowcę. Roboty były zawsze pod ręką, bezbłędnie podając właściwą broń, ale nigdy nie plątały się pod nogami. Najbardziej niebezpieczne zwierzęta utrzymywano w odpowiedniej odległości dzięki ekranom siłowym, podczas gdy łowcy spokojnie wybierali pozycję do strzału.

Jedno zwierzę, szarej maści, długie, smukłe i ogromne, widząc myśliwych natychmiast zrozumiało, że jest w pułapce. Usiadło na zadzie i zaczęło płakać. Sam Enro Czerwony wpakował mu kulę w oko. Zwierzę upadło, szlochając i wijąc się, i po chwili znieruchomiało. Później, w drodze powrotnej do tej dziwnej kombinacji pałacu myśliwskiego i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, rudowłosy olbrzym podszedł do ambasadora Ligi.

- Wspaniały sport, prawda? - zagrzmiał. - Ale zauważyłem, że mało

pan strzelał...

- To mój pierwszy raz - usprawiedliwiał się ambasador. - Byłem zafascynowany.

Stwierdzenie to z pewnego punktu widzenia nie mijało się z prawdą. Był zafascynowany, zgorszony, zaszokowany, przejęty odrazą. Enro spoglądał na niego z sardonicznym uśmiechem.

- Wy, ludzie Ligi, jesteście wszyscy tacy sami - zakpił. - Banda tchórzli... - urwał nagłe, jakby rezygnując z surowego osądu. -Pacyfiści!

- Musi pan pamiętać-powiedział chłodno ambasador-że Liga została zorganizowana przez dziewiętnaście imperiów galaktycznych wczasach, kiedy niszczyły się one wzajemnie w nieskutecznych i bezsensownych wojnach. Liga jest pokojowa z założenia i, jak zwykle dzieje się w takich okolicznościach, stopniowo wykształciła ludzi, którzy rzeczywiście myślą w sposób pokojowy.

- Nieraz wydaje mi się, że wolę wojnę, nawet najbardziej destruktywną - odparł Enro dumnie.

Przedstawiciel Ligi nie odezwał się. Enro rzucił ostro:

- No dobrze, więc czego chcecie?

- Stwierdziliśmy niedawno, że wasz minister transportu okazał się zbyt gorliwy - zaczaj ambasador dyplomatycznie.

- W jakim sensie?

- Mam na myśli przypadek dotyczący pewnego układu słonecznego. Jego mieszkańcy nazywają swoją gwiazdę Soi.

- Ta nazwa nie budzi we mnie żadnych skojarzeń - stwierdził Enro obojętnie.

Ambasador skłonił się.

- Z pewnością został on odnotowany w pańskim departamencie, sam problem zaś jest bardzo prosty. Wasz departament transportu jakieś pięćset lat temu utworzył tam bazę tranzytową bez zezwolenia Ligi. Soi jest jednym z układów, które zostały odkryte już po podpisaniu umów dotyczących eksploatacji i eksploracji nowo odkrytych gwiazd.

- Hmm - spojrzenie rudzielca stało się jeszcze bardziej sardoniczne i ambasador pomyślał, że Enro wie o Soi!

- I chcecie dać nam zezwolenie na utrzymywanie tam naszej bazy? - zapytał Enro.

- Należy ją rozebrać i zlikwidować - wyjaśnił ambasador. -Zgodnie z postanowieniami statutu Ligi.

- To naprawdę drobiazg - odparł w zamyśleniu Enro. - Proszę zostawić memorandum mojemu sekretarzowi do spraw transportu, a ja dopilnuję, żeby się nim zajęto.

- Czy baza zostanie zlikwidowana? - zapytał ambasador z determinacją.

- Niekoniecznie. W końcu jest tam już od dłuższego czasu i jej likwidacja może spowodować znaczne zamieszanie w departamencie transportu. Jeśli będzie to konieczne, zwrócimy się do Ligi o potwierdzenie prawa do naszej obecności. Oczywiście, takie rzeczy muszą się zdarzać w wielkich organizacjach gwiezdnych. Trzeba je załatwiać w sposób postępowy i elastyczny.

Teraz to ambasador uśmiechnął się sardonicznie.

- Jestem pewien, że wasza ekscelencja pierwszy wniósłby protest, gdyby jakieś obce imperium przypadkiem objęło w posiadanie nie swój układ. Stanowisko Ligi jest w tej sprawie oczywiste: ten, kto popełnił błąd, musi go naprawić.

Enro skrzywił się.

- Przedyskutujemy sprawę na następnym zebraniu Ligi.

- To będzie dopiero za rok. Enro udał, że nie słyszy.

- Teraz coś sobie przypominam na temat tego układu. Zdaje się, że jego mieszkańcy są bardzo krwiożerczy, o ile mnie pamięć nie myli. Nawet w tej chwili trwają tam chyba jakieś zamieszki, albo wojna. -Uśmiechnął się ponuro. -Poprosimy o pozwolenie na przywrócenie tam porządku. Jestem pewien, że delegaci Ligi udzielą go nam.

XXVIII

Gosseyn ponuro obserwował swego wroga, który spokojnie wszedł do pokoju. Szkoda, że to Thorson. Wolałby Cranga, a nawet Prescott byłby lepszy. Niestety, to był Thorsona - olbrzym o szarych oczach, silnej, nalanej twarzy i ogromnym orlim nosie. Usta wykrzywiał ma ledwie dostrzegalny grymas. Widać było wyraźnie, że nozdrza rozszerzają mu się i zwężają w rytm oddechu. Lekkim ruchem głowy wskazał Gosseynowi krzesło. Sam nie usiadł.

- Czy upadek był bolesny? - zapytał z fałszywą troską.

- Nie. - Gosseyn obojętnie wzruszył ramionami.

- To dobrze.

Zapadło milczenie. Gosseyn miał czas, żeby się pozbierać. Gorycz z powodu powtórnego pojmania zaczęła ustępować. To było nieuniknione. Człowiek w twierdzy wroga od razu znajduje się na straconej pozycji i w nieustannym niebezpieczeństwie. Nawet, gdyby wiedział na pewno, że są tu pułapki, jedyne, co mógł robić, to iść do przodu.

Skoncentrował się teraz, aby stawić czoło sytuacji. Przemyślał raz jeszcze swoje stosunki z Thorsonem. Nie były tak złe, jak mogłyby być. Thorson nieraz podejmował decyzje korzystne dla niego. Nie tylko go nie zamordował, ale nawet pozwolił się przekonać, że powinien go uwolnić. Taki akt dobrej woli pewnie już się nie powtórzy, ale jak długo ma język i siłę, by mówić, Thorson nie będzie stanowił poważnego zagrożenia. Czekał.

Thorson pogładził się po podbródku.

- Posłuchaj, Gosseyn - odezwał się w końcu. - Atak na Wenus wszedł w dziwne stadium. Gdyby to były normalne warunki, powiedziałbym, że zakończył się klęską napastników... Aha, czułem, że to cię zainteresuje. Ale klęska może pozostać klęską lub nie, i to zależy wyłącznie od twojej reakcji na pomysł, który chodzi mi po głowie.

- Klęska! - jak echo powtórzył Gosseyn. W tej samej chwili przestał słuchać. Chyba się przesłyszałem, pomyślał. Powoli jednak znaczenie tych słów docierało do niego, tyle że nadal nie mógł w to uwierzyć. Sto razy próbował wyobrazić sobie napaść na Wenus. Planeta kolosalnych drzew i

niezmiennie cudownego klimatu zaatakowana naraz ze wszystkich stron! Setki tysięcy napastników spadających z nieba, zamglone niebo nad miastami, których on sam nigdy nie widział, ciemne od spadających cieni! Bezbronne dumy, zaatakowane przez wyszkolonych żołnierzy uzbrojonych w najnowocześniejszą broń, i to w nieograniczonych ilościach! Wydawało się niemożliwe, by taki atak mógł skończyć się klęską.

- Tylko ja zdaję sobie sprawę z tej klęski - rzekł Thorson i zawahał się. - Może jeszcze Crang. - Stał przez chwilę ze zmarszczonym czołem, jakby drążyła go jakaś tajemnicza myśl. - Gosseyn, gdybyś miał planować obronę Wenus, jakie środki podjąłbyś przeciwko atakującej sile, która teoretycznie byłaby w stanie wystawić więcej ciężkiej broni niż ty żołnierzy?

Gosseyn zawahał się. Przyszło mu do głowy kilka pomysłów na obronę Wenus, ale nie zamierzał opowiadać o nich Thorsonowi.

- Nie mam pojęcia - odparł.

- A co byś zrobił, gdybyś znalazł się w samym środku bitwy?

- Chyba bym wiał do najbliższego lasu.

- A gdybyś był żonaty? Co zrobiłbyś z żoną i dziećmi?

- Oczywiście zabrałbym ich ze sobą-zaczął podejrzewać prawdę i wizja ta była przerażająca,

Thorson zaklął. Uderzył prawą pięścią w otwartą lewą dłoń.

- Przecież to niemożliwe - powiedział ze złością. - Nikt nie zabiera kobiet i dzieci na otwartą przestrzeń. Nasi ludzie mieli traktować mieszkańców z szacunkiem i opiekować się nimi, o ile nie będą stawiać oporu.

Gosseyn skinął głową, ale przez chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa. W oczach miał łzy wywołane podnieceniem i zrozumieniem, jak wielkie straty już poniesiono.

- Ich jedynym problemem był dostęp do broni - rzekł niepewnie. - Jak to Zrobili?

Thorson westchnął i zaczął krążyć po pokoju.

- Właściwie lepiej, żebyś dowiedział się, jak było naprawdę, zanim podejmiemy dalszą rozmowę.

Zaledwie skończył mówić, pokój pogrążył się w ciemności. Na ścianie

pojawiła się kwadratowa plama światła. Światło zmieniało się, pogłębiało, obraz, który się z niego wyłonił, nabierał realizmu. Gosseyn odnosił teraz wrażenie, że wyglądają przez okno na hałaśliwą, niespokojną scenę. Okno, a oni wraz z nim, ruszyło w przód, zakręciło, ukazując po jednej strome ogromne drzewa, a pod nimi, na podłożu, śpiących ludzi. Tysiące śpiących ludzi w zielonych mundurach z bardzo lekkiego materiału. Dziwnie wyglądali, śpiąc w takiej liczbie w biały dzień. Spali niespokojnie, przewracali się, kręcili. Ciągle siadali, przecierali oczy, a potem zaraz znów kładli się do snu.

Wzdłuż setek rzędów śpiących ludzi spacerowali strażnicy. W górze unosiły się maszyny, wirowały, kręciły się, kierując lufy broni to w tę, to w drugą stronę, jakby i one były niespokojne.

Strażnicy przeszli tuż pod „oknem", przez które wyglądali Thorson i Gosseyn. Jeden z nich odezwał się w języku, którego Gosseyn nigdy wcześniej nie słyszał. Zorientował się już, że to żołnierze armii galaktycznej, ale dźwięk ich obcego języka zmrozi) go i rozdrażnił.

- To Altairczycy - powiedział cicho Thorson znad jego ramienia. -Nie uważaliśmy za konieczne uczyć ich lokalnego języka.

Lokalny język! Gosseyn rozmyślał nad tym w milczeniu. Trudno byłoby przedstawić na poziomie werbalnym obrazy, jakie pojawiały się w jego mózgu za każdym razem, gdy myślał o imperium galaktycznym i miriadach jego mieszkańców.

Już zaczaj się zastanawiać, po co Thorson pokazuje mu tę dziwną scenę, kiedy zobaczył, że najpierw na jednym, a potem na kolejnych drzewach-olbrzymach coś się rusza. Maleńkie ludzkie figurki -wydawały się naprawdę maleńkie w porównaniu z tłem - wyłaniały się z jaskiń i tuneli, z ogromnych fałdów i szczerb w korze. Patrzył w napięciu, jak spadają na ziemię i z krzykiem ruszają do przodu. Był to dziwny obraz, gdyż uzbrojeni w maczugi i odziani w krótkie brązowe szorty i brązowe sandały ludzie zeskakiwali jak małpy z dolnych konarów. Najpierw stanowili tylko niewielki strumyk, potem większy, potem całą rzekę, aż wreszcie potop, i nagle byli już wszędzie. Las zaroił się jak mrowisko, ale tu mrówki miały ludzkie kształty i wrzeszczały wniebogłosy.

Pierwsze ocknęły się maszyny. Długie szeregi latających miotaczy ze świstem otworzyły ogień do atakujących. Automatycznie naprowadzane karabiny grzmiącymi głosami dołączyły do ogólnego rozgardiaszu. Rozległy się krzyki i ludzie zaczęli padać całymi setkami. Obóz zaczął się budzić ze snu. Żołnierze, przeklinając, zrywali się na równe nogi i chwytali za broń. Ludzie z maczugami natychmiast ich otaczali, a w miarę, jak upływały minuty, było ich coraz więcej i więcej. Ponad bitewnym zamieszaniem unosiły się maszyny, automatyczna broń niepewnie przerywała ogień, jakby nie wiedząc, gdzie strzelać. Świst miotaczy i ryk karabinów powoli cichł, i tylko coraz głośniej słychać było stękania, przekleństwa i głośne oddechy walczących.

Dopiero ich niezręczność, coraz bardziej widoczna, naprowadziła Gosseyna na właściwy trop.

- Boże! - zawołał. - Czy ta walka toczy się w ciemności?

Pytanie było retoryczne, ponieważ teraz dopiero dostrzegł różnice między normalnym światłem a światłem dziennym na ekranie. Była to nocna scena, sfilmowana kamerą radarową. Zza jego pleców rozległ się ponury głos Thorsona:

- Tu właśnie zawodzi wszelka broń. Ciemność. Każdy z tych ludzi ma noktowizor, ale trzeba go zasilić, i jeszcze odpowiednio założyć. - Jęknął z wściekłości. - To wystarczy, żeby cię doprowadzić do szału, kiedy widzisz, że ci dumie zachowują się jak wszyscy cholerni żołnierze, jakich widziała historia. - Kipiał złością i rozpaczał tak jeszcze przez chwilę, po czym urwał nagle. Za plecami Gosseyna nastała cisza, a Thorson przemówił dopiero po chwili, dozo spokojniejszym głosem: - Czym ja się właściwie denerwuję? - zapytał. - Ten atak zdarzył się pierwszej nocy, jednocześnie we wszystkich obozach, jakie rozbili nasi żołnierze. Był tragiczny w skutkach, ponieważ nikt nie spodziewał się, że nie uzbrojone hordy zaatakują jedną z najlepiej uzbrojonych armii w Galaktyce.

Gosseyn ledwo słyszał jego słowa. Przyglądał się bitwie z fascynacją. Atakujących były już tysiące. Ich zabici leżeli nieraz w trzech warstwach, od drzewa do drzewa. Ale nie byli osamotnieni. Ta ł tam galaktyczni żołnierze nadal stawiali opór. Miotacze ręczne wciąż jeszcze błyskały,

zadając śmiertelne ciosy, ale coraz częściej kierowała nimi dłoń wenusjańskiego nie-A.

Po kolejnych dziesięciu minutach wynik walki nie pozostawiał wątpliwości. Armia zdecydowanych ludzi uzbrojonych w maczugi pokonała nowoczesny obóz wojenny wraz z całym jego wyposażeniem.

XXIX

Zwycięscy Wenusjanie zaczęli kopać groby dla zabitych. Thorson wyłączył wideo. Światło w pokoju zapłonęło jaśniej. Spojrzał na zegarek.

- Mam niecałą godzinę, zanim przyjdzie Crang - powiedział. -Stał przez chwilę ze zmarszczonym czołem, po czym wskazał gestem pustą ścianę, na której jeszcze przed chwilą widniał ekran. -Naturalnie sprowadziliśmy posiłki, a oni nie próbowali atakować miast - dodał po chwili. - Nie taki był jednak ich cel. Potrzebowali broni i dostali ją. To czwarty dzień inwazji. Do tej pory porwali ponad tysiąc dwieście naszych statków, a drugie tyle zniszczyli. Skradli i obrócili przeciw nam niezliczone ilości broni. Zabili około dwóch milionów naszych ludzi. Poświęcili na to dziesięć milionów swoich: pięć milionów zabitych i tyleż rannych. Sądzę jednak, że oni najcięższe straty mają już za sobą, podczas gdy nasze... - uśmiechnął się ponuro -.. .nasze dopiero się zaczęły.

Zatrzymał się pośrodku pokoju. Wściekle gryzł dolną wargę. Wreszcie odezwał się gniewnie:

- Gosseyn*, to* niesłychane. W całej historii Galaktyki nigdy nie zdarzyło się nic podobnego. Podbite narody pozostają w domach i zawsze się poddają. Mogą nienawidzić napastnika przez kilka pokoleń, ale jeśli propaganda jest prowadzona w odpowiedni sposób, szybko stają się dumni z przynależności do wielkiego imperium - wzruszył ramionami i mruknął prawie do siebie: - To już się stało rutyną.

Gosseyn myślał gorączkowo. Dziesięć milionów ofiar w cztery dni. Wprost niewyobrażalna liczba. Przymknął oczy. Otworzył je po chwili. Odczuwał gniew, głęboki smutek, ale i wielką dumę. Zmarli oddali sprawiedliwość filozofii nie-A i uhonorowali ją. Jak jeden mąż ocenili sytuację, bez umawiania się, bez planowania i ostrzegania, uczynili to, co było konieczne. Było to zwycięstwo rozumu, które bez wątpienia odciśnie swe piętno w umyśle każdego myślącego człowieka we wszechświecie. Tam, na planetach odległych gwiazd, musi żyć wielu, bardzo wielu ludzi dobrej woli. Dokonał automatycznego obliczenia, ilu może być tych uczciwych ludzi. Rezultat zaskoczył go i odmienił tok jego myśli. Spojrzał

na Thorsona zwężonymi oczami.

- Chwileczkę - rzeki powoli. - Co chcesz mi udowodnić? Jak imperium galaktyczne, liczące więcej żołnierzy niż jest ludzi w Układzie Słonecznym, może zostać pokonane w ciągu czterech dni? Dlaczego nie są w stanie dostarczyć nieskończonej liczby żołnierzy, a jeśli trzeba, wybić do nogi wenusjańskich nie-A?

- To samo mówiłem kilka minut temu - powiedział Thorson z sardonicznym uśmiechem.

Nie spuszczając wzroku z twarzy Gosseyna przyciągnął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, kładąc łokcie na oparciu. W całym jego zachowaniu było coś, co nie pozostawiało wątpliwości, jak ważne będą słowa, które zamierzał wygłosić. Przemówił wreszcie cichym, spokojnym głosem:

- Przyjacielu, patrz na to w ten sposób. Najwyższe Imperium... to dokładne tłumaczenie... jest członkiem Ligi Galaktycznej. Inni członkowie przewyższają nas liczbą w stosunku trzy do jednego, ale jako państwo jesteśmy największą potęgą, jaka kiedykolwiek istniała w czasie i w przestrzeni. Niemniej, z powodu naszych zobowiązań wobec Ligi, podlegamy pewnym ograniczeniom. Jesteśmy sygnatariuszami traktatów, które zabraniają użycia deformatora tak, jak my go użyliśmy, to znaczy przeciw Maszynie. Traktaty zabraniają nam użycia energii atomowej, z wyjątkiem zastosowania jej jako źródła zasilania i do kilku jeszcze innych, ściśle określonych celów. Zniszczyliśmy Maszynę torpedami atomowymi. Oczywiście, były to bardzo małe torpedy, ale atomowe. Według praw Ligi ludobójstwo jest największą zbrodnią. Jeśli zabijesz pięć procent populacji, to się nazywa wojna. Jeśli dziesięć procent, to już masakra, która wymaga odszkodowania, o ile osądzą cię przed Ligą. Jeśli zabijesz dwadzieścia procent lub dwadzieścia milionów, zależnie od tego, która z tych liczb będzie większa, w grę wchodzi ludobójstwo. I jeśli ci to udowodnią, twój rząd jest uznawany za wyjęty spod prawa, wszyscy zaś odpowiedzialni zostają postawieni przed Ligą, osądzeni i straceni.

Do momentu spełnienia tych wszystkich warunków panuje automatycznie stan wojny.

Thorson urwał z niewesołym uśmiechem na twarzy. Nerwowo zerwał się na nogi i zaczął krążyć po pomieszczeniu. Zatrzymał się wreszcie.

- Może już zaczynasz rozumieć, jaki problem stworzyli nam Wenusjanie. Jeśli walki potrwają jeszcze przez jeden tydzień, wszyscy będziemy podlegać surowym karom, której alternatywą jest totalna wojna. - Jego uśmiech stał się jeszcze bardziej ponury. - Naturalnie będziemy walczyć dalej, dopóki sam nie znajdę wyjścia z sytuacji. I tutaj pojawiasz się ty, mój przyjacielu.

W ten oto sposób problem Gosseyna wypłynął znowu z oszała-miającą prędkością.

Gosseyn powoli pogrążył się z powrotem w fotelu. Był zaskoczony, ale wciąż cierpiał wskutek reakcji emocjonalnej, która nie pozwalała mu myśleć. Całym ciałem odczuwał gniew i nienawiść do imperium galaktycznego, które bawiło się w politykę kosztem ludzkich istnień. Ogarnęła go głęboka potrzeba poświęcenia samego siebie, uczestniczenia w ogromnej ofierze, która została złożona, chciał oddać życie tak ochoczo, jak inni oddali swoje. Pragnienie zjednoczenia z wenusjańskim ludem było niemal nie do pokonania.

Niemal. Świadomie, poprzez korę, cofnął się przed tym samobójczym impulsem. To, co było dobre dla nich, niekoniecznie byłoby dobre dla niego. Nie ma dwóch takich samych sytuacji: to stwierdzenie stanowi samą esencję nie-A. Jest Gilbertem Gosseynem II, posiadaczem jedynego dodatkowego mózgu w całym wszechświecie. Jego celem musi być pozostanie przy życiu i rozwijanie niezwykłego umysłu. Właśnie to go niepokoiło. Teoretycznie nie ma szans, aby jakikolwiek więzień mógł realizować własne cele. Jednak już sama szczerość Thorsona dawała mu nadzieję. Cokolwiek się stanie, musi to zaakceptować i w jakiś sposób obrócić na swoją korzyść.

Zobaczył, że Thorson wciąż przygląda mu się z mrocznym wyrazem twarzy.

- Jednego tylko nie rozumiem, Gosseyn- rzekł olbrzym po chwili. - Jaka jest twoja rola w tej łamigłówce? Zostałeś dosłownie wepchnięty na scenę w przededniu ataku. Widocznie twoje pojawienie się miało go

powstrzymać. Przyznaję, że spowodowałeś opóźnienie, ale nie na długo. Koniec końców, wydaje się, że nie posłużyłeś żadnemu użytecznemu celowi. Atak został odepchnięty, jednak nie dlatego, że ty coś zrobiłeś, lecz z powodu filozofii rasy.

Zamilkł, poderwał głowę i przechylił ją na bok w nieświadomym, choć bardzo wyraźnym geście wahania. Wydawał się całkowicie zajęty swoim problemem. Kiedy przemówił znowu, jego głos był niski i schrypnięty:

- Przecież... przecież musi być jakiś związek. Gosseyn, jak wyjaśnisz jednoczesne istnienie unikatowej filozofii nie-A i tak unikatowej jednostki jak ty w całkowicie normalnym i zwyczajnym wszechświecie? Czekaj! Nie odpowiadaj! Pozwól, że ci przedstawię ten obraz tak, jak ja go widzę. Najpierw zabiliśmy cię, ale nie dlatego, że tak bardzo tego chcieliśmy, lecz dlatego, że łatwiej było cię zabić w czasie próby ucieczki niż dalej się tobą zajmować. Błąd. Nawet taki sposób myślenia pokazuje jasno, jak bardzo zawęziliśmy nasz system identyfikacji.

Kiedy Prescott doniósł, że znów się pojawiłeś, najpierw nie chciałem w to uwierzyć. Poleciłem Crangowi, żeby cię odnalazł, a potem zmusiłem Prescotta, aby odegrał tę komedię pomagania ci w ucieczce, a wszystko po to, aby skłonić cię do współpracy. Dzięki temu udało mi się uwolnić od Lavoisseura i Hardiego, a dzięki doktorowi Kairowi dowiedzieliśmy się czegoś na temat twojego dodatkowego mózgu. Musisz nam wybaczyć te metody, ale kiedy pojawiłeś się w drugim ciele, byliśmy naprawdę zdenerwowani.

Nieśmiertelność! - pochylił się w przód. Miał lekko rozszerzone źrenice, jakby znów przeżywał doświadczenie, które zachwiało samymi podstawami jego, ja". Wydawał się nieświadomy, że właśnie zdradził prawdziwe nazwisko „Iksa". Lavoisseur! Gosseyn pamiętał, że gdzieś już je słyszał, ale było to bardzo mgliste wspomnienie. Thorson ciągnął dalej:

- Ktoś odkrył sekret ludzkiej nieśmiertelności. Nieśmiertelności, która jest odporna nawet na wypadki. Oczywiście - wtrącił pogardliwie - mówię o wypadkach, jakim ciało może ulec na Ziemi, gdzie uzbrojony bandyta może wejść dosłownie wszędzie.

Znów przerwał i bystro spojrzał na Gosseyna.

- Pewnie cię zainteresuje, gdzie znaleźliśmy ciało Gosseyna III. Szczerze mówiąc, zawsze trochę podejrzewałem Lavoisseura. Nie przypuszczałem, że zechce zwrócić się przeciw własnym ideom i dołączyć do wrogów nie-A tylko dlatego, że miał ten wypadek. Więc odwiedziłem budynek Semantyki Ogólnej na placu Korzybskiego i...

Urwał znowu, tym razem, aby zwiększyć napięcie. Gosseyn otworzył usta.

- I było tam? - Nie czekał na odpowiedź. Jego umysł rzucił się w przód, poza te słowa, aby dotrzeć do nowej prawdy. - Lavoisseur! -szepnął. - Nie od razu poznałem to nazwisko. Czyli „Iks" to Lavoisseur, dyrektor Instytutu Semantyki?

- O jego wypadku było głośno dwa lata temu, kiedy się wydarzył - wyjaśnił Thorson. - Niewiele osób wiedziało, jak był poważny, ale to teraz i tak nie ma znaczenia. Najważniejsze jest to, że było tam twoje trzecie ciało. Naukowcy przysięgali, że zostało przywiezione dopiero tydzień wcześniej i miało zostać przechowane dla Maszyny Igrzysk. Powiedzieli, że skontaktowali się z Maszyną w rutynowy sposób i upewnili się, że za jakiś tydzień przyśle po nie ciężarówkę. Kiedy je znalazłem, wciąż było w skrzyni. Nie chciałem go niszczyć, ale kiedy moi ludzie próbowali je wyjąć z... z opakowania, to cholerstwo po prostu eksplodowało.

Znowu przyciągnął krzesło i ciężko na nie opadł. Poruszał się jak automat, ale nie spuszczał wzroku z twarzy Gosseyna.

- I tak to się przedstawia, przyjacielu-rzekł nagle dźwięcznym głosem. - Zapewniam cię, że Gosseyn III istniał naprawdę. Widziałem go na własne oczy. Wyglądał dokładnie tak samo jak ty i jak Gosseyn 1.1 dopiero widząc to trzecie ciało postanowiłem zaryzykować całą moją karierę.

To stwierdzenie przyniosło mu widoczną ulgę, jakby przez sam fakt ubrania decyzji w słowa uczynił ją ostateczną. Przesunął się wraz z krzesłem i poufale pochylił nad Gosseynem:

- Gosseyn, nie mam pojęcia, ile naprawdę wiesz. Myślałem, że bardzo dużo - uśmiechnął się ironicznie. -Nie byłem ślepy, widziałem, jak ludzie z sobie tylko wiadomych pobudek powierzali ci informacje. Ale to się

nie liczy - machnął prawą ręką, czyniąc szeroki gest ostatecznie przekreślający tych „innych". - Gosseyn, to, co ci powiedziałem o przepisach Ligi, jest prawdą. Ale sam już pewnie wiesz, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia. - Urwał z miną człowieka, który zamierza wyjawić jakąś wielką tajemnicę. - Te traktaty zostały zerwane.

Mocno zaparł się stopami o podłogę i rzekł groźnie:

- Enro ma już dość pouczeń Ligi, chce wojny na wielką skalę i dał mi szczegółowe instrukcje, abym dokonał eksterminacji ludności nie-A na Wenus jako umyślnej prowokacji. Z twojego powodu zdecydowałem się nie spełnić tego rozkazu - dokończył cicho.

Umysł Gosseyna widział, co się dzieje. Od pierwszych słów olbrzym skoncentrował się na tajemnicy Gilberta Gosseyna. Jego własny problem, własne obowiązki zostały włączone do rozmowy przypadkowo, dla wyjaśnienia i usprawiedliwienia. Ale najbardziej niezwykłą, niepojętą rzeczą było to, że całkiem nieświadomie Thorson wyjaśnił cel pojawienia się w skomplikowanej sieci wydarzeń tak wielu Gosseynów naraz. Przywódca niepokonanej machiny wojennej, przygotowany na nie-ograniczoną destrukcję, zaniechał wykonania swoich zamierzeń. Jego umysł sięgał poza normalną rzeczywistość, a wizja nieśmiertelności, którą ujrzał, oślepiła go na wszystko inne. Obraz ten zawierał jeszcze plamy, ślady wiodące donikąd, ale po to właśnie Gosseyn został powołany do życia, aby odwieść tego człowieka od jego cela Nie było również wąt-pliwości, dokąd zaprowadzi Thorsona jego logika.

- Gosseyn, musimy znaleźć tego kosmicznego szachistę. Tak, powiedziałem „my". Czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie, tkwisz w tej sprawie po uszy. Powody są poważne, zarówno natury ogólnej, jak i osobistej. Na pewno zauważyłeś, że jesteś tylko pionkiem, niekompletną wersją oryginału. Nieważne, na ile się rozwiniesz, na pewno nigdy nie dowiesz się, kim naprawdę jesteś i jaki jest prawdziwy cel tej osoby, która za tobą stoi. I musisz zrozumieć, że on został wytrącony z równowagi jedynie tymczasowo. Skądkolwiek bierze te dodatkowe ciała, możesz być pewien, że potrzebuje cię tylko *tok* długo, jak długo trwa ich... produkcja. Wiem, że to brzmi nieludzko, ale nie możesz się oszukiwać. Cokolwiek

teraz zrobisz, cokolwiek osiągniesz, wkrótce będziesz przeznaczony na odstrzał. A może się zdarzyć, że z powodu wypadku, jaki przytrafił się ciału Gosseyna III, wspomnienia Gosseyna I i II ulegną wymazaniu.

Jego twarz była czystym studium wyrachowania, napiętego wyczekiwania, co się zaraz stanie.

- Naturalnie, jestem gotów zapłacić odpowiednią cenę za twoją pomoc - dodał szorstko. - Nie zniszczę nie-A. Nie będę używał energii atomowej. Zerwę z Enro, a przynajmniej będę go trzymał w nieświadomości tak długo, jak się da. Będę walczył tak długo, aż powstrzymam rzeź. Wszystko to jestem gotów zaoferować ci w zamian za współpracę. Dlatego jedyne pytanie, jakie jeszcze pozostało, brzmi: czy pomożesz nam z własnej woli, czy nie? - szarozielone oczy były jak płonące jeziora. - Bo pomożesz nam tak, czy tak!

Gosseyn już od dłuższej chwili wiedział, co się szykuje, i dzięki temu miał czas na podjęcie decyzji, jak również na przemyślenie wynikających z tego implikacji.

- Oczywiście, że z własnej woli - rzekł teraz bez wahania. -Mam jednak nadzieję, że wiesz, iż pierwszym krokiem musi być wyszkolenie mojego dodatkowego mózgu. Czy jesteś gotów posunąć swoje rozumowanie aż do tej granicy?

Thorson zerwał się na nogi. Podszedł do Gosseyna i poklepał go po ramieniu.

- Nawet cię wyprzedzam - zagrzmiał. - Słuchaj, załatwiłem system transportowy między Wenus a Ziemią. Crang i doktor Kair będą tu w każdej chwili. Prescott przyjedzie dopiero jutro, ponieważ to on ma rządzić na Wenus, w związku z czym dla nas, stronników Ziemi, lepiej będzie, jeśli przyleci statkiem kosmicznym. Ale...

Rozległo się stukanie, po czym drzwi otwarły się. Pierwszy wszedł doktor Kair, za nim Crang. Thorson zamachał im ręką, Gosseyn wstał i już po chwili ściskał w milczeniu dłoń psychiatry. Słyszał, jak Thorson i Crang rozmawiają ze sobą ściszonym głosem. Potem Thorson skierował się w stronę drzwi.

- Zostawiam was, abyście mogli spokojnie omówić szczegóły -

powiedział. - Crang mówi, że na Ziemi rozpętała się totalna rewolucja. Muszę wracać do pałacu, aby dowodzić walką.

Drzwi zamknęły się za nim.

XXX

W dawnych czasach Sztuki
Budowniczowie wykonywali z największym oddaniem
Każdy najdrobniejszy nawet i niewidoczny szczegół,
Albowiem bogowie widzą wszystko.
W.W.L.

To będzie walka umysłów - rzekł doktor Kair - a ja stawiam na dodatkowy mózg.

Rozmawiali już od ponad godziny, przy czym Crang wtrącał tylko od czasu do czasu jakąś uwagę. Gosseyn, zaciekawiony i niepewny, katem oka obserwował ciemnookiego mężczyznę. Zgodnie ze słowami Kaira, to Crang go odnalazł i aresztował. Oczywiście musiał udawać, że jest człowiekiem Thorsona, ale dość brutalnie przekraczał granice, jakie wyznaczała mu ta rola. Gosseyn postanowił, że nie będzie go pytał o Patricię Hardie. Przynajmniej nie teraz. Zobaczył, że Kair wstaje z miejsca.

- Nie marnujmy czasu- ponaglił ich psychiatra. - Z tego co wiem, galaktyczni specjaliści przygotowują, ci specjalny pokój. Ze sprzętem, jaki mają tam zainstalować, trening nie będzie trudny -z podziwem potrząsnął głową. - Wciąż trudno mi uwierzyć, że jest tu wiele kilometrów kwadratowych podziemnych budynków, mających za przykrywkę tylko dom Cranga. Wracając jednak do tego, o czym mówiłem... - zmarszczył brwi w zadumie. - Jeśli mam rację, twój dodatkowy mózg jest organicznym reformatorem, wraz ze wszystkimi wynikającymi z tego skutkami. Za pomocą mechanicznego deformatora będziesz w stanie upodobnić dwa kawałki drewna w ciągu trzech-czterech dni. Taki będzie początek.

Zajęło to jednak tylko dwa dni.

Gosseyn siedział sam, w ciemnym pokoju, gdzie przeprowadzano doświadczenie. Wpatrywał się w klocki, które leżały w odległości około trzech centymetrów od siebie. Nie widział ruchu, a jednak w tej chwili zetknęły się. Pojedynczy promień światła skupiony na klockach wyraźnie wskazywał zmianę ich położenia. W jakiś sposób, nieodczuwalny dla niego, fale myśli jego dodatkowego mózgu sięgały w przestrzeń i kontrolowały

materię.

Władza umysłu nad materią- odwieczne marzenie człowieka. Oczywiście, nie dokonał tego bez pomocy. Postarano się, aby klocki były identyczne. A jednak od tego czasu musiały ulec niewielkiej zmianie. Wpływ na nie mogło mieć nawet ciepło ciała Gosseyna w zamkniętym pokoju. Promień światła i otaczająca je ciemność także będą miały różny wpływ na oba klocki, pomimo rur absorbera, którymi pokryte były ściany, pomimo najdokładniejszego termostatu elektronowego. Oczywiście nie udałoby mu się także bez deformatora, który upodobnił klocki do dziewiętnastego miejsca po przecinku, uspokoił ruchy cząsteczkowe powietrza, częściowo upodobnił stół, na którym leżały klocki, krzesło, na którym siedział Gosseyn, oraz samego Gosseyna. Końcowy impuls pochodził jednak od niego. To naprawdę był początek. Fotografie pokazały tysiące linii maleńkich impulsów wchodzących do dodatkowego mózgu.

Testy trwały tak długo, że kiedy Gosseyn dotarł do swojego apartamentu, był naprawdę wykończony. Idąc w stronę „windy" spostrzegł, że prócz strażników pilnuje go również mała, metalowa kulka najeżona lampkami elektronowymi. Unosiła się w powietrzu za jego plecami. Prescott, dowodzący strażnikami, pochwycił jego wzrok.

- Ta kulka zawiera wibrator - wyjaśnił chłodno. - Crang przekazał mi stwierdzenie Kaira, że będzie to walka umysłów, a my nie chcemy ryzykować. Kulka ta będzie wprowadzała niewielkie zmiany w strukturze atomowej ścian, sufitów, podłóg, ziemi, wszystkiego - gdziekolwiek byłeś. Od tej pory będzie szła za tobą wszędzie aż do drzwi twojego apartamentu. - Podniósł głos: - To środek ostrożności na czas, kiedy będziesz w stanie przenieść się ze swoich pokoi do każdego miejsca, którego strukturę poprzednio „zapamiętałeś".

Gosseyn nie odpowiedział. Nigdy nie próbował ukrywać swej niechęci do Prescotta, i teraz także tylko popatrzył na niego. Tamten wzruszył ramionami, ale kiedy spojrzał na zegarek i uśmiechnął się krzywo, w jego głosie brzmiały znaczące nuty.

- Gosseyn, chcemy przywiązać cię do nas wszelkimi możliwymi sposobami. Dlatego przygotowaliśmy dla ciebie jeszcze jedną nie-

spodziankę.

Zapalając kilka minut później światło w salonie, Gosseyn wciąż jeszcze zastanawiał się, co to za niespodzianka. Włożył piżamę i skierował się ku ciemnej alkowie, gdzie znajdowały się łóżka. Zatrzymał się jak wryty, gdy dostrzegł ruch na jednej z pogrążonych w cieniu poduszek. Nawet w półmroku natychmiast rozpoznał tę twarz. Dziewczyna usiadła z leniwym wdziękiem i ziewnęła.

- Jakoś tak się składa, że ciągle się spotykamy, prawda? - zapytała Patricia Hardie.

XXXI

Gosseyn gwałtownie usiadł na drugim łóżku. Czuł ogromną ulgę, ale kiedy podniecenie opadło, przypomniał sobie, co powiedział Prescott.

- Podejrzewam, że gdybym próbował uciec, zabiją cię-powiedział. Skinęła głową i spoważniała.

- Coś w tym rodzaju - i dodała: - To był pomysł Cranga.

Gosseyn położył się na swoim łóżku i bezmyślnie zapatrzył się w sufit Znowu Crang. Wątpliwości na temat Cranga zaczęły się rozwiewać. Zastanawiał się, czy Thorson chciał zabić Patricię, i czyjej przyjazd tutaj nie jest kompromisem podsuniętym przez Cranga, aby uratować jej życie, nie ujawniając się samemu. Niemal widział, jak Crang przypomina Thorsonowi, że Gosseyn kiedyś wierzył, iż jest mężem Patricii Hardie, i może nawet zachował dla niej jakieś uczucia. Jeszcze jeden łańcuch, którym można go przywiązać. Takie argumenty mógł wytaczać Crang.

Błyskotliwy Eldred Crang, pomyślał Gosseyn. Jedyny człowiek w tej całej historii, który do tej pory nie popełnił błędu. Kątem oka spojrzał na Patricię. Ziewała i przeciągała się jak zadowolona kotka. Odwróciła głowę i pochwyciła jego spojrzenie.

- Nie chcesz o nic zapytać? - rzuciła.

Rozważył to. Mógł oczywiście zapytać o Cranga. Nie miał też pojęcia, ile powiedziała Thorsonowi. Nie warto mówić o rzeczach, o jakich Thorson nic nie wie.

- Myślę, że dość dokładnie rozumiem sytuację- powiedział ostrożnie. - My, na Ziemi i na Wenus, byliśmy świadkami, jak zachłannie imperium międzygwiezdne, pomimo pogardy dla czysto arystotelesowskiej ligi, próbuje podbić jeszcze jeden układ planetarny. Jest to działanie dziecinne, a zarazem zbrodnicze, skrajny przykład, jakim neurotycznym tworem może się stać cywilizacja, jeśli nie uda jej się opracować metody integracji ludzkiej części ludzkiego umysłu ze zwierzęcą. Tysiące lat ich rozwoju naukowego zostały zmarnowane na dochodzenie do potęgi i mocy, podczas kiedy wystarczyło jedynie nauczyć się współpracy, lak, mam dość wyrobiony pogląd na całość. Zastanawia mnie jednak status niektórych

osób. Na przykład twój.

- Jestem twoją żoną- odparła kobieta. Gosseyna ogarnęła irytacja, że w takiej chwili żartuje.

- Nie sądzisz, że niebezpiecznie jest tak mówić? - rzekł z wyrzutem. - Ktoś może podsłuchać... no, wiesz. Zaśmiała się cicho i powiedziała:

- Przyjacielu, Thorsona wodzi za nos człowiek o najbystrzejszym umyśle, jaki znam. Zapewniam cię, że Eldred dopilnował, abyśmy mogli pogadać swobodnie.

Gosseyn pomniał to milczeniem. Bez wątpienia, bardzo podziwiała swojego kochasia.

- Nie wiem, jak długo Eldred może jeszcze utrzymać się na swojej dotychczasowej pozycji, ani jak długo jest w stanie nas ochraniać - ciągnęła powoli. - Thorson zabije nas, kiedy uzna to za konieczne, równie beztrosko i brutalnie, jak zabił mojego ojca i „Iksa". Jeśli ten, kto za tobą stoi, zawiedzie nas, to tak, jakbyśmy już byli martwi.

Jej przekonanie z jakichś dziwnych powodów zaniepokoiło Gosseyna. Nie wierzyła, że jest w stanie cokolwiek zrobić. Czy to możliwe, aby wszyscy zależeli od człowieka, który nigdy nie pojawił się na scenie? Czy Crang nie ma żadnego planu na dzień, gdy jego dodatkowy mózg wreszcie zostanie wytrenowany? Zadał to pytanie Patricii.

- Eldred nie ma żadnych planów - odparła Patricia. - Od tej chwili będziesz zdany na siebie. Gosseyn zgasił światło.

- Patricio, jak sadzisz - szepnął w mrok - czy popełniłem błąd, zgadzając się na propozycję Thorsona?

- Nie wiem.

- Znajdziemy tę tajemniczą osobę. Wiem o tym. Zawahała się.

- Eldred też tak uważa.

I znowu Eldred. Cholerny Eldred.

- Dlaczego Crang nie ostrzegł twojego ojca?

- Nie wiedział, co planowali.

- To znaczy, że Thorson go podejrzewa?

- Nie, ale, Iks" był człowiekiem Cranga. Thorson chyba sądził, że Crang sprzeciwi się. jego wyeliminowaniu, dlatego załatwił morderstwo

przy pomocy Prescotta.

- „Iks" był człowiekiem Cranga? - miękko zapytał Gosseyn.

- Tak.

Trudno było to sobie wyobrazić, znacznie łatwiej było uwierzyć, że potwór stał się egocentrykiem na skutek obrażeń, jakich doznał. A jednak nawet Thorson go podejrzewał.

- Wydaje mi się - rzekł w końcu gorzko - że ta cała konstrukcja opozycji wobec Enro opiera się wyłącznie na machinacjach Eldreda Cranga.

Umilkł. Ta myśl, ubrana w słowa, sprawiła, że Crang nabrał znaczenia większego nawet niż samo życie. Umysł Gosseyna dokonał ogromnego przeskoku.

- Czy to on jest tym kosmicznym graczem?

- Na pewno nie - odpowiedziała Patricia bez chwili wahania.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ma swoje zdjęcia z czasów, kiedy był dzieckiem.

- Zdjęcia można spreparować.

Milczała, a Gosseyn po chwili sam porzucił temat Cranga.

- A co z twoim ojcem?

- Mój ojciec - odparła spokojnie - wierzył, że Maszyna niesprawiedliwie odmówiła mu awansu mimo jego oczywistych kwalifikacji. Kiedy byłam dzieckiem, dzieliłam tę urazę. Nie chciałam mieć nic wspólnego z nie-A. Jednak posunął się zbyt daleko. Kiedy zaczęłam zdawać sobie sprawę z tego, iż za tą cudowną osobowością-a musisz przyznać, że ją posiadał - ukrywa się człowiek, którego nie obchodzą konsekwencje własnych czynów, zbuntowałam się. Eldred pojawił się na scenie półtora roku temu, po błyskotliwej karierze w służbie dyplomatycznej Najwyższego Imperium. Wtedy po raz pierwszy zetknęłam się z Ligą Galaktyczną.

- Jest agentem galaktycznym?

- Nie - w jej głosie brzmiała duma. - Eldred Crang to Eldred Crang, postać jedyna w swoim rodzaju. To on skontaktował mnie z Ligą.

- I stałaś się jej agentką?

- Na swój własny sposób.

W jej głosie zabrzmiał ton, który sprawił, że Gosseyn zapytał:

- Co to znaczy?

- Liga ma wiele niedociągnięć - wyjaśniła Patricia. - Jej determinacja jest tylko taka, jak determinacja narodów członkowskich. Tak łatwo, tak strasznie łatwo jest poświęcić jeden układ gwiezdny dla dobra ogółu. Zawsze o tym pamiętałam i pracowałam dla Ziemi poprzez Ligę. Stały personel Ligi - dodała - od dawna wiedział o nie-A, ale nie był w stanie wypromować go gdziekolwiek indziej w Galaktyce. Różne rządy kojarzyły go z pacyfizmem, którym nie jest. Nie potrafiły wyobrazić sobie stanu, kiedy człowiek natychmiast dostosowuje się do wymagań każdej sytuacji, włącznie ze skrajnym militaryzmem.

Gosseyn skinął głową, przypominając sobie, co powiedział mu Thorson. Przestał się już dziwić, że Enro wybrał do swych militarnych celów tak mały układ planetarny. Atak na jedyną nie uzbrojoną planetę Galaktyki był najbezczelniejszym sposobem podeptania traktatów Ligi.

- To Eldred odkrył, że urazy odniesione przez Lavoisseura podczas eksplozji w Instytucie Semantyki kilka lat temu, przeistoczyły wielkiego naukowca w krwiożerczego maniaka, którego poznałeś jako, Iksa". Myślał, że wyzdrowieje i stanie się użyteczny, ale tak się nie stało.

I znowu Eldred, westchnął Gosseyn.

Milczenie przedłużało się. Z każdą upływającą minutą w Gosseynie narastał gniew i determinacja. Nie miał złudzeń. Ta cisza była ciszą przed burzą. Żądny krwi Thorson został odwiedziony od celu, w jakim przybył do Układu Słonecznego. A zatem świat nie-A miał szansę, aby się uzbroić, a Liga kilka dodatkowych tygodni, by uzmysłowić sobie, że Enro chce wojny. Thorson będzie rozgrywał swoją prywatną grę tak długo, jak długo się ośmieli, ale jeśli choć przez chwilę poczuje się zagrożony, powróci do wojny i eksterminacji.

Gosseyn widział, jak jego nadzieje koncentrują się na jednej jedynej istocie, pracującej samotnie w otoczeniu kilku podobnych mu, nic nie rozumiejących asystentów, przeciwko całej kolosalnej mocy gwałtownej, bezrozumnej, wszechogarniającej cywilizacji galaktycznej.

To za mało pomyślał, tknięty nagłym przeczuciem. Za bardzo liczę na

to, że ktoś inny dokona za mnie ostatecznego cudu.

Wraz z tą świadomością, w tej samej chwili, zrodził się w nim pierwszy akt desperackiego działania.

XXXII

Dwa dni później wygiął ku sobie dwa promienie światła, już bez pomocy deformatora. Czuł to działanie. Odczuwał je jak... -opowiadał później, usiłując opisać je innym -.. .jak ktoś, kto pierwszy raz uniósł ramię pod wpływem hipnozy. Wrażenie wyraźnego, nieomylnego dostrojenia się. Była to nowa świadomość... nowa zdolność.. . jego systemu nerwowego.

W miarę upływu dni, impulsy w jego ciele stały się silniejsze, ostrzejsze, łatwiejsze do kontrolowania. Czuł energie, ruchy, przedmioty, aż doszedł do punktu, gdzie mógł je rozpoznawać bez trudu. Obecność innych ludzi była dla niego jak ciepły płomień w układzie nerwowym. Odpowiadał na najdelikatniejsze impulsy, a szóstego dnia był w stanie odróżnić doktora Kaira dzięki wrażeniu „przyjaznego nastawienia", które z niego emanowało. Była w nim także nuta niepokoju, która jednak tylko potęgowała to wrażenie. Gosseyn interesował się głównie rozróżnianiem uczuć, jakie żywili do niego Crang, Prescott i Thorson. Prescott nienawidził go z całego serca. „Nigdy nie zapomniał strachu, jakiego mu napędziłem, ani jak go oszukałem, kiedy wróciłem po deformator". Thorson był typem makiawelicznym, ani nie lubił, ani nie nienawidził swego więźnia. Był jednocześnie ostrożny i zdecydowany. Crang za to był neutralny. To cieka-we uczucie, kiedy sieje odbiera od drugiego człowieka. Neutralny, przejęty, zaangażowany w rozgrywanie gry tak skomplikowanej, że nie przenikała przez nią żadna wyraźna reakcja.

Najbardziej zaskakująca byk reakcja Patricii. Nic. Za każdym razem, kiedy znajdował się w punkcie umożliwiającym mu identyfikację indywidualnych uczuć otaczających go ludzi, próbował nawiązać kontakt również z jej układem nerwowym. Na próżno. Ostatecznie musiał uznać, że mężczyzna nie jest w stanie dostroić się do kobiety.

W ciągu tych kilku dni zarodek planu w jego mózgu nabierał kształtu. Z coraz większym zrozumieniem widział, że obraz sytuacji został mu przekazany przez prawie dosłownie arystotelesowskie umysły. Musiał pamiętać, że nawet Crang jest doskonałym przykładem człowieka, który potrafi zorganizować się wewnętrznie nie znając systemu nie-A od

dzieciństwa. Był typowym przykładem neofity, a nie wyznawcy.

W tym rozumowaniu były oczywiście luki, ale i tak sprowadzało ono wszystko do poziomu ludzkiego układu nerwowego. W tym świetle tajemniczy gracz nie wydawał się już tak ważny. Stanowił wytwór arystotelesowskiego umysłu Thorsona. W istocie zapewne okaże się on kimś, kto odkrył sposób na nieśmiertelność, a teraz, nie rozporządzając odpowiednimi zasobami, usiłuje stawić czoło nieodpartej militarnej potędze. Już udowodnił, że jest mu całkiem obojętne, jaki los spotka kolejne ciała Gilberta Gosseyna. Wydawało się też oczywiste, że gdyby Gosseyn II został zabity, gracz ów uznałby porażkę tej części swych planów i zwrócił się ku innym perspektywom.

Do diabła z nim!

Tego samego popołudnia, kiedy odbył się eksperyment z kawałkami drewna, Gosseyn zaczął podejmować dłuższe próby walki z wibratorem. Stopień skomplikowania urządzenia był dla niego prawdziwym zaskoczeniem. Przedmiot ten emanował wieloma subtelnie zróżnicowanymi energiami. Wypływające z niego pulsacje obejmowały rozmaite długości fal. Udało mu się opanować wibrator wyłącznie dlatego, że był mały, a jego części znajdowały się blisko siebie w czasoprzestrzeni. Różnice czasowe między poszczególnymi funkcjami nie stanowiły problemu.

Dlatego właśnie kontrola ta i tak mu się nie przyda, gdyby miał uciekać. Czynnik czasu był istotny wówczas, kiedy jednocześnie próbował zapamiętać strukturę kawałka podłogi i kontrolować wibrator. Nie był w stanie tego uczynić i był to fakt niezmienny. Mógł kontrolować albo wibrator, albo podłogę, nigdy obie te rzeczy naraz. Gang znał się na prawach podobieństwa.

Dziewiętnastego dnia dano mu metalowy pręt z wklęsłą czarą, wykonaną z elektronowej stali, metalu używanego w produkcji energii atomowej. Gosseyn ochoczo sięgnął umysłem do niewielkiego zasilącza, który znalazł się w pomieszczeniu. Iskrząca energia skoncentrowała się w energetycznej czarze i gwałtownie rozbryznęła po podłodze i ścianach, oraz po przezroczystej tarczy, za którą ukryli się obserwatorzy. Gosseyn,

dygocząc na całym ciele, przerwał dwudziestomiejscowe podobieństwo między prętem i źródłem energii. Oddał pręt specjalnie przysłanemu żołnierzowi i dopiero wtedy Thorson odważył się wyjść zza zasłony. Był rozpromieniony.

- Cóż, panie Gosseyn-odezwał się niemal z szacunkiem.-Musiałbym zwariować, żeby szkolić pana dalej. To nie znaczy, że panu nie ufamy... - roześmiał się. - Nie, nie ufam panu. Myślę jednak, że to, co mamy, wystarczy, aby odnaleźć naszego człowieka. Przesłałem do pańskiego apartamentu trochę odzieży - kontynuował już swoim zwykłym tonem. - Proszę wybrać, co trzeba, i spakować się w ciągu godziny.

Gosseyn przytaknął z roztargnieniem. Strażnicy wpuścili wibrator do windy i Prescott dał mu znak, by szedł pierwszy. Strażnicy stłoczyli się za jego plecami. Prescott podszedł do tablicy kontrolnej, a Gosseyn jednym, konwulsyjnym gestem chwycił go, rozbijając mu czaszkę o metalową ścianę windy. Chwycił miotacz przypięty do pasa Prescotta i przycisnął najbliższą lampkę, jednocześnie puszczając bezwładne ciało.

Na moment wszystko się zaćmiło, ale zaraz obraz powrócił do normy, miotacz pluł już białym ogniem, a ciała czterech konających ludzi wiły się w konwulsjach na podłodze windy.

Pierwszy krok, choć gwałtowny i desperacki, okazał się całkowitym sukcesem.

XXXIII

Gosseyn szarpnął suwaki i zerwał z siebie ubranie. Podejrzewał, że w jego tkaninę wpleciono urządzenia elektroniczne, z których co najmniej jedno przeznaczone było do zdalnego ogłuszenia. Rozebrany od razu poczuł się lepiej, ale dopiero w chwili, gdy włożył na siebie ubranie i buty Prescotta, poczuł, że jest gotów do następnego ruchu.

Otworzył drzwi windy i wyjrzał na znajdujący się za mmi nieznajomy korytarz. Przez chwilę zastanawiał się, dokąd go zawiodło przypadkowe wciśnięcie lampki, chociaż i tak w tej chwili go to nie obchodziło. Ten pierwszy przystanek miał tylko jeden cel: uwolnić go od wibratora.

Bezceremonialnie wypchnął go na zewnątrz, a w ślad za nim bez cienia litości zrzucił na kupę cztery trupy. O kilka metrów dalej zobaczył zamknięte drzwi, ale nie miał czasu na ich zbadanie. Nie może pod żadnym pozorem wrócić na to piętro, gdyż pojawienie się wibratora mogło obrócić wniwecz wszelkie jego nadzieje. Spieszył się i dlatego po prostu zamknął drzwi, odcinając się od przeszkadzających mu pulsacji. W windzie przycisnął kolejną lampkę, co przeniosło go na następne nieznane piętro. Podobnie jak pierwszy korytarz, ten także był pusty. Gosseyn „zapamiętał" wzorzec kawałka podłogi obok windy i nadał mu numer-klucz: jeden. Pędem przebył około stu metrów w głąb korytarza i zatrzymał się dopiero przy zakręcie. Minął róg i znów „zapamiętał" wzorzec kawałka podłogi, nadając mu literę-klucz: A. Stojąc tam, pomyślał: „Jeden!".

Natychmiast znalazł się przed windą.

Ogarnęło go uczucie triumfu, jakiego nie doświadczył nigdy do tej pory. Skoczył do windy i przycisnął kolejną lampkę. Kluczowe słowa dla tego korytarza były odpowiednio: „dwa" i „B". Kiedy wychodził z windy na kolejne, czwarte już piętro, z sąsiedniej windy wyszedł człowiek. Gosseyn bez cienia wyrzutów sumienia otworzył do niego ogień z całego arsenału broni, jaki miał do dyspozycji. Wcisnął zwęglone, drgające jeszcze zwłoki z powrotem do tamtej windy.

Był to jedyny wypadek w czasie ucieczki. Pomimo to, a także mimo ogromnego pośpiechu, gdyż ani razu nie zatrzymał się, żeby zajrzeć za

drzwi, obliczył, że upłynęło około pół godziny, zanim osiągnął postawiony sobie cel: dziewięć kluczy do wzorców i literę „I” w alfabecie wzorców alternatywnych. Po drodze „zapamiętał" również każde gniazdko elektryczne na ścianie.

Zawrócił do windy i przycisnął przycisk odpowiadający piętru, na którym znajdował się apartament, należący do niego i do Patricii. Tu także nie było widać, aby ktoś odkrył jego ucieczkę. Gosseyn zatrzymał się w drzwiach i dokonał kolejnego, krótkiego przeglądu sytuacji. Nie była ona całkiem bez zarzutu, ale miał osiemnaście miejsc, w których mógł się schronić, oraz czterdzieści jeden źródeł energii, z których mógł czerpać jego dodatkowy umysł. Zauważył, że ręce mu lekko drżą, i poczuł, że jest zlany potem. Uznał, że to normalne napięcie. Był bardzo podniecony. W ciągu najbliższych trzydziestu minut rzuci się w największą kampanię wojskową, jaka kiedykolwiek została rozpętana przez jednego człowieka. Za godzinę albo będzie zwycięzcą, albo umrze na dobre. Po zakończeniu tego myślowego podsumowania, obrócił gałkę i otworzył drzwi. Patricia Hardie zerwała się z fotela i podbiegła do niego.

- Na litość boską, gdzieś ty się podziewał? -jęknęła bez tchu. Nie dała mu dojść do słowa. - To nieważne. Eldred tu był.

Chyba nie wiedziała, co się dzieje. Mimo to jej słowa wstrząsnęły Gosseynem. Miał przeczucie, co zaraz usłyszy.

- Crang! - wypowiedział to nazwisko tak, jakby trzymał w rękach bombę.

- Przywiózł ostateczne instrukcje.

- Mój Boże! - zawołał Gosseyn.

Poczuł, że słabnie. Czekał i czekał na jakieś słowo. Umyślnie zwlekał z działaniem dosłownie do ostatniej chwili. A teraz... Kobieta zdawała się nieświadoma jego reakcji.

- Powiedział - zniżyła głos do szeptu - powiedział, żebyś udawał, że ciągnie cię do budynku Semantyki, a potem masz współpracować z... z... - zachwiała się, jakby miała zemdleć.

Podtrzymał ją.

- Tak... tak... z kim?

- Z brodatym mężczyzną! - westchnęła. Wyprostowała się powoli, ale drżała dalej. - Trudno sobie wyobrazić, że Eldred przez cały czas wiedział... o nim.

- Ale kim on jest?

- Eldred nie powiedział.

Gniew, jaki go ogarnął, był tym większy, że jej słowa nie znaczyły wiele po tych wszystkich nieodwracalnych czynach, jakie popełnił. Potrzebował całej siły ciała i umysłu, żeby opanować gniew. Patricia nie może się domyślić, co się stało. Jeszcze nie. Najpierw musi powiedzieć mu wszystko, co wie.

- Jaki jest plan?- zapytał i tym razem to on zniżył głos do szeptu.

- Zabić Thorsona. To było oczywiste.

- I co dalej?- niecierpliwił się.

- Wtedy Eldred przejmie kontrolę nad armią, którą Thorson przywiózł ze sobą. Na tym polega cały kłopot - szeptała pospiesznie. - Thorson w tym sektorze Galaktyki dowodzi stu milionami ludzi. Gdyby można ich było odebrać Enro, wówczas minie rok, zanim zdołają przygotować kolejny atak na Wenus.

Gosseyn puścił ją i opadł na sąsiedni fotel. Logika tego rozumowania porażała. Sam miał zamiar jedynie próbować pozbyć się Thorsona, ale gdyby mu się nie udało, a raczej spodziewał się, że tak będzie, zamierzał zniszczyć bazę. Był to dobry, porządny plan, ale w porównaniu z ogromnym spiskiem Cranga był śmiesznie skromny. Nic dziwnego, że ten człowiek nie cofał się przed morderstwem, jeśli takie zakończenie przewidywał.

- Eldred mówi, że Thorsona nie można zabić tu, w bazie - ciągnęła Patricia. - Za dużo tu urządzeń zabezpieczających. Trzeba go odciągnąć gdzieś, gdzie nie będzie tak dobrze chroniony.

Gosseyn ostrożnie skinął głową. W jego umyśle plan ten wydawał się równie niebezpieczny jak to, co sam uczynił. I tak samo niepewny. Miał współpracować z jakimś brodaczem. Podniósł wzrok,

- Czy to wszystko, co powiedział Crang... chodzi o współpracę?

- Tak.

Dużo się po mnie spodziewają, pomyślał z goryczą. Znów ma ślepo podążać za pomysłami innej osoby. Jeśli teraz się podda, lub uda, że pozwolił się schwytać, oznaczałoby to utratę wszystkiego, co do tej pory zyskał, poddanie się jeszcze czujniejszemu nadzorowi i wiarę w to, że jakiś nieznany plan nieznanego brodacza się powiedzie. Gdyby przynajmniej wiedział, kim jest choć jeden z tych ludzi, których instrukcje musi wykonywać. Ta myśl sprawiła, że przerwał swoje rozważania.

- Patricio, kim jest Crang?

Spojrzała na niego.

- Nie wiesz? Jeszcze się nie domyślasz?

- Dwa razy miałem już pewne podejrzenia - odparł Gosseyn -ale nie mogłem sobie wyobrazić, jak tego dokonał. Wydaje mi się, że jeśli cywilizacja galaktyczna potrafi stworzyć takiego człowieka, to lepiej, abyśmy zapomnieli o nie-A i przyjęli ich system edukacji.

- To naprawdę całkiem proste - odrzekła cicho. - Pięć lat temu, w czasie odbywania praktyki na Wenus, zaczął podejrzewać skłonności do nie-A u jednego z ludzi, pracujących wraz z nim nad jakąś sprawą. Tym człowiekiem był oczywiście, jak się zapewne domyśliłeś, agent Prescotta. I to był pierwszy sygnał galaktycznego spisku. Nawet wtedy jakiekolwiek ostrzeżenie zmusiłoby Enro do podjęcia szybszej decyzji, a Eldred właściwie nie wiedział, jaki był jego plan. Uznał za pewnik, że inni także odkryją to, co on. Dlatego próbował jedynie zamaskować własne ślady. Następne kilka lat spędził na robieniu kariery w służbie Najwyższego Imperium. Oczywiście, dostosowywał się do każdej sytuacji. Powiedział mi kiedyś, że aby dostać się na szczyt, musiał zabić stu trzydziestu siedmiu ludzi. Uważa, że to, co robi, należy tylko do jego obowiązków i jest całkiem przeciętnym...

- Przeciętnym! - wybuchnął Gosseyn i zaraz się uspokoił. Miał już swoją odpowiedź. Eldred Crang, przeciętny wenusjański detektyw nie-A, zaproponował sposób działania. Jego metoda niekoniecznie była najlepsza, ale opierała się zapewne na większej liczbie informacji, niż posiadał Gilbert Gosseyn. Wykrycie i ujawnienie tajemniczego gracza, co stanowiło częściowy cel Cranga, zrekompensuje smętny koniec jego własnego, tak

śmiało rozpoczętego planu.

Będzie udawał, że walczy, ale pozwoli się szybko złapać. Pewnie zdarzy się parę nieprzyjemnych momentów, zwłaszcza, jeśli zaczną go wypytywać za pomocą wykrywacza kłamstw, ale musi podjąć to ryzyko. Na szczęście wykrywacze nigdy nie podają informacji z własnej woli. Jeśli jednak zostanie zadane jakieś pytanie, które ze względu na ich bezpieczeństwo nie powinno paść, Crang będzie musiał działać naprawdę szybko.

W ciągu potyczki, która nastąpiła, Gosseyn uciekał po kolei do dziewięciu numerowanych wzorców, pozostawiając te oznakowane literami w rezerwie na wypadek, gdyby padły nieodpowiednie pytania. Zamieszanie okazało się wystarczające. Na koniec znalazł się na korytarzu ze wzorcem numer 7. Udając, że dotarł już do kresu swoich możliwości, spalił część ściany, powodując zwarcie w instalacji elektrycznej, po czym pozwolił się pojmać.

Musiał napiąć każdy mięsień ciała, aby powstrzymać odruch ulgi, kiedy zobaczył, że przesłuchanie prowadzi Eldred Crang. Rozmowa, która nastąpiła później, sprawiała wrażenie bardzo szczegółowej, ale pytania zadawane były tak zręcznie, że wykrywacz kłamstw ani razu nie zdradził istotnych informacji. Kiedy przesłuchanie wreszcie dobiegło końca, Crang odwrócił się do mikrofonu w ścianie i powiedział:

- Panie Thorson, myślę, że śmiało może pan zabrać go na Ziemię. My się tu wszystkim zajmiemy.

Gosseyn zastanawiał się, gdzie może być Thorson. Oczywiste było, że nie podejmie żadnego zbędnego ryzyka... a jednak musi jechać na Ziemię osobiście. I to było najpiękniejsze. Poszukiwania sekretu wiecznego życia nie można scedować na podwładnych, bo oni, zdobywszy taką wiedzę, mogliby zapomnieć, komu są winni lojalność i posłuszeństwo.

Olbrzymi mężczyzna czekał na Gosseyna na zewnątrz, przed rzędem wind.

- Jest tak, jak myślałem - rzekł z lekką wzgardą. - Ten twój dodatkowy mózg posiada ograniczenia. Właściwie, gdyby był w stanie samotnie powstrzymać totalną inwazję, wówczas trzeci Gosseyn zostałby powołany

do życia bez tych wszystkich przygotowań. Niestety, człowiek jest zawsze istotą narażoną na niebezpieczeństwo. Nawet przy ograniczonej nieśmiertelności, mając do dyspozycji kilka ciał na zmianę, nie zdziała wiele więcej niż zwykły, odważny śmiertelnik. Jego wrogowie muszą tylko domyślić się, gdzie go szukać, a wtedy jedna bomba atomowa zetrze go z powierzchni ziemi, zanim zdąży choćby pomyśleć.

Machnął ręką.

- Zapomnimy o Prescotcie. Właściwie nawet rad jestem, że tak się stało. Dzięki temu sprawy nabierają wreszcie prawidłowej perspektywy. Jednak to, co zrobiłeś, stanowi dowód, że zupełnie źle zrozumiałeś moje motywy. - Wzruszył ramionami. - Gosseyn, my nie zabijemy tego gracza. Chcemy tylko, aby podzielił się z nami tym, co ma.

Gosseyn nie odezwał się, ale miał całkiem inny pomysł. W naturze człowieka arystotelesowskiego leży niechęć do dzielenia się. Cała historia walki o władzę, mordowania rywali, wykorzystywania bezbronnych, była udziałem człowieka niezintegrowanego. Juliusz Cezar i Pompejusz nie chcieli dzielić władzy nad Imperium Rzymskim, Napoleon, najpierw uczciwy obrońca kraju, później bezlitosny zdobywca - ci ludzie byli duchowymi przodkami Enro, który nie chce dzielić się Galaktyką. Nawet Thorson, który siedzi tu, wypierając się własnych ambicji, aż kipi od planów i wizji niewyobrażalnie wspaniałej przyszłości.

Gosseyn odetchnął z ulgą, gdy olbrzym rzekł wreszcie:

- Idziemy. Straciliśmy już dość czasu.

Dobrze było ruszyć wreszcie i stanąć twarzą w twarz z kryzysem.

XXXIV

To, co nazywasz rzeczą, nie jest nią... to coś więcej,
to coś kompletnego w najszerszym tego słowa znaczeniu.
Krzesło nie jest tylko krzesłem. Jest strukturą
o niesłychanym stopniu skomplikowania chemicznego, atomowego,
elektronicznego i tak dalej. Stąd, jeśli myślisz o nim
tylko jako o krześle, zmuszasz swój układ nerwowy do dokonania czegoś,
co Korzybski nazywa identyfikacją. I właśnie ogół tych identyfikacji
czyni z człowieka neurotyka, bezrozumnego lub szaleńca.
Anonim.

Miasto Maszyny zmieniło się. Po walce pozostało mnóstwo zrujnowanych budynków. Kiedy dotarli do pałacu, Gosseyn już się nie dziwił, dlaczego Thorson wolał spędzić tych kilka dni na Wenus.

Pałac był zdruzgotaną, pustą skorupą. Wędrując wraz z innymi przez opustoszałe korytarze i zniszczone komnaty, Gosseyn poczuł, jak ogarnia go nostalgiczna tęsknota za ginącą cywilizacją. Na ulicach rozlegały się nieustannie strzały z broni parnej, szli przy akompaniamencie ciągłego, nieprzyjemnego pomruku, irytującej kakofonii dźwięków. Thorson zwięźle odpowiedział na jego pytanie:

- Są równie wściekli i zażarci, jak na Wenus. Wałcza jak szaleńcy.

- To pewien poziom abstrakcji w sensie nie-A - zauważył Gosseyn rzeczowo. - Całkowite przystosowanie do potrzeby sytuacji.

- Aaa- warknął Thorson zirytowanym tonem i zmienił temat, -Czujesz coś?

-Nic.

Doszli do pokoju Patricii. Ściana, w której przedtem znajdował się deformator, nie została naprawiona. Francuskie okna leżały na podłodze, stłuczone na drobne kawałeczki. Przez puste framugi Gosseyn widział miejsce, gdzie niegdyś, niczym klejnot koronny zielonej Ziemi, wznosiła się Maszyna Igrzysk. Na jej miejscu zrzucono już setki tysięcy ciężarówek ziemi, może w nadziei, że zasypie ona wszelki ślad po symbolu, który przypominał, że planeta podążała drogą prowadzącą ku rządom rozumu. Nikt jednak nie rozrzucał ziemi. Leżała w bezładnych stertach, sprawiając

wrażenie, że o niej zapomniano.

W pałacu nie znaleźli żadnej wskazówki, więc poszli do domu Dana Lyttle'a. Dom był nienaruszony. Automaty utrzymywały w nim nienaganny porządek, pokoje pachniały czystością i świeżością tak jak wtedy, gdy Gosseyn je opuszczał. Skrzynia, w której był deformator, stała w kącie salonu, zwrócona do niego bokiem, na którym widniał adres „Instytut Semantyki". Tam właśnie Maszyna zamierzała go przesłać. Gosseyn podszedł do skrzyni, jakby nagle uderzyła go jakaś myśl.

- Pójdziemy tam - zaproponował.

Uzbrojona armia maszerowała ulicami czegoś, co jeszcze niedawno było miastem Maszyny. Stada roboplanów krążyły po niebie. Ponad nimi wisiały statki międzygwiezdne, gotowe na wszystko. Roboczołgi i szybkie samochody blokowały wszystkie przecznice. W milczącej procesji zdążały na słynny plac, po czym ludzie i maszyny zaczęli ze wszystkich stron napływać do budynku. Nad bogato ozdobionym, wielowejściowym portalem widniał napis. Thorson wskazał Gosseynowi wyryte w marmurze litery. Gosseyn zatrzymał się, by odczytać starożytną inskrypcję:

NEGATYWNY OSĄD STANOWI SZCZYTOWE
OSIĄGNIĘCIE UMYSŁU

Było to jak spojrzenie poprzez stulecia. W zdaniu tym kryła się część rzeczywistego znaczenia, które miało wpływ na ludzki układ nerwowy. Niezliczone miliardy ludzi żyły i umierały, nie podejrzewając nawet, że ich pozytywne osądy pomogły stworzyć szalone umysły, za których pośrednictwem musieli postrzegać rzeczywistość swego świata, .

W najbliższych drzwiach pojawiła się grupa umundurowanych mężczyzn. Jeden z nich odezwał się do Thorsona językiem ciężkim od spółgłosek. Olbrzym obejrzał się na Gosseyna.

- Nikogo tu nie ma - rzekł.

Gosseyn nie odpowiedział. Nikogo. Słowo odbijało się echem w korytarzach jego umysłu. W budynku Semantyki nie ma nikogo. Mógł się tego domyślić. Zarządzający nim byli tylko ludźmi i nikt nie mógł od nich

oczekiwać, by pozostali na tym skrawku ziemi niczyjej między dwiema walczącymi armiami. Mimo to spodziewał się czegoś innego.

Zauważył, że Thorson mówi coś do ludzi obsługujących wibrator. Znów poczuł, że ogarniają go pulsacje generowane przez urządzenie. Thorson obejrzał się znowu.

- Wyłączymy wibrator, kiedy już będziemy w środku. Nie mam zamiaru ryzykować.

- Wchodzimy do środka? - poderwał się Gosseyn.

- Przeszukamy to miejsce kamień po kamieniu-wyjaśnił Thorson. - Gdzieś tu mogą być ukryte pokoje.

Zaczął wydawać rozkazy. Przez chwilę panowało zamieszanie. Ludzie wciąż wychodzili z budynku i zdawali Thorsonowi raporty. Mówili w tym samym niezrozumiałym, gardłowym języku. Dopiero, kiedy Thorson obrócił się w stronę Gosseyna z ponurym uśmiechem, ten ostami zaczął rozumieć, co się dzieje.

- Znaleźli jakiegoś starca pracującego w jednym z laboratoriów. Nie rozumieją, jak mogli go wcześniej przeoczyć. - Machnął ręką. -,To i tak nie ma znaczenia. Kazałem im zostawić go w spokoju, dopóki sam nie sprawdzę, co się dzieje.

Gosseyn wierzył, że tłumaczenie było wierne. Thorson był blady. Dłuższą chwilę stał z gniewnym grymasem na twarzy.

- Tym razem nie zaryzykuję - rzekł w końcu. - Wejdziemy do środka, ale...

Wspięli się po schodach z cztemastokaratowego złota i przez platynowe drzwi inkrustowane klejnotami przeszli do ogromnego holu, którego każdy centymetr kwadratowy ścian i sufitu wysadzany był diamentami. Efekt był tak oszałamiający, że Gosseynowi przyszło do głowy, iż budowniczowie nieco przesadzili. Budowla została postawiona w czasach, kiedy wytoczono ogromną kampanię mającą na celu przekonanie ludzi, że złoto i drogie kamienie, przez lata uważane za kwintesencję bogactwa, nie są w istocie cenniejsze od innych rzadkich materiałów. Jednak nawet po kilkuset latach propaganda ta właściwie nikogo nie przekonała.

Ruszyli korytarzem wyłożonym identycznymi rubinami i po szmaragdowych schodach, lśniących mżącym, zielonym blaskiem, dotarli na piętro. Tu korytarz obudowany był czystym, nie utleniającym się srebrem, a za nim znajdował się inny, z bajecznie kolorowego, opalizującego plastiku. Hol aż roił się od ludzi i Gosseyn doznał dziwnego uczucia. Thorson przystanął, wskazując drzwi w głębi korytarza.

- Jest tam.

Gosseyn tkwił w umysłowej mgle. Otworzył usta, żeby zapytać, jak ten starzec wygląda. Czy ma brodę? - chciał spytać, ale nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

I co ja mam teraz robić? - pomyślał z bólem.

Thorson skinął na niego głową.

- Daliśmy mu uzbrojone towarzystwo. Są tam teraz, pilnują go. Teraz twoja kolej. Wejdź i powiedz mu, że budynek jest otoczony, że nasze przyrządy nie wykazują śladów energii jądrowej, więc nic nam nie może zrobić.

Wyprostował się na całą wysokość. O pół głowy przewyższał swojego więźnia.

- Gosseyn! - ryknął. - Ostrzegam cię, żadnych fałszywych ruchów. Jeśli teraz coś pójdzie nie tak, zniszczę Ziemię i Wenus.

Pierwotna dzikość tej groźby poruszyła w Gosseynie buntowniczą strunę. Przez chwilę mierzyli się groźnym wzrokiem, jak dwie krwiożercze bestie. Wreszcie Thorson przerwał napięcie wybuchem śmiechu.

- Dobrze, dobrze - prychnął. - Obaj tracimy głowę. Dajmy temu spokój, ale pamiętaj, to sprawa życia lub śmierci.

Zamknął usta tak energicznie, że aż szczęknęły zęby.

- Ruszaj! -syknął.

Gosseynowi było zimno. Źródło tego chłodu stanowił jego układ nerwowy. Wyprostował się powoli. Ruszył przed siebie.

„Gosseyn, kiedy znajdziesz się koło niszy tuż obok drzwi, wejdź tam. Będziesz bezpieczny".

Gosseyn poderwał się, jakby trafiła go kula. Nikt nie wypowiedział ani słowa, a jednak ta myśl znalazła się w jego głowie z taką wyrazistością,

jakby to była jego własna myśl.

„Gosseyn, w każdej metalowej kasecie wzdłuż korytarzy są ukryte urządzenia energetyczne, do których można podłączyć kable o napięciu tysięcy woltów".

Nie było wątpliwości. Pomimo to, co kiedyś mówił Prescott, iż telepatia wymaga zestrojenia dwóch mózgów do dwudziestego miejsca po przecinku, odbierał właśnie myśli innego człowieka!

Kulminacja nastąpiła tak szybko i w tak niespodziewany sposób, że zastygł w miejscu. Pamiętał jedynie, że myślał: Muszę iść! Muszę iść...

„Gosseyn, idź do niszy... i zniszcz wibrator!"

Myśl nadeszła, kiedy już ruszał w stronę drzwi. Widział niszę w odległości trzech metrów, potem jednego. Nagle zabrzmiał ryk Thorsona.

- Wyłaź stamtąd! Co ty wyrabiasz?

„Zniszcz wibrator!"

Starał się jak mógł. Jego ciało pulsowało bezgłośną energią, kiedy dostrajał się do wibratora. Wzrok zaszedł mu mgłą, po czym rozjaśnił się znów, gdy sztuczna błyskawica z sykiem i trzaskiem przemknęła obok niszy i trafiła w Thorsona. Olbrzym upadł ze zwęgloną głową. Potężny ogień minął go i uderzył w głąb korytarza. Ludzie krzyczeli z bólu. Ognista kula spłynęła z sufitu i pochłonęła wibrator, który eksplodował w obłoku płomieni, rozrywając na strzępy ludzi, którzy go chronili i obsługiwali.

Ciężar wibrujących pulsacji natychmiast znikł z umysłu Gosseyna.

„Gosseyn, szybko! Nie pozwól im się pozbierać. Nie mogą zawiadomić bombowców, bo zacznie się nalot Trafili mnie z miotacza. Oczyść budynek i wracaj. Szybko, jestem ciężko ranny".

Ranny! Gosseyn, targany niepokojem, wyobraził sobie, że nieznajomy umiera, nie zdążywszy udzielić mu informacji. Sięgnął do pierwszego źródła zasilania, jakie miał pod ręką, w ciągu dziesięciu minut oczyścił budynek i plac. Korytarze topiły się od morderczego ognia, ściany waliły się na krzyczących ludzi. Czołgi zajmowały się płomieniem i wybuchały huczącym żarem. Nikt - ta myśl paliła go jak rozszalały płomień. Nikt nie może przeżyć. Nikt!

I nikt nie przeżył. Nie tak dawno na plac wmaszerował cały regiment

ludzi i maszyn. Teraz pozostały z nich tylko rozdarte, sczerniałe szczątki i zgnieciony metal. Gosseyn podszedł do drzwi i rzucił okiem na niebo. Samoloty wisiały na wysokości trzystu metrów. Bez rozkazu Thorsona nie odważą się bombardować. Zresztą, pewnie zostały już przejęte przez Cranga.

Nie mógł czekać, żeby się upewnić. Zawrócił do budynku i popędził przez zakopcony korytarz. Wszedł do laboratoriów i stanął jak wryty. Ciała strażników Thorsona leżały rozrzucone na podłodze. W fotelu obok biurka siedział zgarbiony, starszy mężczyzna z brodą. Podniósł na Gosseyna szkliste spojrzenie, zebrał siły, żeby się uśmiechnąć.

- Udało się! -powiedział

Jego głos był głęboki, silny i znajomy. Gosseyn wytrzeszczył na niego oczy, przypominając sobie nagle, gdzie i kiedy słyszał już ten bas. Wstrząs sprawił, że jego reakcja ograniczyła się do jednego słowa.

- „Iks"! - zawołał na głos.

XXXV

Jestem znajomym ci tchnieniem,
Ciało niszczeje, ja trwam.
Przesyłam me rysy i ślad
Stąd aż po przyszły czas.
I z miejsca na miejsce pomykam
Ponad zapomnieniem.
T.H.

Starzec z trudem zakasłał. Widać było, że skręca się z bólu, gdy jego płuca walczyły o haust powietrza. Zwęglona tkanina zsunęła się, ukazując pokryte oparzeniami ciało. W prawym boku starca widniała dziura wielka jak pięść. Ściekały z niej grube krople krwi.

- W porządku - wymamrotał. - Mogę wytrzymać ból, dopóki nie kaszlę. Autohipnoza, wiesz.

Wyprostował się sztywno.

- ‚Iks"- mruknął.- Cóż, mogę powiedzieć, że z pewnego punktu widzenia nim jestem. Wystawiłem „Iksa", aby był moim osobistym szpiegiem w najwyższych kręgach. Oczywiście on tego nie wiedział. Na tym polega piękno udoskonalonego przeze mnie sposobu im nieśmiertelność. Wszystkie myśli aktywnego ciała są odbierane przez inne, pasywne ciała z tej samej... hm... kultury. Naturalnie, kiedy on się pojawił, ja musiałem zniknąć ze sceny. Trudno, żeby po świecie chodziło dwóch Lavoisseurów. - Znużony, odchylił się w tył i ciągnął dalej. - W przypadku „Iksa", potrzebowałem kogoś, kogo myśli byłbym w stanie odbierać, podczas gdy ja pozostanę przytomny. W tym celu uszkodziłem go i przyspieszyłem jego procesy życiowe. To okrutne, wiem, ale w ten sposób sprawiłem, że to on był „lepszy" a ja „gorszy" i mogłem odbierać jego myśli. Poza tym pozostawał niezależny. Uważał, że jest wolny.

Głowa starca opadła, oczy przymknęły się. Gosseyn zląkł się, że to śpiączka. Ogarnęła go rozpacz, ponieważ nie był w stanie nic zrobić. Gracz umierał, a on wciąż nic o sobie nie wiedział. Muszę wydobyć z niego informację, myślał gorączkowo. Pochylił się i potrząsnął nim.

- Zbudź się! - krzyknął.

Ciało drgnęło. Zmęczone oczy otworzyły się, objęły go zamyślonym spojrzeniem.

- Próbowałem zabić to ciało za pomocą czary energetycznej. Nie mogłem tego zrobić. Zrozum, przez cały czas chciałem umrzeć jednocześnie z Thorsonem. Myślałem, że zabiją mnie od razu, kiedy otworzę ogień. Żołnierze schrzanili sprawę - potrząsnął głową. - To logiczne, oczywiście. Najpierw słabnie ciało, potem kora, a potem... -oczy mu zabłysły -.przyniesiesz mi broń któregoś żołnierza? Coraz trudniej mi walczyć z bólem.

Gosseyn przyniósł miotacz, ale jednocześnie gorączkowo rozmyślał: czy mogę zmuszać śmiertelnie rannego człowieka, by pozostał przy życiu i cierpiał, kiedy ja będę zadawał pytania? To był prawdziwy dylemat moralny, powodujący fizyczne sensacje. W duchu jednak przez cały czas wiedział, że właśnie tak postąpi. Potrząsnął głową, gdy Lavoisseur wyciągnął rękę. Starzec spojrzał na niego bystro.

- Chcesz informacji, co? -wymamrotał. Zaśmiał się dziwnym, radosnym śmiechem. - No dobrze, czego chcesz?

- Moje ciała... Jak...? Starzec wpadł mu w słowo.

- Sekret nieśmiertelności polega na odizolowaniu jednostki od podwójnego zestawu cech, jaki odziedziczyła po swoich rodzicach. Podobieństwo kolejnych wersji musi być takie, jak u bliźniąt lab prawie identycznego rodzeństwa. Teoretycznie podobieństwo takie można osiągnąć przy normalnym porodzie. W rzeczywistości jednak jest to możliwe tylko w warunkach laboratoryjnych, kiedy ciała w elektronicznych inkubatorach są utrzymywane w nieświadomości dzięki hipnotycznemu narkotykowi. Tam, bez własnych myśli, masowane przez maszyny, karmione płynnym pokarmem, ciała zaczynają się trochę różnić od oryginału, ale ich umysły zmieniają się wyłącznie w miarę zmian zachodzących w umyśle ich *alter ego* żyjącego w normalnym świecie. W praktyce do tego celu potrzebny jest deformator, przyrząd zaś podobny do wykrywacza kłamstw służy do blokowania niepotrzebnych myśli... W twoim przypadku były to właściwie wszystkie myśli, żebyś nie wiedział zbyt dużo.

Jednakże, z powodu podobieństwa procesów myślowych, kiedy jedno ciało po drugim rzeczywiście ulegają zniszczeniu, osobowość pozostaje. - Lwia głowa opadła na pierś. -1 to wszystko. Właściwie wszystko. Crang, pośrednio lub bezpośrednio, wyjaśnił ci większość przyczyn. Musieliśmy zapobiec temu atakowi.

- A dodatkowy mózg? - spytał Gosseyn. Starzec westchnął, ale nie podniósł głowy.

- Istnieje w każdym ludzkim mózgu, w stadium embrionalnym. Nie może jednak rozwinąć się w warunkach stresu, jaki stanowi świadome życie. Tak samo, jak kora George'a, chłopca-zwierzęcia, nie mogła się rozwinąć w warunkach psiego życia, sam stres wywoływany we wczesnym dzieciństwie przez aktywną egzystencję stanowi dla drugiego mózgu zbyt wielkie obciążenie.

Zamilkł, a Gosseyn pozwolił mu odpocząć, przez chwilę, podczas gdy jego umysł analizował wszystko, co do tej pory usłyszał. Zestaw cech rodziców? W jego przypadku musiałaby to być cała hodowla plemników; nauka stara jak świat Rozwój życia w inkubatorach jest jeszcze starszy. Reszta to szczegóły. Najważniejsze, żeby dowiedzieć się, gdzie są ukryte ciała.

Drżąc ze zdenerwowania zapytał o to, a kiedy odpowiedź nie nadeszła, chwycił starca za ramię. Pod jego dotknięciem ciało opadło bezwładnie w przód. Zaskoczony, delikatnie ułożył starca na podłodze, szybko ukląkł obok i przyłożył ucho do jego serca. Gdy nie usłyszał bicia, zrezygnowany wstał. Myślał, a w jego głowie dźwięczały nie wypowiedziane słowa: „Przecież nie powiedziałeś mi wszystkiego. Tyle spraw jest dla mnie niejasnych!" Myśl zgasła niechętnie. Nagle zrozumiał, że tak właśnie wygląda życie. Życie, w którym nic nigdy nie jest wyjaśnione do samego końca. Był wolny i na tym polegało jego zwycięstwo.

Przyklęknął znowu i przeszukał kieszenie zmarłego. Były puste. Już miał wstać, kiedy nagłe usłyszał:

- Człowieku, dajże mi wreszcie tę broń!

Gosseyn zamarł i z okrzykiem zaskoczenia zrozumiał, że nie usłyszał

żadnego dźwięku, lecz przejął myśl zmarłego. Najpierw niezdecydowanie, potem z coraz większą determinacją zaczął delikatnie potrząsać ciałem. Komórki ludzkiego mózgu są wyjątkowo wrażliwe, ale nie umierają natychmiast po zatrzymaniu się akcji serca. Skoro pochwycił jedną myśl, inne także powinny być jeszcze dostępne. Mijały minuty. Proces umierania jest skomplikowany, myślał Gosseyn, dlatego trwa to tak długo. Część podobieństwa, jakie Lavoisseur ustanowił między nimi, została już zniszczona.

„Gosseyn, możesz jeszcze trochę pożyć. Ciała z następnej serii mają dopiero osiemnaście lat. Czekaj, aż osiągną trzydziestkę... właśnie tak, trzydziestkę".

To było wszystko, ale Gosseyn drżał z podniecenia. Chyba za* stymulował niewielką grupkę komórek. I znów upłynęło kilka minut, a potem...

„.. .Pamięć jest czymś nadzwyczajnym... Ale między twoją a moją serią ciągłość nie została zachowana. Mój wypadek okazał się zbyt dużym zaburzeniem dla procesu. Trudno... ale już poznałeś, jak to jest, kiedy przeżywasz jako jednostka, więc wiesz, jak pełna..,

Tym razem przerwa była bardzo krótka, a po niej nadeszła kolejna myśl:

„.. .Ciekawe, czy był jeszcze ktoś inny. Uważałem się za królową w tej grze. W takim ustawieniu ty byłbyś pionkiem w siódmym szeregu, tuż przed przemianą w królowę. A potem zostałem z niczym, bo królowa, mimo swojej potęgi, jest taką samą figurą jak... Więc kto jest graczem? Gdzie to się wszystko zaczęło?... Jeszcze raz.... (myśl ucieka)... koło się zamyka, a my nie wiemy więcej niż do tej pory..."

Gosseyn rozpaczliwie walczył, aby utrzymać więź, ale potem nastąpił tylko szumi nicość. Gdy szukał dalszych myśli, nagle uświadomił sobie, jak fantastyczne jest to, co mu się przydarzyło. Ujrzał sam siebie, jak wzburzonym pałacu z klejnotów usiłuje odczytać myśli martwego starca. Było to zapewne jedyne tego rodzaju zjawisko w całym wszechświecie. Myśl ta jednak rozpierzchła się, gdyż nastąpił kolejny kontakt:

„Gosseyn, ponad pięćset lat temu... pozwoliłem rozkwitnąć filozofii

nie-A, którą zapoczątkował ktoś inny. Szukałem miejsca, gdzie mógłbym osiąść, szukałem czegoś, co byłoby czymś więcej, niż samą ciągłością. Wydawało mi się, że nie-Arystotelesowski człowiek jest właśnie czymś takim... Nasz sekret nieśmiertelności nie mógł zostać przekazany dezintegrowanym, którzy, jak Thorson, widzieliby w nim jedynie sposób na zdobycie najwyższej mocy..."

Szum powrócił, a w ciągu kolejnych upływających minut stało się jasne, że komórki zaczynają tracić więź i osobowość. Pozostały tylko oszalałe pojedyncze komórki, ogłupiałe grupy, masy neuronów, niepewnie .chroniące oddzielne obrazy przed skradającą się śmiercią. Wreszcie Gosseyn pochwycił kolejną spójną myśl:

„Odkryłem bazę galaktyczną, zwiedziłem wszechświat... Wróciłem, by nadzorować budowę Maszyny Igrzysk... na początku jedynie komputer był w stanie utrzymać w ryzach niezdyscyplinowane hordy zamieszkujące Ziemię. To właśnie ja wybrałem Wenus na planetę, gdzie ludzie nie-A będą żyli swobodnie. A potem, mimo utraty pamięci... mimo ran, byłem w stanie na nowo rozpocząć hodowlę nowej serii ciał... innych, niż moje własne poko... poko..."

I to było wszystko. Mijała minuta za minutą, ale od czasu do czasu pojawiał się tylko niewyraźny szum. Wreszcie Gosseyn wstał. Poczuł radosne podniecenie człowieka, który zwyciężył śmierć. Szkoda, że nie przetrwała informacja na temat kopiowania ciał. Poza tym, i poza jeszcze jedną sprawą, był zadowolony. Ta druga sprawa... Nagle zrozumiał, że pozwolił, aby coś mu umknęło. Teraz jednak to coś wróciło do niego z pełną wyrazistością i implikacjami... „Ale między twoją a moją serią ciągłość nie została zachowana"!

Dziwne, że wcześniej tego nie zrozumiał. Myśl o związku między nim a Lavoisseurem nigdy do tej pory nie przyszła mu do głowy, a jego wcześniejsze potępienie „Iksa" było tak zupełne, że... Przecież... ta ciągłość może być jedynie... może odnosić się tylko do... pamięci. Do czegóż by innego?

Gorączkowo rozejrzał się za mydłem do golenia. Znalazł słoik w łazience, na drugim końcu korytarza. Drżącymi palcami rozsmarował je na

brodzie nieruchomej, martwej twarzy.

Otarł twarz ręcznikiem, ukląkł i spojrzał na oblicze, które było starsze niż sądził. Siedemdziesiąt pięć, może osiemdziesiąt lat Była to twarz, której nie można było pomylić z jakąkolwiek inną. Sama stanowiła odpowiedź na wiele pytań. Tu właśnie, w sposób niezaprzeczalny, ujawnił się widoczny i jakże rzeczywisty koniec jego poszukiwań.

Była to jego własna twarz.

ty pamięci... mimo ran, byłem w stanie na nowo rozpocząć hodowlę nowej serii ciał... innych, niż moje własne poko... poko..."

I to było wszystko. Mijała minuta za minutą, ale od czasu do czasu pojawiał się tylko niewyraźny szum. Wreszcie Gosseyn wstał. Poczuł radosne podniecenie człowieka, który zwyciężył śmierć. Szkoda, że nie przetrwała informacja na temat kopiowania ciał. Poza tym, i poza jeszcze jedną sprawą, był zadowolony. Ta druga sprawa... Nagle zrozumiał, że pozwolił, aby coś mu umknęło. Teraz jednak to coś wróciło do niego z pełną wyrazistością i implikacjami... „Ale między twoją a moją serią ciągłość nie została zachowana"!

Dziwne, że wcześniej tego nie zrozumiał. Myśl o związku między nim a Lavoisseurem nigdy do tej pory nie przyszła mu do głowy, a jego wcześniejsze potępienie, Jksa" było tak zupełne, że... Przecież... ta ciągłość może być jedynie... może odnosić się tylko do... pamięci. Do czegóż by innego?

Gorączkowo rozejrzał się za mydłem do golenia. Znalazł słoik w łazience, na drugim końcu korytarza. Drżącymi palcami rozsma-rował je na brodzie nieruchomej, martwej twarzy.

Otarł twarz ręcznikiem, ukląkł i spojrzał na oblicze, które było starsze niż sadził. Siedemdziesiąt pięć, może osiemdziesiąt lat Była to twarz, której nie można było pomylić z jakąkolwiek inną. Sama stanowiła odpowiedź na wiele pytań. Tu właśnie, w sposób niezaprzeczalny, ujawnił się widoczny i jakże rzeczywisty koniec jego poszukiwań.

Była to jego własna twarz.